

ANDRZEJ KLAWITER

ŚLICZNOTKA

Wydawnictwo TELBIT



Podziękowania

Pragnę wyrazić wielką wdzięczność tym wszystkim, którzy przyczynili się do powstania niniejszej książki i pomagali mi w różnoraki sposób.

Serdecznie dziękuję Mirosławowi Urbaczewskiemu, dyrektorowi Państwowego Domu Dziecka w Trzemiętowie, a także Adamowi Orlikowskiemu, młodszemu aspirantowi Komisariatu Policji w Szubinie, którzy służyli mi swoją profesjonalną wiedzą. Jeśli mimo ich pomocy popełniłem jakieś nieścisłości, obciążają one wyłącznie mnie.

Dziękuję też Dorocie Misiak, licealistce z Dąbrowy Chełmińskiej, a zarazem pierwszej czytelniczce manuskryptu, która bezinteresownie przesyłała mi wszelkie potrzebne informacje, nie szczędząc przy tym wielu rzeczowych i celnych uwag.

Andrzej Klawiter

Niedziela, 13 maja

Nastąpiła cisza. Patrzyli na siebie nie tak jak rywale na boisku, lecz niczym zaciekli wrogowie, których urazy wykraczały poza sportową arenę, a to oznaczało, że nie pojawiły się dziś.

Dwaj rośli, szczupli osiemnastolatki stali naprzeciw siebie w odległości kilku metrów - Roman Stankiewicz bronił bramki, Jacek Swojski przymierzał się do rzutu karnego. Liczni kibice, skupieni na galerii sali gimnastycznej liceum, która mogła pomieścić około dwustu osób, wstrzymali oddech. Dobiegał końca ostatni w tym sezonie mecz drugiej edycji międzyszkolnej ligi halowej piłki nożnej. Walczyło sześć zespołów. Była to ostatnia minuta gry między drużyną liceum ogólnokształcącego a zespołem domu dziecka. Trwał remis - trzy do trzech. Broniący barw liceum Roman wiedział, że jeśli wpuści gola, to przegrają, podobnie jak w ubiegłym sezonie. Remis dawał im pierwszą lokatę i nagrody w postaci wspaniałego pucharu i sprzętu sportowego, którego żadna szkolna drużyna nie miała zbyt dużo. Jacek z domu dziecka, najlepszy strzelec w tej edycji, miał już na koncie trzydzieści dziewięć goli i aż o jedenaście wyprzedzał drugiego snajpera z technikum ogrodniczego.

Cisza się przedłużała, twarze kibiców pobiły z napięcia. Jacek cofnął się kilka kroków, oderwał wzrok od Romana i skupił się na piłce. Denerwował się bardziej niż kiedykolwiek. Zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na nim ciążyła. Wiedział, jak bardzo liczą na niego kibice drużyny nie tylko z domu dziecka. Wreszcie ruszył. Wykonał jeden zwód, drugi i rezygnując nagle z silnego kopnięcia, oszukał bramkarza pięknym technicznie strzałem. Zatrzepotała siatka. To był jego drugi gol w tym meczu, bo pierwszego zdobył podczas jednej z akcji.

Wśród fanów drużyny domu dziecka wybuchła euforia, czego nie można było powiedzieć o kibicach liceum. Jacek podskoczył radośnie i rzucił się w ramiona kolegów z zespołu. Wściekły Roman potarł nerwowo swoje długie kręcone kruczoczarne włosy, po czym leniwie sięgnął po piłkę i rzucił ją niedbale na środek parkietu. Pół minuty później

sędzia odgwizdał koniec meczu. Drużyna domu dziecka wygrała.

Jacek spojrzał w stronę galerii. W trzecim rzędzie ławek siedziała, kołysząc uniesionymi rękami, jego dziewczyna - Anna Jurczyk z II A - z tej samej klasy do której chodzili on i Roman. Jacek od ponad dziesięciu lat był wychowankiem miejscowego domu dziecka, więc występował w jego barwach, mimo że uczęszczał do ogólniaka.

- Jesteś najlepszy, Jacusiu! Najlepszy! - wykrzykiwała Anna i słała mu całusy. Wtórował jej ich kolega, Marek Jagodziński z II C, tyle że on nie przysyłał buziaków. Obok Marka na cześć zwycięzcy wiwatował Marcin Kowalik, przyjaciel Jacka, również wychowanek domu dziecka, uczeń pierwszej klasy technikum ogrodniczego.

Zdenerwowany przegraną Roman oparł się o słupek bramki i z zaciśniętymi zębami zerkał na galerię. Nie uszła jego uwagi szaleńcza radość Ani. Mimo sportowych emocji ani na chwilę nie przestał o niej myśleć - w końcu podrywał ją na samym początku roku. Dziewczyna wyglądała olśniewająco, zresztą - i nie była to tylko jego opinia - należała do najpiękniejszych i najzgrabniejszych licealistek. Obdarzona wielkim talentem malarskim, inteligentna, najlepsza uczennica w klasie... Cóż mógł jeszcze dodać?! Ale ona pozostawała nieczuła na jego zabiegi, mimo że uważał się za faceta przystojnego i niegłupiego. Ankę zdobył Jacek, ten beznadziejny bidul z bidula! Roman, który zazwyczaj pogardliwie odnosił się do wychowanków domu dziecka, długo nie mógł przetrwać tego ciężkiego kopniaka, a i teraz, w połowie maja, początkująca artystka ciągle siedziała mu w głowie, ba, czasami pojawiała się nawet w jego snach. Kiedy tylko przenosił wzrok na zadowolonego Jacka, wzbierała w nim zwykła złość. Nie cierpiał go i tyle. Najchętniej podszedłby do niego i najzwyczajniej w świecie skuł mu gębę.

Pół godziny później na sali zgromadziły się wszystkie zespoły ligi wraz ze swoimi trenerami, zjawili się też dyrektorzy szkół. Zabrakło jedynie dyrektora domu dziecka oraz przedstawiciela burmistrza. I tak rozpoczęła się uroczystość zakończenia drugiej edycji rozgrywek. Drużyna domu dziecka triumfowała. Piłkarze zwycięskiego zespołu otoczyli wianuszkami swego trenera Radosława Zielińskiego - obecnie jednego z wychowawców, a w przeszłości piłkarza miejscowego klubu Gwiazda - i zaczęli podrzucać go wysoko, coraz wyżej, przy aplauzie fanów drużyny.

Nie zabrakło też Antoniego Raczkiewicza, dziennikarza regionalnego tygodnika „Głos W-cki”. Przeróżliwie chudego, wysokiego szatyna pod trzydziestkę, który przeprowadził dłuższy wywiad ze zwycięską drużyną. Chłopcy a zwłaszcza Jacek, nie wydawali się ani trochę stremowani podczas rozmowy z dociekliwym reporterem, który jako student zaocznych studiów dziennikarskich dorabiał sobie pisaniem.

* * *

Zawsze jeździła ostrożnie i nie szarżowała, nawet gdyby droga była szeroka na kilometr, a na dodatek pusta. Oczywiście nie zachowywała się tak dlatego, że prowadziła wózek swojego chłopaka, który bała się uszkodzić. Po prostu ostrożność stanowiła jedną z ważniejszych cech charakteru Wiktorii Malińskiej. Ona sama zaś uważała, że w życiu nigdy nie za wiele roztropności. Tyle już wiedziała i dlatego nie zaliczała się do hazardzistek. Życie sporo ją nauczyło.

Przed miesiącem chłopak Wiktorii, Klaudiusz, oddał pod jej troskliwą opiekę dwudziestoletni czerwony samochód marki Porsche 911, gdyż wyjechał na dłużej do Irlandii. Oczywiście, za czymś do chleba dla przyszłej rodziny którą zamierzali założyć. Koło historii się obraca, ale powieła tylko schematy, bo przecież wszystko już było.

Kiedy w oddali zarysowała się panorama W, dwudziestotysięcznego miasta w Wielkopolsce, uśmiechnęła się. Dojeżdżała do celu. Była rodowitą poznanianką, studiowała socjologię na Uniwersytecie Adama Mickiewicza. Odwiedziła tę miejscowość już wczesną wiosną, ale miała tylko niespełna dzień, aby przygotować sobie grunt do obecnej, dłuższej wizyty. Zamierzała bowiem zebrać materiał potrzebny do napisania pracy dyplomowej na temat wzajemnych relacji panujących między młodymi ludźmi (członkami różnych małomiasteczkowych środowisk młodzieżowych), a także ich problemów. Do W wjechała od północy poruszając się drogą krajową, która przecinała miasteczko w kierunku południowym, dzieląc je na dwie mniej więcej równe części. Ta droga była utrapieniem mieszkańców, którzy od lat marzyli o obwodnicy lecz starania kolejnych władz nie przynosiły żadnego rezultatu.

Zatrzymała się na parkingu nieopodal rynku i postanowiła napić się czegoś w kawiarence pod parasolami. Ponad dwie godziny jazdy trochę ją zmęczyły. Stwierdziła, że choć do gospodarstwa agroturystycznego, w którym wcześniej telefonicznie wynajęła lokum, jest tylko pięć minut drogi, to jednak nie zaszkodzi się zrelaksować. Tuż przy parkingu strzelała wysoko w niebo stara nieczynna wieża ciśnień, w której przed kilkoma laty zainstalowała się miejscowa bohema. Na parterze mieścił się bar o nazwie Irlandia, pierwsze i drugie piętro zajmowała galeria Wyobraźnia Art, trzecie należało do pracowni plastycznych, na ostatniej kondygnacji znajdował się taras widokowy, skąd można było sycić oczy pięknym krajobrazem.

Mimo woli skupiła wzrok na nazwie baru, do którego wiodły ciężkie dębowe drzwi. Pomyślała o swoim chłopaku, który pojechał na Zieloną Wyspę, by się dorobić, a po

powrocie rozkręcić jakiś interes. Zapewne właściciel tego baru też tam był na saksach.

* * *

Kiedy zakończył się sportowy turniej, płowłosy i rosły Jacek poddał się uściskom zielonookiej Anny o kasztanowych włosach, związanych w kucyk. Dziewczyna sięgała mu do podbródka, więc wyglądało to dość zabawnie. Puciołowaty Marek, nieco wyższy od Ani, tylko się uśmiechał i zacierał dłonie.

- Roman był wściekły jak sto diabłów - powiedział Marek.

- I bardzo dobrze! - parsknęła dziewczyna. - Niech mu się nie wydaje! Czasami sprawia wrażenie, że naprawdę myśli, iż świat należy wyłącznie do niego. Zawsze drażniła mnie ta jego megalomania i niestrawne ciągotki do dominacji nad wszystkim, co ludzkie i w zasięgu wzroku. Typowy kandydat na dyktatora. Psyche ma cokolwiek ściemnione. Na dodatek to bezczelny cynik. Okropność! Nie cierpię gada! A jego starzy przecież nie są tacy źli, to całkiem mili ludzie. Cholera wie, w kogo on się wdał! I jego siostra też jest w porządku.

Jacek tylko kiwał głową i wpatrywał się pod nogi.

- Ciekawe, czy Stalin i Hitler w młodości też w jakiś sposób wyróżniali się spośród rówieśników - dodała. - Nie znam na tyle ich biografii, poza tym historia nie jest moją mocną stroną. Wolę matkę, tam przynajmniej wszystko musi się zgadzać ze zdrowym rozsądkiem.

- Słuchajcie - odezwał się Jacek. - Mamy piękne popołudnie, może gdzieś pójdziemy, co?

- W dede musisz być o szóstej, tak? - chciała się upewnić Anna. O domu dziecka mówiła zawsze dede, co on po prostu zaakceptował. Nie drażniło go to określenie. Kiedy przytaknął, powiedziała:

- No to chodźmy do kawiarenki na rynku na lody i colę. Ja stawiam. W tym tygodniu zarobiłam trochę grosza u mojej samotnej sąsiadki. Gruntownie posprzątałam jej mieszkanie, trochę uprałam i zrobiłam zakupy. Tak jakoś mi wyszło z tą pomocą. A kiedy za pierwszym razem nie chciałam przyjąć pieniędzy prawie się obraziła i powiedziała, że w takiej sytuacji więcej nie skorzysta z moich usług, sama sobie jakoś poradzi. Więc uległam. Chyba ma niezłą emeryturę. No i raz po raz do niej wpadam. A kasa zawsze się przyda, moich staruszków nie stać na tłuste kieszonkowe, mimo że jestem jedynaczką.

- No to idziemy - rzucił skwapliwie Marek, któremu też się specjalnie nie przelewało, jednak był zbyt leniwy na to, żeby rozejrzeć się za jakąś dorywczą pracą, kiedykolwiek,

nawet w wakacje. Jako zapalony numizmatyk w głowie miał tylko stare monety. Jego zbiór mógł zaimponować nawet wytrawnemu kolekcjonerowi. Ale większych pieniędzy nie dało się na tym zarobić, chyba że znalazłoby się gdzieś w polu skarbu w postaci średniowiecznych monet, a przecież takie historie się zdarzały.

Wyszli z Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Wyspiańskiego, które mieściło się u stóp płaskowyżu w zachodniej części W. Samo centrum miasteczka z najważniejszym urzędem publicznym, czyli ratuszem, leżało na wzniesieniu, reszta spływała ze wzgórza, aby spokojnie osiąść na rozległej, okolonej lasami równinie. Różnica poziomów wynosiła prawie dwadzieścia metrów. Chłopcy wzięli między siebie dziewczynę i zaczęli piąć się ulicą Wyspiańskiego w stronę rynku.

- Nasi władarze mają dobrze na tej górze - westchnęła Ania, gdy znaleźli się na prostokątnym placu otoczonym zabytkowymi budowlami i kamieniczkami.

- Dlaczego? - zdumiał się Marek.

- Blisko do nieba, a takich koneksji potrzeba każdemu, zwłaszcza dzisiaj - wyjaśniła humorystycznie.

Parsknęli śmiechem.

- Tylko ciekawe, dlaczego tak niewiele im z tych koneksji wychodzi - zastanowił się Jacek.

- Nie martw się! - zawołał buńczucznie Marek. - Kiedy dojdziemy do władzy rozwalimy wszystko to, co oni tak ładnie naprawili w naszym interesie! Im się wydaje, że jak są starsi, to mają więcej rozumu, a przecież jedno z drugim niekoniecznie musi iść w parze.

- Często bywa odwrotnie - skwitowała Anna, objęła Jacka w pól i położyła głowę na jego ramieniu.

Zatrzymali się na skraju rynku, przy wieży ciśnień. Dziewczyna mimo woli uśmiechnęła się na widok dużego plakatu, zapraszającego na piątkowy wernisaż wystawy malarstwa i rysunku Anny Jurczyk. Talent plastyczny odkryła w sobie przed niespełna dwoma laty. Jakoś sam się w niej objawił i w ogóle nie miała pojęcia, skąd się wziął. W rodzinie nie było artystycznych tradycji - nie tylko z plastyki, ale z jakiegokolwiek dziedziny sztuki.

- Tylko spróbujcie nie przyjść do galerii! - ostrzegła ich z udaną groźbą w głosie.

Po chwili ruszyli do kawiarenki, pod parasole, gdzie siedziało mnóstwo młodzieży.

* * *

Letnia kawiarenka była usytuowana przy końcu płyty rynku. Kilkanaście stolików okupowała młodzież, ale Wiktorii udało się znaleźć jeden wolny. W barku kupiła colę i lody z bakaliami, po czym usiadła. Jej pojawienie się wzbudziło pewne zainteresowanie, i to nie tylko chłopaków. Zauważyła to i nagle poczuła się trochę jak na cenzurowanym. Ale wstydzić się nie miała czego - była dość wysoka, szczupła, zgrabna, miała intrygujący wyraz twarzy a na upięte w kok blond włosy wcisnęła ciemne okulary. Słowem, zwracała na siebie uwagę. Starła się nie patrzeć wścibskim w oczy. Popijając colę, skupiła wzrok na znajdującym się przy dłuższym boku rynku pięknym gmachu z czerwonej cegły w którym mieścił się ratusz. Kiedy poczuła, że nikt na nią nie patrzy, zajęła się lodami i sama dyskretnie zaczęła się przyglądać siedzącym. Było gwarno i wesoło - piwo rozwiązuje języki, chociaż nie jest tak twórcze jak wino, zauważyłby jakiś artysta. Spojrzała, że tylko troje jej najbliższych sąsiadów z prawej strony nie piło i raczyło się tym samym, co ona. I też potrafili się śmiać. Zatem to nie piwo poprawia humor. Byli to dziewczyna i dwóch chłopaków - jeden płowowłosy, przystojny, drugi nieco misiowaty. *Śliczna jest* - pomyślała mimo woli o dziewczynie ze związanymi w kucyk kasztanowymi włosami. Nietrudno było się zorientować, że ona i płowowłosy stanowią parę. To po prostu rzucało się w oczy.

W pewnym momencie, pałaszując lody, zauważyła, że dwaj siedzący po lewej stronie chłopcy zerkają spode łba w jej kierunku. Szeptali coś do siebie. Gęby mieli raczej nieciekawe, na pewno wiali w siebie za dużo piwa, na ich stoliku stało kilka opróżnionych butelek. Kątem oka spojrzała, że jeden z nich - ubrany w czarną skórę - wstaje i podchodzi do niej. Był średniego wzrostu, dość dobrze zbudowany, miał krótko obcięte rude włosy. Poczuli się nieszczególnie i jeszcze bardziej skupiła się na lodach. Ale rudy nie zatrzymał się przy jej stoliku, tylko przy parze młodych ludzi z prawej strony.

- Cześć, bidul, co słychać? - rzucił zaczepnie do płowowłosego. - Podobno zostałeś królem strzelców ligi.

Płowowłosy odstawił butelkę coli i spojrzał na niego hardo. Wiktoria już wiedziała, że tamten jest wychowankiem domu dziecka, co wydawało się niezmiernie interesujące, biorąc pod uwagę jej przyszłą pracę magisterską.

- Jeśli chcesz pogadać, Żmija, to nie teraz i nie tutaj - syknął.

- A to czemu?

- Jesteś nawalony więc wal się sam, jasne?

Jak spojrzała Wiktoria, dziewczyna i misiowaty chłopak dość niepewnie wpatrywali się w intruza, który na siłę szukał zaczepki. Rudy zdawał się mieć na twarzy wymalowaną skłonność do wszczynania awantur.

- Nie mam ochoty wyobraź sobie! - zaśmiał się gardłowo rudy. - I co mi zrobisz, królu strzelców, hę?

- Nic, po prostu odejdę.

- Ale mi cwaniak! A panienkę i koleśia zostawisz?

- Odczep się od nich! - warknął płowowłosy. - A pogadać możemy bardzo chętnie, ale nie teraz i nie tutaj. Jasne? Aha, i jeszcze jedno, kochasiu. Twój „bidul” nie robi na mnie żadnego wrażenia. Już dawno się przyzwyczyłem do tego, że takie mutanty jak ty właśnie w taki sposób o nas gadają... Chociaż... to świadczy tylko o waszej inteligencji! Waszej, czyli takich, którzy mają rodziny i za dobrze im się dzieje. A teraz odpalaj wrotki i grzej asfalt!

Rudy uśmiechnął się ironicznie i zerknął na Wiktorię. Poczowała, że po plecach przebiegł jej dreszcz. *Zaczyna się nieźle* - pomyślała, kończąc lody. Dopiła colę, wstała i ruszyła w stronę parkingu. Odetchnęła. Nie oglądała się, więc nie wiedziała, czy rudy odszedł, czy został w kawiarence. Ale gdyby się obejrzała, zobaczyłaby jak wściekły Żmija wraca do swego kumpla. Wychowanek domu dziecka zaimponował jej. Nie dał się zastraszyć rudemu gburowi.

Podeszła do samochodu. Gdy wkładała kluczyk do zamka, prawie musiała się przykleić do drzwi, ponieważ na wolnym miejscu, tuż za jej plecami, z rykiem podrasowanego silnika i piskiem opon zatrzymał się jakiś wóz. Wystraszona, obejrzała się. Z granatowego samochodu marki BMW beztrósko wysiadł jakiś chłopak w białym podkoszulku i brązowej sztruksowej kurtce. Długie krucze kędziory spływały mu niemal na ramiona.

- Coś nie tak? - rzucił z aroganckim uśmiechem.

Wiktoria nagle się otrząsnęła.

- To nie boks na torze formuły jeden, tylko zwykły parking przy zwykłej drodze - powiedziała jadownicie.

- Naprawdę? Chyba nie zdołam tego zapamiętać, za dużo słów, a dziś panuje moda na oszczędność - zadrwił. - Ale chętnie bym cię przewiózł. Moja fura ma porządnego kopa, nie to, co ten twój czerwony dziadek. To już muzeum.

- Obejdzie się, panie wyścigowcu. Wiesz co? Wsadziłabym cię do bolidu formuły jeden, wypuściła na tor z zakazem schodzenia z prędkością poniżej dwustu pięćdziesięciu na godzinę. Założę się, że już na pierwszym zakręcie narobiłbyś w spodnie i z płaczem wrócił do mamusi, o ile w ogóle byś przeżył - dodała, wsiadając do auta i zapalając silnik.

Chłopaka zatkało. Otworzył usta, ale nie był w stanie wydobyć z siebie słowa. Nie stać go było na jakąkolwiek ripostę. Głupawym wzrokiem wpatrywał się w Wiktorię, jakby nie wierząc, że coś takiego dane mu było usłyszeć pod swoim adresem, i to od pięknej

nieznajomej. Wreszcie zacisnął zęby i zdecydowanym krokiem skierował się do Irlandii. Wiktoria uśmiechnęła się chłodno i spokojnie ruszyła. W pięć minut później znalazła się w prywatnym gospodarstwie agroturystycznym Familia, leżącym na rozległej nizinie na południowym obrzeżu miasteczka. Prowadzili je Iwona i Marian Stankiewiczowie.

* * *

Kawioru, krewetek, małż, ostryg czy innych delicji tu nie serwowano. Jedzenie było proste, ale urozmaicone, pożywne i bardzo smaczne. Dbała o to świetna kucharka Celina Czechowska, kobieta w średnim wieku, którą nazywano po prostu ciocią Celą. A pracy miała sporo, bo trzeba było codziennie wyżywić pięćdziesięcioro wychowanków i kilkoro wychowawców. Ale do pomocy miała młodszą koleżankę, więc nie było żadnych problemów. Posiłki podawano trzy razy dziennie o stałych porach.

O godzinie szóstej po południu w stołówce Państwowego Domu Dziecka im. Janusza Korczaka znajdowali się już chyba wszyscy. Właśnie trwała kolacja, a głównym tematem rozmów było zwycięstwo ich drużyny piłkarskiej w lidze i jej najjaśniejszą gwiazdą - Jacek Swojski - najlepszy strzelec. Wszyscy pęcznieli z dumy, że zespół po raz drugi wygrał prestiżowy turniej i pokazał, że chłopaki z domu dziecka nie są jakąś zbieraniną życiowych nieudaczników, tylko takimi samymi młodymi ludźmi jak inni. W przeszłości los obszedł się z nimi niełaskawie, ale jeśli cierpieli, to nie za swoje przewinienia. Niestety, ich koledzy i koleżanki z miasta, mieszkający w rodzinnych domach, lepiej lub gorzej sytuowani, różnie na nich patrzyli i wystawiali im swoje cenzurki. Często nie brakowało w nich złośliwości. Z konieczności więc wychowankowie - trzynaście dziewczyn i trzydziestu siedmiu chłopców w wieku od ośmiu do dwudziestu lat, którzy trafili tu z różnych stron województwa, a nawet spoza Wielkopolski - musieli się przyzwyczaić do takiego stanu rzeczy. Nie mieli innego wyjścia.

Dzisiejszego dnia dyżur do dwudziestej drugiej pełnił trzydziestoletni Janusz Tomczyński, wychowawca i opiekun Gromady numer 6, do której należało czterech piłkarzy, wśród nich Jacek Swojski. Wychowankowie byli podzieleni na siedem kilkuosobowych gromad, w zależności od wieku. Każda z nich miała swego wychowawcę - opiekuna. Dwoma gromadami dziewczęcymi zajmowały się wychowawczynie.

Janusz Tomczyński, łysiejący blondyn w okularach, jadł kolację z wychowankami - dziś była wędzona ryba. Siedział przy długim drewnianym stoliku z drużyną piłkarzy, którzy zdawali mu relację z przebiegu ostatniego meczu. Żałował, że ze względu na dyżur nie mógł

im kibicować i oglądać ich triumfu na żywo. Nie szczędził pochwał:

- Wszyscy uczciwie zapracowaliście na ten sukces. Znowu pokazaliście, że liczycie się w środowisku naszego miasteczka i jesteście w takim samym stopniu godni szacunku jak miejscowa młodzież.

Potem przeprosił ich w imieniu dyrektora, który nie mógł się zjawić, ponieważ musiał wyjechać w sprawach rodzinnych do Poznania - jego chrześniaczka przystępowała do Pierwszej Komunii Świętej.

Kiedy kolacja dobiegła końca, każdy zajął się swoimi sprawami. Świetlica jak zawsze pozostawała do dyspozycji dzieciaków, pokoje do nauki własnej również. W niedzielę mieli tu zawsze więcej luzu niż w dni powszednie.

Tomczyński wziął Jacka pod ramię i wyszli na zewnątrz okazałego piętrowego pałacyku z początku XX wieku, który znajdował się w starym parku. Budynek ten domagał się porządnego remontu, choć na zewnątrz sprawiał całkiem przyzwoite wrażenie. Na jego tyłach mieściły się pomieszczenia gospodarcze, boisko sportowe, a także niewielki plac zabaw. Obaj weszli na starannie utrzymaną alejkę, wijącą się pośród buków, klonów, dębów, kasztanowców i akacji. Jakiś czas milczeli, wdychając przyjemny zapach drzew.

- Jak ci się układa z Romanem Stankiewiczem? - zapytał wychowawca, ściskając ramię Jacka.

- Bezet - westchnął chłopak i wsadził ręce do kieszeni dżinsów.

Bardzo nie lubił, gdy Tomczyński chwycił go w taki sposób, a właściwie to w ogóle nie znosił tego dotyku, który zdarzał się już od pewnego czasu i coraz bardziej go zastanawiał.

- Czyli bez zmian... Tak, on ma trudny charakter. Sporo o nim wiem, no i dobrze znam jego rodziców. To bardzo przyzwoici ludzie, uczciwie dorobili się tego, co mają. Jak to się mówi, czasem i w porządnej rodzinie trafi się czarna owca. Jesteś przekonany że chodzi o twoją dziewczynę? Anię, tak?

- Annę - poprawił go.

- To przecież to samo.

- Dla niej nie. I dla mnie też.

- Aha... No tak, dla niektórych to jest ważne - uśmiechnął się wychowawca, nie odrywając dłoni od jego ramienia.

- Czy nie jest zastanawiające, że wcześniej mu nie przeszkadzałem? - zauważył Jacek i obracając się lekko, ale zdecydowanie, wyzwolił się spod jego uścisku.

Wychowawca odchrząknął, jakby się nieco zmieszał.

- Owszem, masz rację - przyznał. - Ale biorąc pod uwagę, że w nauce masz znacznie lepsze wyniki od niego, a ze sportem jest podobnie, to sytuacja staje się jasna. Myślę, że to wszystko razem mogło się w nim skumulować, stąd taka napastliwość i złośliwość wobec ciebie. A może ma na twoim tle kompleks niższości?

- Tak pan przypuszcza?

- I to jest możliwe. Ludzkie zachowania bywają czasem irracjonalne. Jacku, nie daj mu się sprowokować! Pamiętaj, bo będzie na ciebie! Ustąp mu pola, nawet jeśli nazwie cię tchórzem. Sam wiesz, że nie jesteś żadnym tchórzem. Po prostu jako wychowanek naszego domu musisz niejako podwójnie dbać o swoją reputację, wkładać w pracę nad sobą znacznie więcej sił niż ci z miasta. Niestety, niekiedy trzeba mocno zacisnąć zęby i policzyć - nie do pięciu, ale do dziesięciu - zakończył.

Jacek zastanawiał się, czy powiedzieć mu o popołudniowym incydencie w kawiarence, kiedy to przyczepił się do niego Żmija, który trzyma z Romanem. Ale się nie zdecydował. W miejscowym półświatku gnojka znano z różnych, nie zawsze czystych interesów. Wszyscy wiedzieli, że jest jednym z dealerów narkotyków. Był jednak na tyle sprytny, żeby nie dać się złapać. Minionej jesieni wrócił z wojska i pracował w prywatnym warsztacie samochodowym. Był dobrym mechanikiem, więc chwalili go i klienci, i właściciel. Jacek podejrzewał, że zaczepka Żmii to robota Romana, który chce go zastraszyć, albo... Gubił się w domysłach. Na wszelki wypadek lepiej było mieć oczy dookoła głowy.

- Staram się, ale to niełatwe - westchnął Jacek.

- Wiem, jednak musisz. Kiedy opuścisz te mury, możesz być wspaniałym człowiekiem. Zresztą i teraz nim jesteś, żebyś wiedział - Tomczyński przyjacielsko poklepał go po ramieniu.

- Dzięki.

- Jestem szczery wobec ciebie - uśmiechnął się wychowawca, po czym przystanął i uważniej przyjrzał się twarzy chłopaka. - Słuchaj, stary, czy ty nie powinienes już zacząć się golić?

Jacek wykrzywił twarz.

- Jakoś o tym nie pomyślałem.

- Chyba najwyższy czas. Hormony nie śpią, intensywnie pracują w twoim interesie. Mam w domu nowy aparat Gillette i komplet nożyków, które dostałem na imieniny w prezencie od szwagierki. Nie są mi potrzebne. Przyniosę ci w tygodniu.

Chłopak nie bardzo wiedział, jak zareagować. Wydawało mu się to cokolwiek nie na miejscu. W końcu prezent, choćby najmniejszy, zobowiązuje.

- Nie, chyba nie... - odparł z wahaniem. - Stary przyjedzie, to mi przywiezie. Napiszę do niego.

- Jak chcesz - skapitulował wychowawca i znowu odchrząknął.

Jacek odetchnął z ulgą. Usiedli na ławce. Od strony pałacyku zmierzała ku nim grupka dziewczyn, wśród nich najstarsza w placówce, siedemnastoletnia Paula Lipiec, uczennica liceum handlowego. Zatrzymały się przy ławce.

- Dwóch facetów w ustronnym miejscu, podejrzana sprawa - powiedziała z udawaną powagą Paula, która była znana z zaskakiwania rozmówców najbardziej karkołomnymi skojarzeniami różnych sytuacji, a polotu jej nie brakowało.

- Masz rację, nie omieszkaj jutro zameldować o tym panu dyrektorowi - zażartował Tomczyński.

- Jak się zastanowię, to może i o tym pomyślę - odparła przewrotnie i zachichotała, kręcąc długim ciemnym warkoczem.

Była ładna, a kiedy się uśmiechała, w policzkach pokazywały się małe dołeczki. Poza tym wychowawcy i wychowankowie zgodnie uznawali ją za najbardziej nieobliczalną z całej żeńskiej grupy. Niejeden chłopak nie miał przy niej nic do gadania, w kaszę dmuchać sobie nie dawała i potrafiła tak trzepać językiem, że niektórym puchły uszy (nie chodziło bynajmniej o przekleństwa, te na nikim nie robiły wrażenia, były na porządku dziennym podobnie jak oddychanie). Poza tym Paulę znano z jeszcze jednej rzeczy której chyba wszyscy jej zazdrościli, włącznie z wychowawcami, nauczycielami i samym panem dyrektorem: miała niesamowity talent literacki, zwłaszcza satyryczny. Sama nie wiedziała, skąd coś takiego się w niej bierze.

Wyciągnęła z kieszeni paczkę papierosów i spokojnie zapaliła.

- Już tyle razy ci mówiłem, że palenie jest niezdrowe, zwłaszcza w młodym wieku - skarcił ją natychmiast wychowawca.

- A ja tyle razy odpowiadałam panu, że samo życie jest niezdrowe, zwłaszcza w starszym wieku - odcięła się. - Gdybym dostawała więcej kasy od matki, to może bym i ćpała. Ostatnio zostawiła mi pięć dych. Majątek jak diabli! Nie wiem, co z nim zrobić. Więc co mi pozostało? Mam wszystko gdzieś! - dorzuciła.

- No dobrze, to bawcie się, moi drodzy... Tylko bardziej elegancko - westchnął Tomczyński, wstał i skierował się do budynku.

Jacek odprowadzał go wzrokiem, aż ten nie zniknął za budynkiem. *Nic z tego, chłopie, zapoluj na kogoś innego* - pomyślał z niejakim triumfem.

Paula usiadła obok Jacka. Pozostałe dziewczyny - w wieku od ośmiu do jedenastu lat -

pojęły, o co chodzi, i poszły dalej alejką. Jacek wiedział, że od jakiegoś czasu Paula się w nim podkochuje - takie rzeczy się wyczuwa - ale był pewien, iż ona ma świadomość tego, że jego serce jest już zajęte. Jednak lubili sobie pogadać, w końcu mieszkali pod jednym dachem. Inna sprawa, że w tych rozmowach Paula zawsze potrafiła znaleźć jakąś furtkę, którą przemykała się na śliski grunt pod hasłem „Coś więcej niż przyjaźń”. Jackowi nie pozostawało więc nic innego, jak tylko zabawiać się w ten nieszkodliwy flirt. Teraz też zaczęło się robić dwuznacznie. Paula bezceremonialnie przytuliła się do niego, a on ją objął.

- Ale bez żadnych podtekstów - powiedziała, cmokając go w policzek. - Potrzebuję prawdziwego ciepła. Do drzewa, poduszki i tym podobnych zimnych rzeczy nie chcę wracać, wyrosłam z nich.

- Wiem, Paulo, ja też.

Umilkli przytuleni.

- Nie, nie ćpałabym.

- Co?

- To, o czym mówiłam wcześniej...

- Aha, o matce.

- Tak. Mimo wszystko kocham ją. Wychowywała mnie, dopóki umiała, a potem dopadła ją ta przeklęta choroba na wielkie anonimowe A!... Wiesz co, Jacusiu? Kiedy skończę szkołę i znajdę pracę, to będę jej pomagać. Najpierw zafunduję jej porządny odwyk, po którym sklepy z butelkami będzie omijać wielkim łukiem. A wtedy to już jakoś normalnie pójdzie. I znajdę sobie chłopaka, który mnie pokocha, a ja jego.

- Z tym drugim nie będziesz miała żadnego kłopotu. Jesteś inteligentna, ładna, zgrabna...

- I kto to mówi! Chłopak, któremu prawie siedzę na kolanach! I w którym się kocham.

- Paulo, przecież wiesz, że ja...

- Oj, wiem! Już nie marudź. Gdyby nie Anna, kochałbyś mnie. Ale przytulaj mnie za darmo, ile tylko chcesz. Obyś nigdy nie miał mnie dosyć. Może być?

- Jasne.

- A pocałowałbyś mnie w policzek?

Uśmiechnął się i zrobił to.

- A mógłbyś to zrobić jeszcze raz, ale tutaj? - wskazującym palcem lewej dłoni dotknęła swoich warg.

- Nie, tego nie mogę.

- Rozumiem... Ja też bym nie chciała, żeby mój przyszły chłopak całował się z innymi

dziewczynami. Chyba zatłukłabym go na śmierć. Pochrzanione jest to nasze życie...

- Na razie. Trzeba ciągle wierzyć, że będzie lepiej. Inaczej klops. Trzeba się starać. Masz talent do pisania, więc przyłóż się do tej roboty, może ci się poszczęści. Każdy ma swoje pięć minut, które powinno się wykorzystać.

- Też prawda. Ale odrobina szczęścia zawsze jest potrzebna, nawet kowalowi, żeby nie walnął się młotkiem w palec.

* * *

Wynajęła najmniejszy z ośmiu drewnianych domków, które stały w pobliżu dużego zarybionego stawu. Przewidywała najwyżej tygodniowy pobyt, więc cały jej bagaż zmieścił się w sporej torbie turystycznej. Domek był wygodny, z prysznicem i ubikacją, a w pokoiku stała mała lodówka, do której włożyła kilka butelek wody mineralnej.

Gospodarze - Iwona i Marian Stankiewiczowie, obydwójce po czterdziestce - okazali się miłymi i życzliwymi ludźmi. Cena za dobę wraz z pełnym wyżywieniem nie była wygórowana, nawet na studencką kieszeń. Inna sprawa, że sezon jeszcze na dobre się nie zaczął, więc policzono jej kilka złotych mniej.

Po rozpakowaniu się pospacerowała po kilkunastohektarowym gospodarstwie. Czulo się rękę właścicieli - było czysto, schludnie, porządnie, po prostu sielsko anielsko. Kolorowy folder, który otrzymała na powitanie, nie kłamał.

Na ogrodzonej drewnianymi żerdziami i zamkniętej iglastym lasem wykoszonej łące biegały luzem konie i dwa żrebacki. Znajdowały się tu także trzy lamy, dwa osiołki i dwie karłowate kozy. Tuż przy lesie pasła się krowa, którą trzymano dla mleka. Gospodarze promowali ekologiczną żywność, sami dbali o dobre wyżywienie gości i niewiele kupowali w mieście pożywienia. W chlewie mieli też kilka świń przeznaczonych na mięso. Otoczona siatką zadaszona woliera, którą usytuowano nieopodal dużego grilla naprzeciwko domków, była siedzibą ozdobnego ptactwa. Wszystko zaś obliczono na zapewnienie turystom jak najlepszego wypoczynku.

Krótko przed dziesiątą Wiktoria poszła na kolację do obszernego piętrowego domu, którego cały fronton porastała przepiękna winorośl. Kilka metrów od ściany szczytowej, od strony podwórza stały mała wędzarnia i piec chlebowy opalany drewnem. Za domem rozciągał się zadbanej sad.

Przed wejściem do domu Wiktoria zobaczyła córkę gospodarzy, szesnastoletnią Justynę, która właśnie rozmawiała przez komórkę. Była to drobna dziewczyna o krótkich

czarnych włosach ubarwionych miejscami ciemną czerwienią, które aż sterczały od żelu. Miała na sobie dzinsy nabijane ćwiekami na całej długości szwów wiodących wzdłuż bioder, przegub prawej dłoni ciasno opinała szeroka skórzana bransoleta nabijana niedużymi metalowymi kolcami o zaokrąglonych czubkach, na szyi podzwaniały delikatnie korale z nieobrobionego bursztynu, z niedużym stylizowanym krzyżem. Pozowała na punkówkę, co nie podobało się jej mamie. Ojciec przymykał oko na dziwny wygląd swojej pociechy. Brat natomiast nie mógł się do niego przyzwyczaić, co prowadziło do złośliwych zaczepek i pobłażliwych uśmieszków. Sytuacja ta sprawiała, że już od dłuższego czasu rodzeństwo darło ze sobą koty.

Wiktoria zdążyła wcześniej poznać Justynę, bardzo sympatyczną mimo ekscentrycznego ubioru. Uśmiechnęła się do niej, po czym weszła do domu i skierowała się do obszernej, wyłożonej ciemnym drewnem jadalni, którą zapełniały antyki. Pośrodku stał stół, przy którym swobodnie mogło siedzieć dwadzieścia osób, a wolnego miejsca dokoła zostało jeszcze tyle, że w razie potrzeby zawsze można było dostawić mniejszy stolik.

W jadalni zastała gospodarzy. Na kolację podawali pyszności własnego wyrobu, poczynając od pachnącego chleba z rumianą skórką, a na smakowitej szynce kończąc. Do stołu zasiadła też Justyna. Gospodarze byli bardzo rozmowni, a ich córka na dodatek ciekawska, czego Wiktoria nie miała jej za złe. Wyjawiała, kim jest i w jakim celu zjawiała się w tej miejscowości. W zamian dowiedziała się, że kucharzenie jest wyłącznym zadaniem głowy rodziny natomiast żona Stankiewicza prowadzi całą administrację i sprzęta. Na stałe zatrudniano tylko jednego pracownika, który zajmował się zwierzętami, pracami polowymi i sadowniczymi.

Mimo że kolacja się przeciągała, Wiktoria nie czuła znudzenia. Od pierwszych chwil dobrze jej było w tym towarzystwie.

- Muszę państwu powiedzieć, że bardzo smakuje mi ten chleb i szynka - powiedziała szczerze. - Czegoś takiego jeszcze nie jadłam, w każdym razie nie przypominam sobie, proszę mi wierzyć.

- Ba! - roześmiał się zadowolony gospodarz. - W tym nie ma żadnej chemii, pani Wiktorio! Żadnych cholernych konserwantów, które tylko psują smak i jakość żywności. To sama matka natura! Ekologia. Szkoda, że Polska dopiero się budzi w tych sprawach. No i, niestety, już z ręką w nocniku - dodał, a jego żona skwapliwie potaknęła.

Znienacka przed domem rozległ się ryk silnika, który zaraz ucichł, a po chwili do jadalni wszedł syn gospodarzy. Wiktorię po prostu замуrowało. Zastygła na krześle z uniesioną kanapką, wpatrując się w chłopaka o kruczoczarnych kędziorach.

- To jest nasz syn, Roman - poinformowała ją pani domu. - Romeczku, mamy pierwszego gościa przed sezonem, panią Wiktorię Malińską, studentkę socjologii z Poznania.

O rany! Ale wdepnęłam! - pomyślała z pewnym przerażeniem, odkładając kanapkę na talerzyk. Roman także nie ukrywał zaskoczenia, ale szybko się opanował. Uśmiechnął się, podszedł do Wiktorii i podał jej rękę.

- Miło mi poznać, jestem Roman.

- Wiktoria - nie wstając, podała mu dłoń.

- Romeczku, siadaj zaraz do stołu, podam ci nakrycie. A tak w ogóle, to gdzie tak długo byłeś? - gospodyni przeszła do kuchni.

- Oj, mamusiu, wiesz, jak to jest po meczu...

- Przegranym, jak usłyszałem od Justyny - odezwał się nieco kaśliwie ojciec, przeczesując ręką bujne kruczoczarne włosy - A więc nie wygraliście ligi, co tak buńczucznie zapowiadałeś.

- Właśnie, samochwała w kącie stała - mruknęła Justyna.

- Cóż, tatusiu, to jest piłka, a piłka jest okrągła, no, sam wiesz... - westchnął chłopak i usiadł naprzeciwko Wiktorii.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Roman zaczął się lekko uśmiechać. Dziewczyna nie wytrzymała tego spojrzenia, opuściła wzrok i zajęła się jedzeniem. Przed jej oczyma pojawiła się scena przed wieżą ciśniem. Gdzieś ulotniła się cała jej dotychczasowa pogoda ducha. Jednak zdawała sobie sprawę, że nie może się nadal zachowywać tak jak zahukany Kopciuszek, bo to mogłoby stać się dla chłopaka jakimś sygnałem, że czuje się przez niego zdominowana. Nie mogła sobie na coś takiego pozwolić, więc postanowiła przejąć inicjatywę.

- Może powiesz mi coś bliżej o tej waszej lidze? Pewnie przyda mi się to w mojej pracy - poprosiła i wyjaśniła, po co tu przejechała.

Potrząsnął głową i zaczął opowiadać, a należał do gadatliwych. Wiktoria od razu poczuła się pewniej. Wróciła pani Iwona i postawiła przed synem nakrycie, a ten ochoczo zabrał się za jedzenie.

- Ty jesteś bramkarzem, a kto jest najlepszym strzelcem w lidze? - indagowała Wiktoria. - Bo to dwaj najważniejsi piłkarze, chociaż wszyscy są, oczywiście, tak samo ważni.

Roman na moment zwiesił głowę i odchrząknął.

- Jacek Swojski.

- Z waszej drużyny?

- Nie...

- Ale są w jednej klasie - dopowiedziała Justyna. - Szkoda, że nie widziałaś, jakie piękne dwa gole strzelił Romanowi, w tym jeden z karnego. Prawdziwy majstersztyk. Cudo!

Roman nie miał najweselszej miny, koso zerknął na siostrę. Relacje między rodzeństwem nie należały do wzorcowych, jakiś czas temu przestali nadawać na tej samej fali. Sprzeczki i wzajemne uszczypliwości były dość częste, czasem szło o głupstwa.

- A z jakiej drużyny jest ten Jacek? - Wiktoria ujęła filiżankę z herbatą. Wprawdzie domyślała się, że z domu dziecka, ale chciała się upewnić.

- Z bidulca - rzucił krótko.

- Przepraszam, skąd? - jej ręka z filiżanką zastygła w połowie drogi do ust.

- Z... z domu dziecka - sprostował nieco zakłopotany zerkając na rodziców, którzy zdawali się niczego nie słyszeć, zajęci własną rozmową.

- Aha...

- Po prostu... stereotyp... to wymknięcie... - dopowiedział Roman nieco pewniej.

Wiktoria odstawiła filiżankę.

- Stereotyp... czyli taki szablon mający z założenia moc rozgrzeszania - uśmiechnęła się powściągliwie. - Rozumiem.

- No tak się po prostu mówi i tyle - mruknął.

- Jasne - zgodziła się Wiktoria. - Założę się, że na boisku rywale, lecz na co dzień serdeczni przyjaciele, prawda?

- Tak, oczywiście, to normalka - odparł szybko.

W tym momencie nie uszło jej uwagi szybkie zerknięcie Justyny na brata, w którym dopatrzyła się zaskoczenia jego ostatnimi słowami. Po chwili Roman zmienił temat:

- Czyli że u nas, w licku, też się zjawisz, tak?

- Naturalnie, jutro. Będę miała dla was ankiety do wypełnienia, oczywiście anonimowe. Przekażę je dyrektorowi, a wasi wychowawcy wam je rozdadzą. No, a potem będę chciała zorganizować spotkanie z osobami chętnymi do dyskusji ze wszystkich szkół. Może odbędzie się ono w domu kultury, gdzie mają dużą salę, ale najpierw muszę uzgodnić całą rzecz z dyrektorem. Zajrzę również do... domu dziecka - zaakcentowała dwa ostatnie słowa.

Roman zwiesił głowę.

- Pani Wiktorio, mam bardzo dobre wino domowej roboty, z winogron - odezwał się zachęcająco gospodarz, głaszcząc przystrzyżoną w szpic szpakowatą bródkę, która nadawała mu nobliwy wyraz hiszpańskiego granda. - Spróbuj pani? Niebo w gębie, naprawdę.

- Bardzo chętnie, kieliszek poprawi mi krążenie - uśmiechnęła się. - To i wino pan robi?

- Mąż jest niezastąpiony we wszelkich kulinarnych sprawach, ja przy nim nie mam nic do gadania, powtarzam pani - powiedziała z zadowoleniem gospodyni, pulchna szatynka o krótkich włosach.

Wino istotnie smakowało Wiktorii, ale poprzestała na jednym kieliszku, podziękowała za smaczną kolację i wróciła do domku. Kiedy wzięła prysznic i położyła się do łóżka, jeszcze myślała o tym nieoczekiwanym i absolutnie zaskakującym zdarzeniu, jakim było pojawienie się Romana, którego po południu całkiem zgrabnie przywołała do porządku, tak że biedak zapomniał języka w gębie. To zaś, że obydwójce nie poruszyli tej sprawy przy stole, było dla niej zrozumiałe samo przez się. Zdumiewała ją wręcz wzorcowa forma grzeczności zastosowana przez Romana wobec rodziców. Stary byk, a tu „mamusiu”, „tatusiu”... *Tylko chwalić* - pomyślała z niejakim podziwem. To świadczyło przecież o tych starszych ludziach, którzy w tych coraz bardziej rozwydrzonych czasach, potrafili przykładowo wychować swoje dzieciaki. Oczywiście, każdemu może się coś wymknąć, ideałów nie ma. Ponieważ nie chciało się jej spać, sięgnęła po książkę, wyjęła zakładkę i zajęła się lekturą. Był to „Doktor Żywago” Borysa Pasternaka. Czytała to arcydzieło po raz trzeci i zawsze z przyjemnością.

Poniedziałek, 14 maja

Zapowiadał się piękny dzień. Grzechem byłoby wylegiwać się do późna w łóżku, zresztą Wiktoria nie potrafiła długo spać. Nie robiła tego nawet zimą, chociaż żal jej było wysuwać się spod ciepłej kołdry i wylazić prosto na mróz albo śnieżną zadymkę. Nim zjawiała się na śniadaniu, dokładnie przeanalizowała plan działania na cały dzień. Najpierw zamierzała odwiedzić wszystkie szkoły gimnazjalne i ponadgimnazjalne oraz dom dziecka. Chciała porozmawiać z dyrektorami, których już знаła z poprzedniej wizyty, i zostawić ankiety dla uczniów. W domu poświęciła sporo czasu na opracowanie trzydziestu pytań dotyczących różnych aspektów życia młodzieży. Wprowadziła zerkając na gotowe wzorce swoich starszych koleżanek i kolegów, ale miała ambicję, by opracować ankietę autorską, którą skonsultowała ze swoim profesorem, dość częstym gościem telewizyjnych programów publicystycznych. Profesor pochwalił ją za drobiazgową wnikliwość i - jak to ujął isticie conradowskim językiem - próbę wnikięcia w samo jądro ciemności. Po tych słowach Wiktoria, niebędąca już przecież podlotkiem, mocno się zarumieniła. *Jądro ciemności* - w duchu musiała mu przyznać umiejętne ujęcie rzeczywistości.

Na śniadanie przyszła o ósmej w nadziei, że Roman będzie już w szkole. Nie miała ochoty na rozmowę z nim, choć nie umiała sobie wyjaśnić dlaczego. Jakby podświadomie przeczuwała, że lepiej zbytnio się do niego nie zbliżać, nie pozwolić mu na spoufalanie się ze sobą, bo chyba coś zauważyła w jego bezczelnym spojrzeniu podczas kolacji. Pogawędziła sobie za to z Justyną, która do szkoły szła dopiero na dziesiątą i karmiła ją plotkami z gimnazjum. Wiktoria, jedząc z apetytem owsiankę na mleku prosto od krowy i chleb posmarowany grubo masłem i powidłami (w domu wcinała lekkie śniadania, ale one nie umywały się do tego), pilnie słuchała wywodów dziewczyny i delikatnie podpytywała ją, jeśli temat był interesujący. Musiała przyznać, że - jak na szesnastolatkę - ma trafne spostrzeżenia na temat życia nastolatków. Siedziały same przy wielkim stole, rodzice Justyny zajmowali się czymś na zewnątrz, mogły więc swobodnie rozmawiać.

- Na szczęście u nas nie dochodzi do takich numerów, jakie zdarzają się w niektórych gimnazjach, że kilku kretnów wyładowuje swoją agresję na belfrach czy uczniach. - powiedziała Justyna z zastanowieniem. - Wiesz, że niektóre scenki nawet telewizja pokazuje? Nie potrafiłabym sobie czegoś takiego wyobrazić w naszej budzie. To przecież jest chore!

- Ale choroba nie bierze się z niczego, nie uważasz? - indagowała Wiktoria.

- Tak, wiem... To znaczy nie. Nie wiem, co tu nie gra. Może tym gnojkom brakuje dobrego wychowania w domu?

- Przypuszczasz, że w tym tkwi problem?

Justyna podparła dłonią podbródek i ciągnęła:

- Czy nie mówi się o tym coraz głośniejsze? Szkoła odbija piłeczkę do rodziców, oni znowu do szkoły, a my, młodzi, do wszystkich starszych razem wziętych, nawet do wścibskich sąsiadów. No i nie ma takiego mądrego, który odpowiedziałby na pytanie, kto jest temu winien, że my jesteśmy tacy. Coś w sam raz dla socjologa, prawda?

- Bingo! - roześmiała się Wiktoria. - A nie uważasz, że takie postrzeżenie przez was problemu jest pójściem na skróty, na łatwiznę? - kontynuowała temat. - Nie sądzisz, że to mniej lub bardziej wyrafinowana ucieczka przed odpowiedzialnością za swoje czyny?

- Nie mam pojęcia. Za mało jeszcze wiem o życiu. Kiedy moi rodzice byli młodzi, mieli szacunek do belfrów i do szkoły choć też lubili rozrabiać. Tatuś czasem wspomina swoje szkolne lata. Lecz mieli w tym umiar, znali swoje miejsce w szyku, tak przynajmniej nam mówili. Chyba że nas okłamywali. Ich młodość i nasza młodość to dwa zupełnie różne światy, tak to widzę. A ty?

- Ja też. Słuchaj, a jak wygląda sprawa z narkotykami w gimnazjum?

Justyna potrząsnęła głową nad talerzem.

- Od ubiegłego roku, kiedy wybuchła niezła afera z prochami i złapano jednego dealera, nie ma z tym problemu, przynajmniej o niczym takim nie wiem. Ale słyszałam, że w licku, handlowce czy w mechaniku są amatorzy czegoś mocniejszego od piwa. Kiedyś zagadnęłam o to Romana, ale zbył mnie jak smarkulę.

- Czyli piwo...

- Jak idę do Planety gdzie właściwie można sobie pozwolić na wszystko, to - dosłownie - biorę jedno piwo. Czemu nie? To jeszcze nie jest nic złego. Dla animuszu. Co ci będę ściemniać! Czy nie jest jakby normalne, że w młodości trzeba wszystkiego posmakować, a potem odrzucić to, co złe? Inaczej, skąd będę wiedzieć, co i jak smakuje, czy to trucizna, czy lekarstwo? Od taty i mamy, od belfra, księdza czy z książek? To coś, jak... jak takie akademickie nauczanie.

- Poniekąd - przyznała Wiktoria, choć nie była tego pewna; miała swoje spojrzenie na życie, w większości odwołujące się do różnego rodzaju teorii i na razie wszystko w tym dorosłym świecie układało się jej w miarę zgrabnie, cegiełka po cegiełce.

Justyna zapatrzyła się w okno, obserwując rodziców, którzy rozmawiali ze sobą przed domem. Po dłuższej chwili stwierdziła:

- Papierosów nie palę, chociaż próbowałam. Jednak to nie dla mnie. Całowanie się z chłopakiem, który pali, jest czymś okropnym. Raz mi wystarczyło.

- Masz chłopaka?

- Jeszcze się rozglądam! - parsknęła zabawnie. - Jestem dość wybredna, jak na swój wiek. Pierwszemu lepszemu na pewno nie wskoczę do łóżka. Palisz?

- Nie. Ale spróbowałam tego draństwa.

- A piwo lubisz?

- Czasem na imprezach daję się skusić, lecz z umiarem. Wolę kieliszek dobrego wina w miłym towarzystwie. I na kieliszku kończę.

- Taka jesteś święta? - zaśmiała się Justyna.

- Bez przesady! Wszystko jest dla ludzi. Aby nie popaść w skrajność z używaniem tego czy owego, bo wtedy zaczynają się problemy. Wyznaję zasadę: „Mogę, choć nie muszę”, a nie „Muszę, choć nie mogę”. Chwytasz?

- Pewnie.

- To dobra reguła i warto się jej trzymać.

- Zapamiętam na przyszłość, bo na razie nie muszę wybierać między jednym a drugim.

- Oby tylko nie przegapić właściwego momentu, gdyby zaszła taka konieczność -

zakończyła Wiktoria.

Wstały od stołu. Wiktoria wróciła do domku po teczkę z papierami i pięć minut później wsiadła do samochodu, który zostawiła na niewielkim parkingu przed domem. Przy otwartym garażu, w którym stało już zielone audi, zauważyła bmw Romana. Najpierw pojechała do miejskiego domu kultury, który zlokalizowany był niedaleko ogólniaka, w dużym, ale nieciekawym architektonicznie budynku z końca lat siedemdziesiątych. Jego elewacja domagała się gruntownego odnowienia.

Placówka rozbrzmiewała gwarem, gdyż pracownicy na czele z dyrektorką Michaliną Janicką dopinali ostatnie szczegóły do zaplanowanych na środę V Międzyszkolnych Konfrontacji Małych Form Teatralnych pod hasłem „Co nam w duszy gra”. Impreza cieszyła się wielkim powodzeniem w całej gminie.

Dyrektorka, którą Wiktoria poznała już wcześniej, była miłą osobą w średnim wieku i mimo licznych zajęć znalazła czas, aby porozmawiać z gościem. Dziewczyna bez problemów dogadała się z nią w sprawie wynajęcia sali na spotkanie z młodzieżą, które miałyby się odbyć zaraz po wypełnieniu ankiet. Piątek okazał się terminem nierealnym, ale czwartek był wolny.

Zadowolona Wiktoria zeszła na parter, usiadła w holu przy stoliku, wyciągnęła z reklamówki teczkę i wydobyla z niej gruby plik ankiet, na których u dołu był już wypisany tekst zaproszenia. Teraz wystarczyło tylko wstawić datę, co zajęło jej kwadrans.

Do Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Wyspiańskiego miała kilka kroków. Akurat kończyła się duża przerwa, korytarze i schody wypełniali uczniowie. Wszyscy hałasowali, aż uszy puchły komórki w ich rękach rozpalały się do czerwoności. Piętrowy budynek wydawał się zbyt ciasny dla takiej rzeszy uczniów. Wiktoria z niemałym trudem przebijała się przez tłum, starając się wejść na piętro, gdzie mieścił się gabinet dyrektora. Mimo że ubrała się podobnie jak licealistki, to jednak zwracała na siebie uwagę - luźną błękitną bluzkę wypuściła na dzinsy i nie pokazywała pępka tak jak inne dziewczyny. A niektóre miały nawet w nim kolczyk! Ona była zagorzałą przeciwniczką kolczykowania się na ciele, z wyjątkiem uszu. Obecna moda stanowczo jej nie odpowiadała, podobnie jak bezwstydną zwyczaj przytulania się i całowania podczas przerw, niemal na oczach dyżurującego nauczyciela, który w takich sytuacjach najczęściej wolał odwrócić głowę, niż zwrócić uwagę. Jednak nie oznaczało to, że była pruderyjna. Gdzież tam! Po prostu jakoś nie mogła tego zaakceptować, kłóciło się to z jej wyobrażeniem o intymności zakochanych.

W holu nadziała się wzrokiem na stojącą pod ścianą parkę, wczorajszych sąsiadów z kawiarenki pod parasolami - płowowłosego i zielonooką z włosami związanymi w kucyk. Też

mizdrzyli się do siebie, ona chyba bardziej niż on. Nawet kartki nie dałoby się wcisnąć między nich. *Zakochani aż po czubki głów* - pomyślała. Wiedziała już, że chłopak nazywa się Jacek Swojski. Naraz obydwójce spojrzeli na Wiktorię, a w ich oczach pojawiło się wyraźne zaskoczenie. Spuściła wzrok i przeciskała się dalej, gdy nagle poczuła, że ktoś popukuje ją w ramię. Obejrzała się.

- Cześć! Myślałem, że już nie przyjdiesz! - wrzasnął Roman głosem, który przewyższał o kilka decybeli panujący wokół hałas. Jednocześnie rzucał okiem na prawo i lewo, jakby chciał sprawdzić, czy wszyscy wyraźnie go słyszeli.

Jęknęła w duchu.

- Nie przyszłam do ciebie - odparła spokojnie.

Roman nie dał się zbić z tropu.

- Może utoruję ci drogę? - zaproponował takim samym tonem.

- Za to byłabym ci wdzięczna.

Z łatwością poprowadził ją do schodów, wspomagając się łokciami, jakby był do tego przyzwyczajony, a potem poszli wyżej. Tyle tylko że Wiktorii nie podobało się, iż chwycił ją za ramię. Wprawdzie delikatnie, ale zawsze. W oczach spozierających na nich licealistów mogło to wyglądać na zażyłość. Jednak nie chciała na siłę odrywać jego ręki od siebie. Jakoś musiała to przełknąć.

- To tutaj - powiedział, gdy zatrzymali się przed drzwiami sekretariatu.

- Wiem, już tu byłam. Dzięki za pomoc - uśmiechnęła się lekko i weszła do środka. - Dzień dobry!

Dyrektor Józef Marczak, niewysoki, łysy jak kolano pięćdziesięcioletek, stał pochylony przy sekretarce. Obydwójce wpatrywali się w monitor komputera i o czymś rozmawiali. Po chwili skończyli.

- Witam panią - uśmiechnął się Marczak, podał jej rękę i zaprosił do gabinetu, gdzie siedział Antoni Raczkiewicz, który powoli zbierał swoje notatki i dyktafon, z zamiarem włożenia ich do torby - Dyrektor przedstawił ich sobie, po czym poinformował dziennikarza, w jakim celu zjawiała się u nich studentka socjologii.

- O, to interesujące - uśmiechnął się Raczkiewicz i jakby przeszła mu ochota na opuszczenie pokoju. - Może porozmawiamy później? To byłby ciekawy materiał do gazety.

- Cóż... Nie wiem, ile tu zabawię - zakłopotana się Wiktoria.

- Zaczekam na dole - odparł i pożegnał się z dyrektorem.

Kiedy wyszedł, dyrektor usiadł przy długim stole ustawionym prostopadle do jego biurka. - Mam teraz okienko, więc spokojnie porozmawiamy. Kawa, herbata?

- Oj, nie chciałabym...

- Żaden problem, pani Wiktorio... Więc?

- Kawa. Rozpuszczalna, jeśli można.

- Pani Irenko, poproszę o dwie rozpuszczalne - zawołał do sekretarki.

- Oczywiście.

- Ci dziennikarze są tak wścibscy że krew człowieka zalewa - zaczął się żalić. - Ale trzeba z nimi dobrze żyć, bo czasem to właśnie nam zależy na opublikowaniu pewnych informacji, na przykład o naszych osiągnięciach. A zdarzają się sukcesy na tematycznych olimpiadach wojewódzkich, ogólnopolskich, jakieś osiągnięcia sportowe i tak dalej... A trochę nagród i wyróżnień mamy, więc warto się nimi pochwalić.

- Jasne.

- Ale teraz to mnie kompletnie zaskoczył.

- To znaczy?

- Problem z narkotykami i alkoholem wśród licealistów, bo o papierosach to już dziś nie ma co gadać, są niczym używki dla niemowląt.

- Czyli że jest coś na rzeczy?

- Wszystkich nie upilnujemy nawet przy pomocy monitoringu, który mamy od ponad roku. To syzyfowa praca. Wie pani, przestępca zawsze wyprzedza o krok policjanta.

* * *

Podczas gdy Wiktoria rozmawiała z dyrektorem, Roman wszedł do zapełnionej młodzieżą klasy. Przy nauczycielskim stole siedział już siwowłosy wychowawca Jan Sadłowski zwany Leksykonem. Właśnie otwierał dziennik. Uczniowie bardzo go lubili. Był życzliwy pełen humoru, czasem nieco rubaszny, ale w granicach przyzwoitości. I bardziej niż inni nauczyciele rozumiał problemy młodzieży o których rozmawiał nawet na polskim, aczkolwiek zbyt krótko.

- Co to za spóźnianie się, Romek? - mruknął polonista, ściągając z nosa okulary. Przydomek Leksykon nosił od niepamiętnych czasów, był bowiem wielkim miłośnikiem wszelkich publikacji słownikowo-encyklopedycznych, które starał się propagować wśród licealistów. Pragnął, aby pogłębiali swoją wiedzę ogólną, a tej nigdy nie za wiele, tak przynajmniej uważał.

- Sorki, panie psorze...

- Słuchaj, młodzieńcze - ciągnął rozdrażniony - te swoje „sorki” możesz sobie

szwargotać na angielskim, jeśli pani anglistka nie wyrzuci cię przez zamknięte drzwi za kaleczenie języka. Rozumiemy się? I na twoim miejscu przyłożyłbym się najpierw do polskiego, bo do orłów cię nie zaliczam. Jeśli chodzi o polot, ulokowałbym cię gdzieś między kaczką a kurą - dorzucił nieco uszczypliwie, co wywołało w klasie głośny rechot. - Oczywiście mam na myśli kaczkę domową, a nie dziką. Ale żeby cię do końca nie zdołować, to powiem, że ja w twoim wieku pisałem żet z kropką przez o z kreską! No i popatrz, zostałem magistrem polonistyki. A niedługo szczęśliwie przejdę na emeryturę, więc będziesz mógł sobie odetchnąć. Chyba że moje miejsce zajmie prawdziwa siekiera.

Klasa znowu nie wytrzymała - chichotano od ściany do ściany. Roman mocno się stropił, potrząsnął głową i klapnął na przedostatnią ławkę przy ścianie, za Jackiem. Anna, siedząca w drugiej ławce środkowego rzędu, odwróciła głowę i posłała Jackowi uśmiech, zahaczając kątem oka o Romana, który naburmuszony szeptał coś do Zenka Paprockiego, swego - można by rzec - totumfackiego, a ten potakiwał milcząco.

Cała klasa wiedziała, że piegowaty drobny Zenek od dłuższego czasu pozostaje pod wpływem Romana. Wszelkie jego polecenia wykonywał bez szemrania i zastanowienia, wręcz służalczo, nie widząc w tym dla siebie niczego uwłaczającego. Anna próbowała kiedyś podpytać go na ten temat, bo żal jej było patrzeć, jak Roman wykorzystuje Zenka według hasła: „Przynieś, wynieś, pozamiataj”. Skończyło się tylko na próbie, więc dała sobie spokój. Stwierdziła jedynie, że skądinąd miły Zenek był chłopakiem bez ikry i własnego zdania. Słowem, nie miał charakteru, który to na swoją modłę kształtował w nim właśnie Roman. Ta swoista podległość nie najlepiej też świadczyła o apodyktycznych zapędach Romana. Cóż to bowiem za sztuka podporządkować sobie kogoś słabszego psychicznie i fizycznie, a nie równego sobie, jak choćby Jacka, który oczywiście nie dałby się zwariować. Kiedy czasem spostrzegała Romana i Zenka, szepczących gdzieś na boku, myślała, że zawiązują jakieś tajne sprzysiężenie.

Polonista wstał od stołu i chciał przystąpić do realizacji tematu, ale Anna uniosła rękę i wstała. Była przewodniczącą samorządu klasowego.

- Panie psorze, mamy pewien problem, który chciałam zasygnalizować do przedyskutowania z klasą w najbliższym czasie.

- Jaki?

- Chodzi o panią psor Bocianowską. W ubiegłym tygodniu mieliśmy kartkówkę i sprawdzian, a ona na ten tydzień zapowiedziała nam klasówkę z całości materiału. Panie psorze, czy to nie za często? Przecież biologia nie jest pępkiem świata, prawda?

- Ale za sprawą pani profesor może się nim stać - uśmiechnął się polonista.

Ryknęli śmiechem. I za to także uwielbiali Leksykona. Poszliby za nim na szafot. Bronił ich przed innymi nauczycielami, na ile to było możliwe. Zwłaszcza przed Bocianowską, z którą trzy razy był na dywaniku u dyrektora, gdy ten ostatni starał się dyplomatycznie załagodzić konflikty, co zwykle kończyło się jakimś tam kompromisem.

Czterdziestopięcioletnia Ewelina Bocianowska była najbardziej nielubianą nauczycielką w liceum. Nosiła zresztą wiele mówiący przydomek Jędza. Solidnie sobie na niego zasłużyła przez całe lata pracy. Nie dość, że okazała się apodyktyczna do granic, a w każdym pytaniu zadany przez licealistę najpierw doszukiwała się ukrytych przejawów buntu, to jeszcze stanowiła klasyczny przykład totalnej pruderii i świętoszkowatości. Gdyby była zasuszoną panienką, licealiści byłiby to w stanie pojąć i nie marnowaliby czasu na jej rozgryzanie. Ale była raczej szczęśliwą mężatką i miała dwie dorosłe córki. Więc, o co tej babie chodziło? Tego nie mogli zrozumieć.

Za to doskonale pamiętali jeden z jej sztandarowych przejawów pruderyjności. Temat lekcji dotyczył sosny różnobarodnikowej, która w oddzielnych szyszkach tworzy dwa rodzaje spor - męskie i żeńskie. Kiedy Bocianowska doszła do omawiania zapylania szyszek żeńskich, w których wykształconą komórkę jajową zapładnia męski plemnik, wskutek czego tworzy się zygota - to zwyczajnie zamykała oczy bo nawet seks między drzewami to trudny temat do rozmowy z młodzieżą, mogący wywoływać różne nonkonformistyczne skojarzenia. Widać uważała, że z zamkniętymi oczami łatwiej przebrnie przez drażliwe treści. Co bardziej złośliwi pokpiwali sobie, że jej córki musiały pewnie począć się metodą zapłodnienia in vitro, co już nie pachniałoby żadnym grzesznym seksem, a jedynie przedkładałoby zdobycze nauki nad normalność natury. No i byli ciekawi, w jaki sposób wyjaśniała swoim córkom tajemnice dojrzewania, skoro już przykład sosny stanowił dla niej temat tabu, a lasy pewnie uważała za agencje towarzyskie.

- Dobrze, rozumiem - powiedział Leksykon. - Porozmawiam najpierw z panią profesorem, a potem z wami. Może być?

- Jasne, panie psorze - uśmiechnęła się Anna, a klasa jej zawtórowała.

* * *

Czego oczekujesz od szkoły, poza nauką? Czy czujesz się w szkole bezpiecznie? Określ swój stosunek do nauczycieli i odwrotnie. Jakie zaobserwowałaś zjawiska dotyczące przemocy wśród swoich rówieśników w szkole i poza nią? Wymień miejsca w mieście, które stanowią potencjalne zagrożenie dla młodzieży. Czy zażywałaś narkotyki i gdzie? Skąd je miałaś i

jakie? Skąd wzięłaś na nie pieniądze? Pijesz alkohol (gdzie i jaki)? Czy seks wśród nastolatków jest tematem wstydlivym? Czy miałaś do czynienia z werbowaniem do jakiejś sekty? Co wiesz o działalności takich grup? Jaką masz opinię na ten temat? Jaki jest twój stosunek do wychowanków miejscowego domu dziecka?

To tylko część z długiej listy pytań znajdujących się w ankiecie opracowanej przez Wiktorię. Zamyślony dyrektor odłożył ankietę i wpatrzył się w studentkę, która dopijała kawę.

- Solidnie popracowała pani nad pytaniami. Obejmują różne aspekty życia... W ogóle podoba mi się ten zestaw - stwierdził. - Dobrze, pani Wiktorio, załatwione. Rozdam je wychowawcom, a oni przekażą je uczniom. Dołożę starań, żeby najpóźniej w czwartek rano mogła pani je odebrać.

- Znakomicie. Zdamę przeanalizować wszystkie ankiety, choćby pobieżnie, przed popołudniowym spotkaniem z młodzieżą. Załatwiłam już salę w domu kultury. Mam nadzieję, że kilka osób przyjdzie.

- Zapewne. A przed panią teraz pozostałe szkoły?

- Poza podstawówkami.

- Przyznam, że ciekawy zawód sobie pani obrała i o wiele lżejszy od nauczycielskiego

- Marczak uśmiechnął się i zaczął rozwodzić nad swoimi młodymi latami, kiedy też stał przed wyborem kierunku studiów.

Gdy Wiktoria pożegnała się z miłym dyrektorem i wyszła z gabinetu, ponownie znalazła się w środku zgiełku, nad którym nikt nie panował. Trwała kolejna przerwa. Z niemałym trudem przedzierała się przez schody i hol, aby wydostać się na zewnątrz, gdzie na skwerze koczowali licealiści. Zastanowiła się, czy znowu zostanie wypatrzona przez Romana. Tym razem to ona go spostrzegła. Stał z Jackiem pod kasztanowcem przy parkanie. O czymś rozmawiali. Jednak nie wyglądało to na przyjacielską pogawędkę, raczej na scysję. Na ich twarzach widoczne było napięcie, a rękoma zawzięcie podkreślali niektóre słowa. Zauważyła też, że nieopodal nich, w grupce licealistek, stoi dziewczyna Jacka i z pewnym niepokojem w oczach spogląda w stronę kasztanowca.

Skierowała się do domu kultury, przy którym zostawiła samochód. Gdy otwierała drzwiczki porsche, zaskoczył ją dziennikarz, który wyłonił się nie wiadomo skąd.

- Prawie bym panią przegapił!

- O, to pan!

- Porozmawiamy?

- Nie bardzo wiem, czy jest o czym - zastanowiła się i przesunęła ciemne okulary na

włosy - Po prostu zbieram materiał do mojej pracy dyplomowej, żadnej tu sensacji dla gazety. A poza tym krucho u mnie z czasem, muszę zajrzeć do wszystkich szkół.

- Więc może spotkamy się gdzieś po południu? - nie ustępował, siląc się na uśmiech. - Mamy tu świetny kameralny bar o nazwie Irlandia, można tam miło spędzić czas.

- Naprawdę nie wiem, czy to jest temat do gazety, panie Raczkiewicz.

- Toni!

- No dobrze, panie... Toni. Obstaję jednak przy swoim zdaniu.

- Nalegałbym. Nasza gazeta informuje o wszystkim, co dzieje się w tym dość sennym mieście.

- Jak każda. Gdy nic się nie dzieje, to piszą sensacyjne opowieści. Proponuję, żeby pan przyszedł w czwartek po południu do domu kultury. Zaplanowałam tam spotkanie z młodzieżą związane właśnie z moją pracą. Będzie pan miał o wiele ciekawszy materiał niż tylko suchą rozmowę ze mną. Do widzenia - dodała i wsiadła do wozu.

Dziennikarz ze skwaszoną miną, niczym wygłodniały wilk patrzył, jak porsche z apetycznym jagnięciem za kierownicą melodyjnie warknęło i pomknęło ulicą. Mógł się tylko oblizać.

* * *

- Jesteś absolutnie pewna, Beatko?

- Na mur beton! Test na pewno był dobry.

- Ej, może akurat był felerny!

- To niby dlaczego okres mi się nie pojawił? Wziął sobie urlop? Daj spokój, Justyna!

Nie próbuj mnie pocieszać, to na nic.

- No tak, racja... U lekarza już byłaś?

- Nie.

- I co teraz zrobisz?

- Nie mam pojęcia... Kompletnie.

- Starzy wiedzą?

- Jeszcze im nie mówiłam. Boję się powiedzieć, zwłaszcza staremu, bo z matką to chyba jakoś... Choć sama nie wiem. Nie wiem, naprawdę... - westchnęła i z wściekłością mocno potrzęsnęła głową, aż rozwiały się jej długie blond włosy. Miała zgrabną, smukłą figurę i twarz o rysach lalki Barbie.

- No to masz problem, współczuję.

- Gdyby współczucie miało moc naprawy czyichś grzeszków, byłoby wspaniale.

Dwie gimnazjalistki z trzeciej klasy siedziały na niskim kamiennym murku przed szkołą. Były już po zajęciach. Kiedy podczas ostatniej lekcji tego dnia, nudnej historii, Beata Danielska, najlepsza przyjaciółka Justyny Stankiewicz, zwierzyła się jej, że jest w ciąży ze swoim chłopakiem Marcinem Kowalikiem z domu dziecka, uczniem pierwszej klasy technikum ogrodniczego, początkowo Justyna nie uwierzyła, bowiem kumpela miała wrodzoną skłonność do opowiadania niewinnych kłamstewek i robienia głupich kawałów. Ale po dłuższej chwili patrzenia na jej przerażoną twarz, uznała w końcu, że to prawda. Co więcej - miała do czynienia z dramatyczną oczywistością.

- Marcinowi powiedziałaś? - podjęła ostrożnie.

- W sobotę. Nie dowierzał. Stwierdził, że kłamię. Właściwie to w ogóle nie wiedział, co powiedzieć. Ale jednak potem mi uwierzył.

- Żartujesz!

- Nic podobnego. Wydaje mi się, że był bardziej wystraszony ode mnie. Nie mogę się z nim skontaktować, nie odbiera komórki. Przepadł jak kamień w wodę.

- Jak, u diabła, mogliście nie uważać?!

- Gumka mu pękła.

- To taka gumka może pęknąć? - zdziwiła się, unosząc brwi.

- Ano może... Zdarzyło się. To ta cholerna gumka była felerna.

- Pewnie z demobilu - sarknęła Justyna.

- Nie jest mi do śmiechu.

- Przepraszam - Justyna cmoknęła ją w policzek. - Nie jesteś ani pierwszą, ani ostatnią gimnazjalistką, która zaszła w ciążę. Kiedyś wytykałoby cię palcami pół miasta, dziś jest inaczej.

- Wiem, do licha! Chodzi o moich starych!

- Będą musieli się pogodzić z tym faktem.

- Stary jest nieobliczalnym cholerykiem, już widzę jego minę i...

- Więc najpierw musisz urobić mamę.

Beata westchnęła przeciągle, zamknęła oczy i wystawiła twarz ku słońcu. Trwając w takiej pozycji, odezwała się po chwili przygnębionym tonem:

- Załóżmy, że jakoś się z tym pogodzą, ale co będzie ze mną? Co z moją nauką, zakładając, że po wakacjach poszłabym do liceum?

- Oj, szkoły starają się pomagać w takich sytuacjach! Piszą o tym w gazetach, w telewizji są takie specjalne programy... Nie oglądałaś nigdy czegoś takiego? - Justyna

próbowała ją pocieszać.

- I co z tego?! Czy ma to siłę jakiegoś leku? Tak czy inaczej, wiele mnie ominie z mojej młodości.

Justyna uważniej przyjrzała się przyjaciółce.

- Tak czy inaczej?... Co masz na myśli?... Bierzesz pod uwagę przerwanie ciąży?

- A skąd mam teraz to wiedzieć? Skąd mam wiedzieć, co będzie za minutę, za godzinę, dzień, tydzień... i tak do końca życia? Czy ty wiesz, co się zdarzy w twoim życiu i jak na to zareagujesz?

- Oj, filozofujesz!

- Na razie tylko myślę, a od natłoku myśli mam już łeb jak sklep. Coś, co za wcześnie dojrzewa, za wcześnie się starzeje.

- Nie dramatyzuj, bo życie i bez naszej pomocy jest już dość dramatyczne. Nie sądzisz? Weź się po prostu w garść...

Beata wyraźnie się zdenerwowała, chociaż siedziała nieporuszona. Ton jej głosu przybrał inną barwę:

- Że co?... W garść?! Chyba coś ci się pomieszało! Czy ja mam byle problem w nauce albo z jakimś nałogiem, aby wzięcie się w garść zamknęło sprawę?

- Oj, tak mi się powiedziało! - stropiła się Justyna. - Sorki, ale naprawdę nie wiem, co mądrego ci doradzić.

- Otóż właśnie! Ale chociaż się starasz, a to w przyjaźni jest ważne.

- Dzięki.

- Nie mam ochoty iść do domu - Beata otworzyła oczy, błagalnie wpatrzyła się w przyjaciółkę i zsunęła się z murku. Była najwyższą dziewczyną w gimnazjum, jej zgrabna figura modelki przyciągała wzrok niejednego chłopaka.

- To może pójdziemy do mnie?

- Sama nie wiem. Boję się tego momentu, kiedy będę musiała powiedzieć o tym w domu... A będę musiała! Na razie mam jeszcze trochę czasu. Jezu, jak ja się boję tej chwili...

Wcale ci tego nie zazdroszczę, też bym się bała na twoim miejscu - pomyślała Justyna i odwróciła głowę. Od strony centrum zbliżał się czerwony porsche, który zatrzymał się przed gimnazjum. Wsiadła z niego Wiktoria. Justyna pomachała jej ręką, a ona zaczęła iść w ich stronę, posyłając uśmiech. Zanim do nich dotarła, Justyna zdążyła poinformować przyjaciółkę, kim ona jest i z czym tu przyjechała.

- Cześć, już po lekcjach? - zagadnęła Wiktoria.

- Tak, matma nam wypadła, co sobie jak zwykle chwalimy - wyjaśniła Justyna i

przedstawiła jej Beatę.

- Ale wam dobrze!

- A tobie nie?

- Szczerze powiedziawszy, także! - zaśmiała się Wiktoria i uważniej przyjrzała się Beacie, która z markotnym wyrazem twarzy spoglądała gdzieś w bok.

- Chciałabym już mieć twoje lata - westchnęła tęsknie Justyna.

- A ja twoje.

Justyna uniosła brwi.

- Zaskoczona?

- No, trochę, przyznaję.

- Dlaczego chciałabyś już być w moim wieku?

- Mniej problemów i tak dalej, no wiesz... W naszym wieku chce się szybko dorosnąć.

Z tobą pewnie było podobnie?

Wiktoria lekko spoważniała.

- Chyba żartujesz! Nie było. Smakuj życie powoli, według kalendarza, dzień po dniu.

Nie ma co wrywać się do przodu, bo to tak, jakby stracić kontakt z własnym rozumem, a wtedy już tylko krok do jakiejś tragedii, niekoniecznie w antycznym stylu. Na razie - pożegnała się. Jeszcze raz zerknęła na tę drugą dziewczynę, która z pochmurną miną wciąż grzebała w swoim plecaku, szukając komórki, po czym skierowała się do szkoły.

Justyna, która była pod wrażeniem jej słów, odprowadzała Wiktorię wzrokiem, aż ta nie zniknęła w budynku. Dopiero wtedy przeniosła spojrzenie na piszącą SMS przyjaciółkę.

- To gdzie idziemy?

- Na lody, nie mam lepszego pomysłu.

Justyna zsunęła się z murku, wzięła swój plecak. Dziewczyny ruszyły w stronę rynku.

* * *

Mariusz Turbanowski, dyrektor Państwowego Domu Dziecka im. Janusza Korczaka, był szczupłym czterdziestoletnim mężczyzną, średniego wzrostu, o czarnych krótko przyciętych włosach i miłej powierzchowności. Właśnie robił obchód swojej placówki. Wymagała gruntownego remontu. Zwłaszcza naprawy dachu. Martwił się, skąd wziąć na to pieniądze. Po ostatniej rozmowie ze starostą powiatu - zakład podlegał starostwu i przez nie był finansowany - nie robił sobie wielkich nadziei, że nagle w budżecie znajdzie się

dodatkowo mnóstwo złotych. Owszem, w bliżej nieokreślonej przyszłości może coś się znaleźć. Na szczęście dyrektor był człowiekiem energicznym i miał wielki dar przekonywania sponsorów. Potrafił zabiegać o różnych darczyńców, którzy nieustannie wspomagali placówkę - rzeczowo bądź finansowo, zwłaszcza w okresach przedsięwzięczych.

Turbanowski jeszcze raz popatrzył na mocno przerdzewiałe ryny, które lada moment mogły odpaść od murów, i wszedł do przestronnego holu w kształcie wieloboku. Ściany i sufit zdobiła mocno sfatygowana sztukateria. Czuło się tu zapach koronek, sukni balowych i smokingów sprzed kilkudziesięciu lat. Schody, rozpoczynające się po obu stronach holu, zabezpieczała rzeźbiona drewniana balustrada, która pamiętała niejedną dziejową nawałnicę.

Pokoje wychowanków mieściły się na pierwszym i drugim piętrze, sale zajęciowe na parterze, na którym znajdowało się jeszcze wystarczająco dużo miejsca na aulę i świetlicę, trzy pokoje gościnne, pomieszczenia administracji i oczywiście gabinet dyrektora. Kuchnię i stołówkę ulokowano w zadbanej suterenie. W przeciwległej części suterenu mieściły się łaźnie dla wychowanków, ponieważ raz w tygodniu odbywała się kąpiel obowiązkowa. Jednak brudasów w Korczaku nie było, a każdy, kto chciał, mógł zażywać kąpieli codziennie. No i była tu również pralnia. Praczka z pewnością się nie nudziła. Słowem, wychowankowie mieli podawane wszystko pod nos, co nie wydawało się wychowawcze. Wręcz przeciwnie - stawało się niemal zabójcze dla kształtowania młodych charakterów, na domiar złego w większości bardzo trudnych. Dyrektor zdawał sobie z tego sprawę, ale to nie on wymyślił państwowe domy dziecka.

Z auli i pomieszczeń na piętrach dochodziły odgłosy codziennego rozgardiaszu. Dyrektor uśmiechnął się pod nosem. Dom tętnił namiastką rodzinnego życia. Namiastką, ale nie pełnią. Do osiągnięcia pełni szczęścia wychowankom było dalej niż do zrealizowania największych marzeń, o czym doskonale wiedział.

Skierował się na lewo, do sekretariatu. Za nim mieścił się jego niewielki gabinet. Każdy, kto do niego wszedł, od razu dostrzegał wykonane z brązu popiersie Janusza Korczaka. Stało ono na wysokim drewnianym cokole, tuż przy oknie wychodzącym na fronton. Nie po raz pierwszy dyrektor wpatrywał się w zamyśloną, smutną twarz wielkiego wychowawcy dzieci, która zdawała się mówić, że dla nich warto poświęcić wszystko, nawet własne życie. Jednak, gdy w jego umyśle pojawiło się pytanie, czy i on byłby do tego zdolny, nie znajdował na nie odpowiedzi.

Usiadł przy biurku i zerknął na monitor komputera - wygaszacz ekranu chaotycznie wyświetlał kolorowe obrazki. Poruszył myszką i pojawił się tekst, nad którym pracował od kilku miesięcy. Powoli kończył pisanie poradnika dla wychowawców, który zamierzał

zatytułować „Kilka słów o wychowaniu”. Oczywiście, materiał ten dotyczył jego doświadczeń zawodowych z domu dziecka. Pracował tu już szesnaście lat, a ostatnie dziewięć jako dyrektor, toteż wszelkie problemy znał od podszewki. Nie zdążył się dobrze wczytać w ostatni akapit, gdy jego wzrok padł na zaproszenie na sobotnią konferencję do Poznania. Organizowano spotkanie przedstawicieli państwowych i rodzinnych domów dziecka z Wielkopolski, bynajmniej nie w celach towarzyskich. Nie miał ochoty jechać, ale musiał.

Nagle zza otwartego okna doszedł go odgłos zatrzymującego się samochodu. Uniósł się nieco na krześle i zobaczył czerwone porsche, z którego wysiadła Wiktoria. Uśmiechnął się na jej widok. Kiedy była tu pierwszy raz wczesną wiosną, aby przygotować sobie grunt do obecnej wizyty, od razu wywarła na nim niemałe wrażenie. Nie tylko jako atrakcyjna dziewczyna, ale i po części pokrewna dusza - studentka socjologii. Pamiętał, jak chłonęła oczami wszystko, co jej pokazywał, gdy zaglądali niemal do każdego pomieszczenia w placówce.

Wyszedł do holu, kiedy Wiktoria stanęła w głównych drzwiach. Uśmiechnęli się do siebie, przywitali jak dobrzy znajomi, a po chwili przeszli do gabinetu. Turbanowski nie krył dla niej uznania. Podobała mu się treść pytań w jej ankiecie. Pytania nieco różniły się od tych dla uczniów szkół, wśród których znajdowali się też wychowankowie domu dziecka, a więc podejść do nich dwukrotnie, jeśli oczywiście zechcą. Wiktoria przemyślała sprawę, zanim zdecydowała się na taki eksperyment. Wychowankowie będą musieli spojrzeć na swoje życie niejako z dwóch stron - jako uczniowie ogólnej społeczności i jako mieszkańcy domu dziecka, czyli pewnej enklawy. Jeśli potraktują rzecz poważnie, to spodziewała się interesujących wyników. Kiedy wyjaśniła tę kwestię dyrektorowi, ten nawet się nie zastanawiał, tylko przyklasnął jej pomysłowi.

- Zatem interesują panią tylko wychowankowie od pierwszej gimnazjalnej wzwyż, tak? - zapytał dyrektor, a kiedy skinęła głową, dodał: - Więc poproszę o trzydzieści cztery ankiety.

Wiktoria odliczyła je i położyła plik na biurku.

- Czy mogłabym odebrać je w czwartek przed południem?

- Dobrze. Przypilnuję sprawy.

- Świetnie.

- Na długo pani przyjechała?

- Zostanę tydzień, nie dłużej. Chcę się trochę rozejrzeć. Mam nadzieję, że to w jakiś sposób pomoże mi w pisaniu pracy. Poza tym odpocznę w nowym środowisku. Ostatnio byłam mocno zapracowana.

- Gdzie pani zamieszkała, jeśli to nie tajemnica?

- W gospodarstwie agroturystycznym, u państwa Stankiewiczów.

- Aha. Przyjemnie tam. A Stankiewiczowie są bardzo miłymi ludźmi.

- Tak, zdążyłam się o tym przekonać. I przy okazji dowiedziałam się, że wasza drużyna piłkarska znakomicie radzi sobie w lidze. Po raz drugi zdobyła mistrzostwo.

Turbanowski uśmiechnął się z dumą.

- Tak, mamy wspaniałych chłopaków, którym naprawdę chce się porządnie grać w piłkę. W niej wyładowują nadmiar energii. Myślę, że piłka to niejako nasza wizytówka. W tego rodzaju sportowych przedsięwzięciach oni potrafią się zjednoczyć, odrzucić na bok wszelkie animozje i pokazać się z jak najlepszej strony.

- Czyli że są i złe strony?

- Bywają. Na szczęście rzadko. Ale w większości są to opinie krzywdzące naszych wychowanków.

- Doprawdy?

- Tak się jakoś dziwnie utarło, że jeśli coś złego zdarzy się w mieście - mam na myśli środowisko młodzieżowe - to wiele osób pierwsze spojrzenie kieruje na naszą placówkę. Nie są to spojrzenia przyjazne, aczkolwiek nigdy nie twierdziłem, że pod naszym dachem mieszkają same aniołki. Nic podobnego. Na przykład ten tydzień zaczął się już od problemu. Jeden z chłopaków nie pojawił się dziś w szkole, co jest o tyle dziwne, że do tej pory nie mieliśmy z nim absolutnie żadnych kłopotów, a przebywa u nas od dziewięciu lat. Dobrze się uczy, jest spokojny, koleżeński i tak dalej... Chodzi do pierwszej klasy technikum ogrodniczego.

- Gigant?

- Oczywiście. Zarządziłem poszukiwania. Co jak co, ale po Marcinie bym się tego nie spodziewał - dodał z zadumą i zapatrzył się na popiersie Korczaka.

- Często dochodzi do ucieczek?

- Kilka razy w roku. Powody bywają różne. Czasem są to tylko hormony, które chcą się wyszaleć gdzieś poza tymi murami, a niekiedy coś naprawdę poważnego, co sięga korzeniami do przeszłości.

- Czy mógłby pan nieco bliżej przedstawić mi problemy, z jakimi ma pan do czynienia?

- Cóż, musimy być dla wszystkich tata i mama... Z naszej strony wygląda to tak, jak byśmy podpisali cyrograf na całe nasze zawodowe życie. A proszę mi wierzyć, że nie jest to praca łatwa - tu wdał się w rzeczowy wywód na temat sposobu funkcjonowania placówki.

W miarę jak mówił, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że oczy pilnie słuchającej go Wiktorii przesyłają mu jakiś delikatny sygnał. Jego znaczenia nawet nie śmiał zgadywać. Pomyślał jedynie, że właśnie przechodzi syndrom wieku średniego - wojowniczy czterdziestolatek chce sam sobie udowodnić, że jeszcze potrafi się wzniesić na szczyty - stąd jakieś rojenia o obcowaniu z atrakcyjną dziewczyną. Przypomniał sobie o jej pierwszej wizycie, kiedy to ona, ujrzawszy go, doznała czegoś na kształt wstrząsu. Tak to wówczas odebrał, ale szybko o tym zapomniał. Skądinąd wiedział, że podoba się kobietom, bo był przystojny. Ale był również człowiekiem z zasadami, a jedną z nich stanowiła małżeńska wierność, której dotąd dochował. Miał wspaniałą żonę, tyle tylko że nie mogła mieć dzieci. Wieloletnie leczenie nie przyniosło spodziewanego efektu.

- A jaki jest pański stosunek do rodzinnych domów dziecka i rodzin zastępczych? - zapytała, gdy skończył.

To pytanie zaskoczyło go, ale zachował twarz pokerzysty, co przyszło mu z łatwością. Co prawda, w pokera nie grał, lecz brydżystą był znakomitym. Mimo woli pomyślał, że jego gość jest bardziej dociekliwy niż to deklaruje.

* * *

Wszystkie pokoje wychowanków urządzono na jedną modłę - w końcu dom dziecka to nie pięciogwiazdkowy hotel. W każdym znajdowało się łóżko, stolik, krzesła, regał na książki i dwie duże szafy odzieżowe. Na radośnie kolorowych ścianach wisiały dwa albo trzy obrazki, najczęściej reprodukcje dzieł znanych malarzy. Dziewczyny mieszkaly w trzech pokojach w głębi korytarza, pokoje chłopaków mieściły się na drugim piętrze. Na piętrze był też pokój wychowawców, którzy pełnili całonocne dyżury. Nie było więc mowy o jakichkolwiek męsko-damskich odwiedzinach o nieodpowiedniej porze. Wszystko znajdowało się pod kontrolą. Przynajmniej na papierze. Ale w ciągu dnia dzieciaki wpadały do siebie na pogawędki.

Jacek dzielił pokój z pięcioma kolegami na pierwszym piętrze. Trzech z nich było piłkarzami z drużyny. Rozmawiali o ucieczce Marcina, bo wieść o niej szybko się rozniosła. Zastanawiali się, dlaczego poszedł na gigant. Przyczyną mogło być cokolwiek - wiedzieli o tym doskonale - lecz w ich ocenie byle pretekst jakoś nie pasował do Marcina.

- Założę się, że miał bardzo konkretny powód - zasugerował krępy Eryk, bramkarz zespołu.

- Związany z jego wysoką jak żyrafa Beatką? - zachichotał rudowłosy Jakub,

najlepszy szachista w placówce, który właśnie rozkładał na stoliku szachownicę i rozglądał się, szukając chętnego do gry.

- Być może - odezwał się Bogdan, obrońca w zespole. - Co o tym sądzisz, Jacek?

- Być może - mruknął Jacek, odłożył „Przegląd Sportowy”, wstał z łóżka i przeciągnął się, aż zatrzeszczały mu stawy.

- Tylko, gdzie mógłby się zamelinować? - dociekał Eryk. - Wątpię, żeby chciał przesiadywać ze swoją porąbaną i zapijaczoną rodziną, niewiele zresztą lepszą od mojej.

Jacek wyszedł. Jego chyba bardziej niż innych zastanawiała ucieczka Marcina, którego uważał za swojego najlepszego przyjaciela. Mieli za sobą wiele długich rozmów przez te lata, najpierw szczeniackich i naiwnych, wręcz infantylnych, które z czasem nabierały jakiejś męskiej ogłady, bo i tematy stawały się poważniejsze, choćby z racji tego, że prawa biologii powoli domagały się dla siebie większego zainteresowania. Przypuszczał, że za uciezką kryje się Beata. Pamiętał, jak kilka miesięcy temu Marcin zwierzył mu się, że spał z nią i właśnie stracił dziewictwo. Jeszcze dziś widział jego płomienne spojrzenie, kiedy opowiadał mu o tym, niemal ze szczegółami. Podejrzewał więc, że może ostatnio wpadli i Marcin przeraził się nie na żarty. Od jakiegoś czasu nie widział Beaty ale nie zamierzał kontaktować się z nią w sprawie tej ucieczki. W każdym razie wyskok przyjaciela nie dawał mu spokoju.

Gdy znalazł się na parterze, zza zamkniętych drzwi auli doszły go podniesione, chwilami krzykliwe głosy; rozbrzmiewała głośna muzyka, akurat w dość żałobnym nastroju. Jacek zajrzał do środka, ale zatrzymał się w progu i zaczął ni to się uśmiechać, ni to podziwiać mieszane towarzystwo na scenie. Po prostu grupa uzdolnionych artystycznie wychowanków z godnym podziwu zacięciem ćwiczyła przed zbliżającymi się konfrontacjami. Dom dziecka wystawiał własną reprezentację, a jej główną bohaterką i motorem wszelkich poczynań była Paula Lipiec. Oczywiście pieczę nad całością sprawowała jedna z wychowawczyń, Teresa Bardyga, lecz teraz jej nie było. Jacek okazał się artystycznym beztalenciem, więc nawet nie zaproponowano mu żadnej roli w krótkim spektaklu scenicznym. Swego czasu podkochująca się w nim Paula powiedziała mu bez ogródek, że gdyby dała mu rolę choćby miotły, to położyłby przedstawienie zaraz po podniesieniu się kurtyny. Wcale się nie obraził, wręcz przeciwnie, rozbawiło go to porównanie.

Schodząca właśnie ze sceny Paula utkwiała w nim spojrzenie.

- Nie wiesz, u licha, gdzie się podział ten pieprzony Marcin?! - rzuciła pełna złości. - Jak tylko się pojawi, to tak skopię mu tyłek, że wszystkiego mu się odechce! Zapomni, jak się

nazywa! On zniknął z moim monologiem w głowie, kapujesz?! Już miał go w pamięci. I co my teraz zrobimy? Przecież ja na scenę nie wyjdę i nie będę tego czytać, zwyczajnie to położę... Nie jestem aktorką.

- Może dziś wróci, cierpliwości...

- A mnie może dziś szlag trafić!

Mający aktorskie ciągotki Marcin był jedną ze sztandarowych postaci ekipy, więc trudno się było dziwić, że Paula się wściekała, zresztą inni także. Jacek milcząco wzruszył ramionami i pomyślał, że być może artyści tak szybko nie doczekają się jego przyjaciela i będą mieli problem na występach. Wyszedł z auli akurat w momencie, gdy otworzyły się drzwi sekretariatu i stanął w nich dyrektor w towarzystwie... Jacka prawie zatkało. Z widzenia oczywiście znał uroczą nieznajomą, wiedział już, że jest studentką socjologii i przyjechała do miasteczka, żeby robić jakieś ankiety. Ale tutaj?

- Jacku, możesz na chwilę? - dyrektor podszedł do niego i przedstawił go swemu gościowi. - Jest najlepszym strzelcem w naszym wspaniałym zespole - dodał.

- Słyszałam. Tylko gratulować! - uśmiechnęła się Wiktoria.

- Po prostu lubię piłkę i tyle - odpowiedział. - Widziałem panią w szkole.

- Właśnie - dyrektor wyjaśnił mu, kim jest Wiktoria i w jakim celu się zjawiała.

- Mam nadzieję, że zechcesz wypełnić ankietę i że będziesz w niej szczery - powiedziała.

- Na pewno. Szczery aż do bólu, zapewniam.

- Liczę na to - posłała mu wdzięczny uśmiech.

- Właściwie to wy, wychowankowie tej placówki, dostaniecie po dwie ankiety - dorzuciła i wytłumaczyła dlaczego.

- Drobiazg.

Wiktoria pożegnała się z dyrektorem, który wrócił do gabinetu, po czym skierowała się do wyjścia. Przy jej wozie stało już kilku chłopaków i z podziwem oglądało każdy szczegół porsche. Jacek podążył za nią.

- To pani fura? - rzucił, żeby jakoś podtrzymać kontakt, bo nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

- Niestety nie - westchnęła. - Mojego chłopaka, któremu zamarzyło się coś więcej.

- Coś więcej? - zdumiał się. - To znaczy co?... Prom kosmiczny?

- Prawie - rozbawiła się. - Dobry chłopak stara się zaimponować swojej dziewczynie, co samo w sobie nie jest czymś złym.

- Jasne.

- Ty pewnie też się starasz, co?

Jacek zwiesił głowę.

- A przez chwilę już pomyślałem, że studentom tak dobrze się powodzi, że stać ich na takie cacka - odparł wymijająco.

- Takiej bajki jeszcze nie napisano i raczej szybko nie znajdzie się taki bajkopisarz. A co do cacka, to wóz jest tak stary że spokojnie mógłby być twoim tatusiem.

- Stary, ale jary.

- To się zgadza. Kopa ma porządnego, ale brak mi odwagi, aby to sprawdzić. Nie jestem rajdowcem.

Ciekawscy stojący przywozie rzucali hasłowo jakieś uwagi i po chwili się rozproszyli. Wiktoria podeszła do wozu, ale nie spieszyła się z zapaleniem silnika. Oparła się o drzwi i wpatrzyła w Jacka.

- Masz rodzeństwo?

Zwiesił głowę, przez chwilę nic nie mówił.

- Miałem. Siostrę i brata - odparł cicho. - Obydwoje byli młodszy ode mnie.

- Nie chcę być wścibska, ale czemu się tu znalazłeś? Gdybyś zechciał...

Wyjaśnił jej pokrótce. Nie musiał wiele mówić. Tragiczne historie nie potrzebują wielkich opowieści. Wystarczy kilka słów, by zawrzeć w nich dramatyzm całego życia.

- Przepraszam, że obudziłam w tobie te wstrząsające wspomnienia - powiedziała zasmucona.

- I tak codziennie o tym myślę. Najczęściej przed snem. To jest jak powracająca melodyjka i na zawsze nią pozostanie.

Wiktoria zwiesiła głowę, spochmurniała. Dłuższą chwilę milczała, aby w końcu odezwać się cytatem:

- „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”.

- To „Anna Karenina”, pierwsze zdanie. Nie wiem, dlaczego zapamiętałem właśnie to. Jakoś samo wryło mi się w pamięć.

- Czytałeś tę powieść, brawo... - uśmiechnęła się.

- Utknąłem gdzieś w połowie pierwszego tomu i już do niego nie zajrzałem.

- Szkoda, bo warto.

- Możliwe, że kiedyś wrócę do tej książki.

- Różnie się w życiu układa, ale nie można się poddawać. Wiem coś o tym, może nawet więcej niż ty - westchnęła z nutą nagłej zadumy - Oczywiście mam na myśli nie

powieść, tylko realne życie - twoje, moje, nasze, kogokolwiek - rozumiesz?

Jacek skinął głową i nieśmiało, jakby miał kompleks Kopciuszka, wpatrzył się w jej szeroko otwarte błękitne oczy. Nie patrzyła na niego. Jej zamyślony wzrok biegł gdzieś w bok, chyba bardzo daleko. Nie chciał, aby to przypadkowe spotkanie się skończyło, ale wiedział, że wkrótce to nastąpi. Żeby choć trochę je przedłużyć, bo Wiktoria nie kwapiła się do dalszej dyskusji. Z kolei on nie chciał wyjść na chłopaka, który nie potrafi zająć dziewczyny rozmową. Dlatego znów zainteresował się jej samochodem.

- Nieźle zadbane ten porsche - powiedział.

- Właśnie dlatego chłopak mi go pożyczył, w nagrodę za doprowadzenie go do porządku, bo był w oplakany stanie - roześmiała się.

- Poważnie?

- Prawie poważnie... no, może żartowałam - zachichotała i zmieniła temat. - Pamiętasz wczorajsze popołudnie, pod parasolami? Siedziałeś ze śliczną dziewczyną i z jakimś chłopakiem...

- Jasne.

- Ten rudy w skórze, który się do ciebie przyczepił... co to za jeden?

- A, to Żmija. Ma taką ksywę. Nieciekawy typ, któremu czasem się wydaje, że jest królem półświatka.

- A jak się skończyła wasza rozmowa?

- Odszedł, ale marudził coś pod nosem. Nie kumpłowałem się z nim nigdy, jakieś tam okazyjne wymiany słów w szerszym gronie, przeważnie podczas imprez sportowych. Dlatego myślę, że ktoś wysłał go do mnie z delikatną misją.

- Obawiasz się go?

Jacek zastanowił się - nie tyle nad pytaniem, które istotnie gdzieś za nim chodziło, ile nad dociekliwością dziewczyny i trafnością jej spostrzeżeń. Zaczynała go intrygować.

- Raczej nie.

- Powiedz mi jeszcze, Jacku... - urwała, po czym nagle rzuciła przeproszająco: - Słuchaj, nie jesteś zły, że tak cię wypytuję? Nie chciałabym być natrętna i...

- Nic podobnego, proszę pani.

- Wiktoria - powiedziała i bezceremonialnie wyciągnęła do niego rękę, którą skwapliwie uściskała.

- Jacek.

- Będzie prościej. Nawiasem mówiąc, zamieszkałam u państwa Stankiewiczów.

- Byłam u nich ze dwa razy ale dość dawno temu. Ładnie tam.

- Powiedz mi, czy jesteście z Romanem przyjaciółmi?

Wcale nie musiał się nad tym zastanawiać, ale z jakiegoś powodu, którego nie umiał sobie wytłumaczyć, dość długo milczał, zapatrzony się gdzieś w dal.

- Nie określiłbym tego w taki sposób - powiedział wreszcie. - Za wielkie słowo. A co do przeszłości, to byliśmy dla siebie tylko kolegami, nikim więcej. Czemu o to pytasz?

- Mimo że jestem zaledwie od wczoraj, zdążyłam już łyknać nieco tutejszej atmosfery, tak to ujmę. Być może pewne informacje na temat relacji między wami także przydadzą mi się w mojej pracy. Dziś widziałam cię rozmawiającego z nim pod kasztanowcem, przy szkole...

Nie okazał zaskoczenia.

- To nic takiego, po prostu grzecznościowa wymiana uprzejmości. Wiesz, jak to niekiedy bywa.

- Jakieś spięcie?

- Spięcia wywołuje się czasem po to, aby sprawdzić, czy system dobrze działa - odparł bez mrugnięcia okiem.

- Celną riposta! - zaśmiała się i otworzyła drzwi wozu. Nie dodał już, że sam wywołał owo spięcie, a to dlatego, iż przed południem doszły do niego rozsiewane przez Romana złośliwe plotki na temat jego i Anny. Ich puenta sprowadzała się do tego, że Anna jedynie z litości jest dziewczyną Jacka. Powiedział Romanowi kilka ostrych słów, które i tak nie wywarły na nim najmniejszego wrażenia. Ale musiał jakoś zareagować. Nie była to ich pierwsza tego rodzaju rozmowa, podczas której emocje górują nad słowami, niekoniecznie w związku z Anną. Lecz to właśnie od niej zaczęły się między nimi tarcia na dobre, od końca września, kiedy Jacek ją poderwał, czym porządnie utarł nosa Romanowi. Obaj startowali do niej mniej więcej w tym samym czasie, każdy na swój sposób, ale tylko jeden mógł wygrać. I ta sprawa legła cieniem na ich, zawsze zresztą, rachitycznej koleżeńskiej więzi.

- Masz śliczną dziewczynę, naprawdę jest urocza. Jak jej na imię?

Zamyślona twarz Jacka nagle pojaśniała. W szerokim uśmiechu ukazał zdrowe zęby, poczuł się jakby dowartościowany przez obcą mu i równie atrakcyjną dziewczynę.

- Anna! - dobiegł ich nieoczekiwanie głos Pauli, która z tupetem Pippi Pończoszanki pojawiła się na schodach i uśmiechała bezczelnie do obojga. Stała przy Jacku i nieco aktorsko uwiesiła się jego ramienia. Ten nawet nie próbował się od niej uwolnić. Wręcz przeciwnie, objął ją, ale z tego gestu wynikał jakiś inny rodzaj miłości, jak gdyby między rodzeństwem, a nie przyjaciółmi.

- Nieladnie podsłuchiwać! - obruszyła się zażenowana Wiktoria.

- Nie miałam wosku, żeby zatkać uszy, bo rano porządnie je wymyłam - odparła niezrażona uwagą Paula. - Widziałam cię dziś w naszej budzie i też wiem, o co ci chodzi - dorzuciła bezceremonialnie.

- Świetnie - Wiktoria starała się nie okazać najmniejszego zmieszania jej pełną tupetu postawą. - Mam nadzieję, że i ty podejdziesz szczerze do moich ankiet.

- Zastanowię się nad tą szczerością.

- Dlaczego?

Paula jeszcze bardziej przytuliła się do Jacka, wręcz demonstracyjnie, jakby chciała obwieścić miastu i światu, kto tu jest czyim panem. On wydawał się zakłopotany, ale nie próbował się od niej odkleić.

- Chcesz wiedzieć, ślicznotko? - odezwała się z pewną arogancją i zjadliwym uśmiechem.

Na dźwięk tego słowa - ślicznotka - Wiktoria znieruchomiała. Jej twarz momentalnie poszarzała. Wpatrywała się w Paulę, jakby chciała ją pożreć.

- To ci powiem - podjęła tamta z zacięciem. - Ale najpierw zapytam: czy to ty sama wymyśliłaś te mądre pytania, czy ktoś ci pomagał? Bo nie wiem, czy wiesz, ale my tu sobie spokojnie mieszkamy w tak zwanym domu dziecka, gdzie dzieci śmieci pałętają się bez potrzeby i bez celu, i naprawdę nie potrzeba im jakiejś mądralińskiej paniusi, która na ich plecach chce sobie zrobić magisterkę. Więc po diabła mam być szczerą w tych ankietach?! Niby co ma nam to dać? Nam, Wiktorio, nie tobie, ale nam! A tak nawiasem, to ładne masz imię.

Wiktoria ciągle stała nieruchomo jak posąg. Patrzyła na Paulę z niedowierzaniem. Oto takie słowa usłyszała od dziewczyny, którą widziała pierwszy raz w życiu. I w jej głowie zaświtała myśl, że ona ma rację, mówiąc to wszystko, co powiedziała. Inna rzecz, że uczyniła to w sposób niesympatyczny, a ona nie pochwalała agresji w żadnej postaci.

Jacek natomiast nie wiedział, jak ma się zachować. Zerkał z zakłopotaniem to na Paulę, to na Wiktorię, czując niezręczność całej sytuacji. Wprawdzie po Pauli mógł się spodziewać wszystkiego, ale akurat nie czegoś takiego, takiej bezczelności doprawionej solidną arogancją i butą wobec gościa, który zjawił się tu bez żadnych złych zamiarów.

- Paula, zwariowałaś? - odezwał się wreszcie ostro i oderwał się od niej, co nie przyszło mu zbyt łatwo. - Uspokój się, do diabła! Co ci odbiło? Weź się w garść!

Dziewczyna nie zraziła się tą połajanką, przeciwnie, ujęła ręce pod boki i zaczęła go świdrować wzrokiem.

- Co miało mi odbić, Jacusiu? Nic. Czyli to, co zawsze, mój skarbeńku. Nie znasz

mnie, serce moje kochane? Jeśli chcesz, to możesz dać mi solidnego klapsa, chętnie się zgodzę na takie cierpienie. Nawet nie zapłacę i nie polecę do pana dyrektora - dodała na jednym oddechu i wypięła ku niemu krągłe pośladki, zapakowane w obcisłe dżinsy.

Jacek bezradnie potrząsnął głową, zaczął się cicho śmiać. Wiktoria też się rozluźniła.

- Masz sporo racji w tym, co powiedziałaś, Paulo. Przemyślę sobie twoje słowa - odezwała się spokojnie. - I nie obraziłam się o to, żeby sprawa była jasna.

- A szkoda, że się nie obraziłaś. I powiem ci nawet dlaczego.

- Nie musisz. Wiem, co masz na myśli.

Paula znieruchomiała z na wpół otwartymi ustami.

- Kim ty jesteś, jasnowidzem?

- Nic podobnego. Założę się, że chciałaś powiedzieć, iż nie obraziłam się tylko dlatego, że wam, wychowankom domów dziecka, trzeba dawać fory, ustępować, głąskać; że niejako wam się to należy tak jak psu zupa, bo w przeszłości los obszedł się z wami bardzo okrutnie. Dlatego. Dotarło?

Paula zastygła.

- O kurczę, zgadza się! Mniej więcej.

- Więc widzisz.

- No dobra. Czasem mam niewyparzony język.

- Jasne.

- Świetnie! - Paula przytuliła się do Jacka. - Może nie wiesz, ale my prawie na wszystko się gniewamy. Mamy to we krwi, buntujemy się przeciwko rygorom i tak dalej. Jesteśmy młodymi gniewnymi, czy to się komuś podoba, czy nie. Nie znaleźliśmy się tu z własnej woli. Los nas tu wpakował. Potrzeba nam prawdziwej miłości, a nie zastępczej i takiej sztucznej, od której zbiera się na wymioty. Ty tego nie zrozumiesz. Wiesz, jak nazywają nas w mieście? Jak o nas gadają? Za kogo nas mają? Znasz to jedynie ze słyszenia. My jesteśmy samym złem. Dla nich i całej reszty świata. Ale co myśmy, do cholery, im zawinili? Może mi odpowiesz?

Wiktoria zwiesiła głowę, milczała. Jej oczy zrobiły się wilgotne, co starała się przed nimi ukryć.

- No dobra, chrzanić to wszystko! Mam kłopot - Paula zwróciła się do Jacka. - Gdzie ten cholerny Marcin? Co my bez niego zrobimy na konfrontacjach? Zawalimy sprawę. Tylko o tym teraz myślę. Rusz mózgowicę.

- Możemy tylko czekać, nic więcej - odparł beznamiętnie.

Kiedy Wiktoria zainteresowała się konfrontacjami, Paula wyjaśniła jej, w czym rzecz,

a o ucieczce wychowanka usłyszała wcześniej od dyrektora.

- To faktycznie macie problem - powiedziała Wiktoria. - Nie pomyślałaś o dublerze?

Paula potrząsnęła przecząco głową.

- Do głowy nam nie przyszło, że Marcinowi odbije. On ma mój monolog, długi na pół kilometra.

- A Jacek nie dałby rady? - zapytała Wiktoria.

- Kłopot w tym, że to coś, do czego jestem przyklejona - bo on jakoś nie chce się do mnie przykleić - jest świetnym sportowcem, ale niestety kompletnym ćwokiem artystycznym. Klocek drewna wyglądałby przy nim, nie wiem, ... jak bohater sceny - odparła Paula.

Wiktoria uśmiechnęła się.

- Twój monolog, to znaczy że piszesz, tak?

- Tak, trochę, ale tylko satyrę. Pochwalę ci się, że na konfrontacje napisałam monolog, który wszystkich powali i my zajmiemy pierwsze miejsce. Tylko nie ma tego skubańca Marcina, który musi to sprzedać. A umie to zrobić, bo ja nie potrafię. Trema by mnie zjadła.

- Na jaki temat jest ten monolog?

- Polityka.

Wiktoria wyciągnęła szyję.

- Słucham?!... Polityka?

- A czemu by nie? Jesteśmy za młodzi na takie rzeczy? Przecież to, co oni tam na górze wyprawiają, dotyczy także i nas. Może się zdziwisz, ale mnie akurat polityka interesuje. Codziennie czytam gazetę. Czy to grzech?

- Nic podobnego.

- No widzisz. I wpadłam na pomysł napisania monologu. Siedziałam nad nim jakieś trzy miesiące, ale udało mi się. W żadnych polskich kabaretach takiego tekstu nie mieli!

- To prawda - odezwał się Jacek. - Gdy Paula dała nam to do przeczytania, brechtaliśmy się pół dnia. Zajefajny tekst!

- Jaki ma tytuł? - zacięła się Wiktoria.

- „Prawdziwy mężczyzna” - wyjaśniła Paula. - Jeśli chcesz, to mogę dać ci ksero. Mam luźny egzemplarz.

- Chętnie przeczytam.

- Poczekaj chwilę - rozchocona pobiegła do budynku, aby powrócić z kilkoma spiętymi kartkami. - Nie musisz mi tego zwracać.

- Dzięki - nie kryjąc podziwu dla dziewczyny przewertowała kartki i złożyła je na pół.

- Podpowiem ci tylko, że to rzecz o jednym z naszych premierów, który... relacjonuje

swoje urzędowanie. Ten tekst to mój osobisty gniew w formie satyry na to całe dziadostwo, jakie się u nas dzieje.

- No, będziesz miała naprawdę niezły ubaw! - zapewnił ją Jacek.

- Super, ale czytaniem zajmę się przed snem, do poduszki.

- Spoko. Nie pożałujesz czasu, mam nadzieję - dodała Paula.

Wiktoria spojrzała na zegarek.

- No to leceć! Na razie, trzymajcie się. Na pewno jeszcze się spotkamy - wsiadła do wozu i włączyła silnik, który odezwał się niepowtarzalnym pomrukiem.

- Niezły masz wózek! - zawołała Paula.

- Gdyby tylko był mój! - odkrzyknęła i pomachała im ręką.

Odpowiedzieli jej podobnie, zwłaszcza Paula wykazała w tym niezwykłą gorliwość.

- Cholera, ona jest naprawdę ładna i całkiem fajna - westchnęła. - Chyba się w niej nie zakochałeś, co?

Jacek parsknął śmiechem, objął dziewczynę i cmoknął ją we włosy.

- Wiem, wiem, tylko Anna ci w głowie - mruknęła i wróciła do budynku.

Chłopak zasepił się. Myślni wrócił do Anny. Pamiętał doskonale, jak bardzo się wówczas cieszył, ile odkrył w sobie radości, kiedy po raz pierwszy dała mu się pocałować. Tak prawdziwie, namiętnie. Tamten dreszczyk emocji czuł do dziś. Paula, owszem, czemu by nie, ale Anna to jednak Anna.

W błogim nastroju skierował się do parku. Czasem lubił samotne spacerować - choć raczej nie był odludkiem - mógł wtedy rozmyślać i snuć marzenia o swojej przyszłości. Jeszcze rok, matura, a potem skok na głęboką wodę. A tu trzeba umieć dobrze pływać. Mama i tata nie pomogą. Ciocia i wujek też nie. Chciał coś w życiu osiągnąć, podobnie jak kilku jego starszych kolegów z domu dziecka, którzy wykształcili się, mieli pracę, pozakładali rodziny i żyli szczęśliwie. Miał z nimi kontakt, nie tylko zresztą on. Od czasu do czasu sami się tu pojawiali, nie mając zamiaru zrywać więzi ze swoim poprzednim domem, z czego sam dyrektor był bardzo zadowolony. Jacek lubił te spotkania, gdyż dawały mu mnóstwo energii oraz jakąś gwarancję, że jeżeli czegoś mocno pragniemy, to możemy osiągnąć cel. Zawsze po takich rozmowach czuł się podbudowany psychicznie.

* * *

Nie skończyło się na lodach. Prawdę powiedziawszy to w ogóle się od nich nie zaczęło. Pierwotny plan Beaty zmienił się w połowie drogi na rynek. Właśnie lodami chciała

jakoś uśmierzyć chandrę, która ją dręczyła. Stwierdziła jednak, że kilka mrożonych kulek nie pomoże, że potrzeba jej czegoś mocniejszego. Kiedy zaproponowała Justynie kupno piwa i pójście gdzieś na odludzie, ta nawet się nie zdziwiła, choć nie zapałała wielką radością do tego pomysłu. Uznała jednak, że przyjaciółka znajduje się w takim stanie psychicznym, iż lepiej się jej nie sprzeciwiać, a od niewielkiej ilości browaru nie powinno się jeszcze zwariować. Kupiły w sklepie cztery puszki piwa i skierowały się na ogródki działkowe, gdzie rodzice Beaty posiadali ładną i funkcjonalnie wyposażoną działkę z murowaną altaną. Beata miała klucz, poza tym wiedziała, że żadne z rodziców tu nie wpadnie - ojciec był radnym i właśnie siedział na posiedzeniu komisji rady miejskiej, zaś matka znajdowała się na zebraniu miejscowej organizacji charytatywnej. Spokojnie mogły tu siedzieć nawet do rana.

Justyna - osóбка obdarzona wielką cierpliwością - wysłuchiwała żalów przyjaciółki, której na swój sposób współczuła. To było wszystko, co mogła dla niej zrobić w tej nie do pozazdroszczenia sytuacji, w jakiej sama nie chciałaby się znaleźć.

Po pierwszej puszcze piwa Beata wyciągnęła się na leżaku i popadła w zadumę. Domyślała się, dlaczego Marcin milczy - pewnie był nie mniej przerażony niż ona. Ale gdzie się podział? Kiedy zadzwoniła z tym pytaniem do domu dziecka, któryś z jego kolegów lakonicznie odpowiedział, że nie ma zielonego pojęcia, gdzie jest Marcin. Nie miała zamiaru więcej wydzwaniać. Kolejnym problemem była rozmowa z rodzicami. Na razie miała jeszcze trochę czasu, więc próbowała jakby przymierzyć się do niej, choć zdawała sobie sprawę z tego, że od początku stoi na przegranej pozycji. Zastanawiała się też, do pewnego stopnia cynicznie, czy udałoby się jej jakoś wyreżyserować to spotkanie, aby wymóc na starych coś na kształt litości, a nie spotkać się z totalną krytyką, która mogła się przerodzić w kłótnię. Jednak kiedy pomyślała o ich charakterkach, ogarnęły ją poważne wątpliwości. Musiałaby wcześniej mieć na koncie co najmniej Oscara! W końcu uznała, że to nie ten kaliber, nawet cała Amerykańska Akademia Filmowa nic by tu nie poradziła.

Do tej pory nie powiedziała rodzicom, że ma stałego chłopaka, a na ich nieco żartobliwe pytania odpowiadała półsłówkami. Uznała, że na razie nie ma potrzeby robienia z tego wielkiej sprawy. Poza tym był to jej pierwszy chłopak na poważnie. W żadnym razie nie planowała, że pójdzie z nim do ołtarza, chociaż... Nigdy nic nie wiadomo. Po prostu chciała mieć chłopaka, a że akurat Marcin jej odpowiadał, więc od pewnego momentu stali się parą - i zakochała się w nim. Równie dobrze mógłby to być ktokolwiek inny, nie z domu dziecka. Stało się inaczej. Tyle tylko że już na początku ich życia mieli pecha.

Do perfekcji znała nastawienie ojca do wychowanków domu dziecka, na których nie zostawiał suchej nitki także jako miejski radny. Jego dość ostre wypowiedzi na ten temat

czytała kiedyś w lokalnej prasie. Jak dobrze pamiętała, w opinii ojca państwowe zakłady dla dzieci były - najogólniej rzecz ujmując - więzieniami o złagodzonej rygorze, jakby psychiatrykami, w których zgrupowano albo zły element społeczny, albo też owoc owego elementu. Słowem, trudno tu o porządne wychowanie dzieci, łatwiej o wylęganie się, mnożenie i pogłębianie wszelkiej maści zjawisk patologicznych.

Gdy przypomniła sobie o tym wszystkim, to już w wyobraźni widziała rozmowę z ojcem, kiedy mu wyjawi, z kim zaszła w ciążę. Na myśl o tym chciało jej się wyć z rozpacz. Cała nadzieja w matce, spekulowała. Tylko jaka nadzieja? Na przekonanie wściekłego ojca? Matka również miała swoje zdanie o wychowankach domu dziecka i o samej placówce, chociaż nie tak skrajne jak ojciec. Z racji swojej społecznej pracy w organizacji charytatywnej patrzyła przez inny pryzmat na problem ubóstwa, bezrobocia i wszelkie tego konsekwencje, a więc i patologie. Ale czy to wystarczy do udobruchania ojca? No i jak ona sama odbierze tę nowinę?

W tym myślowym chaosie przypomniła sobie o Leonie - starszym o dziesięć lat bracie, który został wychowawcą w jednym z państwowych domów dziecka w Poznaniu. Pamiętała, że ojciec nie był zadowolony kiedy dowiedział się, jaką pracę wybrał sobie po studiach jego syn. Widział go po prostu w szkole. Jednak musiał przełknąć stanowczą decyzję syna, mimo gadania na niego, ile wlezie. Kiedy przed dwoma laty Leon się ożenił i wyprowadził do Poznania, ojciec jakby o nim zapomniał. Ale Beata nie zapomniała. Ilekroć przyjeżdżał do nich w odwiedziny z żoną Ireną i córeczką Natalią, sporo czasu poświęcali na dyskusje na różne tematy. Naprawdę byli kochającym się rodzeństwem. On wiele jej opowiadał o swojej niełatwej pracy, o problemach mniejszych i większych dzieci, które nie z własnej woli ani winy trafiły do takiej placówki. Bardzo mocno utkwily jej w pamięci słowa brata: że te dzieci nie są same w sobie złe, a tym bardziej nie są złem przesiąknięte, jak uważają ludzie - one są głęboko nieszczęśliwe wskutek braku rodzicielskiej miłości. Leon szczerze przyznawał, że żaden dom dziecka, choćby najlepszy takiej miłości im nie zapewni. A potrzebują jej ogromnie, poszukują też zwykłej, szczerzej przyjaźni, zwłaszcza wśród swoich rówieśników.

Myśląc o ukochanym bracie, którego z racji różnicy wieku uznawała za swój autorytet, zastanowiła się - nieoczekiwanie dla samej siebie - czy jej decyzja o związaniu się z Marcinem nie była podświadomym wyborem, stanowiącym w pewnym sensie rezultat jej rozmów z Leonem. Gdy zadała sobie pytanie, czy może dała mu się poderwać z litości, nie umiała sobie na nie odpowiedzieć, mimo iż dobrze pamiętała tamte chwile. Nie miała pojęcia, co tak naprawdę nią kierowało, ale na pewno nie była to szaleńcza miłość od pierwszego

wejrzenia. Co to, to nie. I nagle przyszła jej do głowy kolejna myśl na temat brata. Zazwyczaj, jeśli w rodzinie pojawiała się czarna owca, to był nią syn. Tu zaś stało się odwrotnie, bo przecież Leon jako nastolatek nie sprawiał rodzicom najmniejszych kłopotów, niczym złym ich nie zaskoczył. Tymczasem ona...

Ocknęła się z przygnębiającego zamyślenia. Jej przyszłość - ta bliższa i ta dalsza - malowała się w ciemnych barwach. Nawet nie spostrzegła, kiedy jej przyjaciółka, nie dopiwszy nawet piwa, zapadła w drzemkę. Zazdrościła Justynie jej spokoju ducha i bezproblemowego życia. Wprawdzie nie zamierzała na razie rozmawiać z rodzicami, ale już się zastanawiała, czy pójść do domu, czy do Justyny, żeby u niej prznocować, co czasem się zdarzało za wiedzą rodziców obojga dziewczyn. Nie budząc przyjaciółki, otworzyła drugą puszkę, upiła łyk i stanęła naprzeciwko podłużnego lustra, zawieszzonego na ścianie obok drzwi. Nie obrażała się o to, że w szkole nazywali ją Modelką. W końcu miała figurę w sam raz nadającą się na wybieg i marzyła o karierze modelki. Ale to marzenie na razie legło w gruzach.

Wyszła na zewnątrz, wpatrując się bez entuzjazmu w porządnie utrzymane grządki, kwitnące krzewy i drzewa owocowe. Lubiła pomagać мамie. Domeną ojca było jedynie kopanie kawałka działki - oprócz części trawiastej przeznaczonej na grilla i wypoczynek, bielenie wapnem kilkunastu drzew oraz wykonywanie wszelkich prac naprawczych. Teraz nie miała ochoty na nic, mimo że przydałoby się wygrabić ścieżki między grządkami.

- Chyba się zdrzemnęłam, co? - usłyszała nieco zaspiany głos Justyny, która stanęła w drzwiach altany.

- Chyba tak.

- Wiesz, to piwo jakoś mi nie podchodzi...

- To wylej je na grządki, niech marchewka i pietruszka też mają coś z tego zafajdanego życia.

- Jakie masz plany na dziś?

- Dobre pytanie - zastanowiła się Beata i po chwili odwróciła się w stronę przyjaciółki.

- Zamieniłabym się na twoje, ale wątpię, czy byś się zgodziła.

- Raczej nie.

Beata uśmiechnęła się markotnie i po zastanowieniu odezwała się z udawaną powagą:

- Szkoda, bo gdybyś się zgodziła, to przynajmniej dałabyś mi choć odrobinę nadziei na uznanie, że moja obecna sytuacja wcale nie należy do najstraszniejszych. Poczulałabym się lepiej. Ale odrobiny nadziei mi nie dałaś - dorzuciła już żartobliwie.

- Nie wiem, co odpowiedzieć - westchnęła Justyna i oparła się o pergolę stojącą

samotnie między altaną a grządkami.

- Tak czy owak, mam cholernego stracha przed rozmową ze starymi i nic tu nie pomoże.

- Ale to, co nieuchronne, jeszcze do ciebie nie nadciąga. Ma znacznie dalej niż bliżej.

- Nieuchronne? Nie kapuję.

- No wiesz... koniec, finito, end i co tam jeszcze jest z pożegnań...

- A to mnie pocieszyłaś!

I naraz obie wybuchnęły niepohamowanym śmiechem. Pierwsza uspokoiła się Beata.

- Może i jestem głupią gęsią, ale w końcu mam o sobie duże mniemanie. Co mi tam! Inaczej się nie ujedzie, no nie? - powiedziała nagle z jakimś rozsierdzeniem i pewnością siebie, jakby wstąpił w nią nowy bojowy duch.

- I tak trzymaj! Nie możesz się poddawać - próbowała podtrzymać ją w tym nastroju Justyna, ale jej głos nie brzmiał zbyt przekonująco; nie było w nim tej iskry która dodaje słowom blasku.

Beata nie uwierzyła w jej pocieszenie, gdyż po kilku sekundach na powrót przybrała maskę przygnębienia.

- Jak myślisz, gdzie może być Marcin? - zapytała retorycznie. - Chciałabym, żeby teraz był przy mnie. Może jakoś podbudowałby mnie psychicznie. Jego przecież nie czeka trudna rozmowa ze starymi, bo ich nie ma, prawda?

Justyna potrząsnęła bezradnie głową, podeszła do przyjaciółki i objęła ją ramieniem. Po raz któryś z rzędu pomyślała, że nie zazdrości jej bycia w tak beznadziejnej sytuacji.

- Świat został źle zmajstrowany - ciągnęła pesymistycznie Beata. - Na naszą, czyli kobiet, niekorzyść. Jeśli facet okaże się łotrem, to wszystko zrzuca się na babkę, bo to przecież ona go sprowokowała. Pomijam to, że i kobiety bywają łotrzycami. Ale generalnie to my mamy gorzej. Dlaczego tak jest? To krzyżująca niesprawiedliwość! A jak słyszę jakieś przygłupie porady dla faceta, że ma się nie dać kobiecie i być twardzielem, to chce mi się wyć do księżycy.

- Tak jakby mnie się to podobało!

- Cholera! Przecież to wszystko są banały miliony razy powielane przez ludzi, od początku istnienia świata! Więc o co nam właściwie chodzi, no nie?

- Masz rację, nie ma sensu zastanawiać się nad tym wszystkim.

- Ale tak czy owak, coś muszę teraz zrobić - westchnęła ciężko Beata, rozglądając się po działce.

- To znaczy?

- Przecież nie będziemy tu tkwić do końca życia. Mamy dopiero kilkanaście lat, a gdzie reszta? Ta znacznie cięższa, trudniejsza?

Justyna westchnęła i spojrzała na zegarek.

- Ależ wytoczyłaś nabitą nadziejami armatę - powiedziała, sama nie mając dobrego pomysłu nawet na koniec dnia, nie mówiąc o schyłku ziemskiego istnienia! W końcu te wakacje chciałoby się spędzić jak najprzyjemniej. - Armaty zostawia się na koniec.

- Na koniec? - zdziwiła się Beata. - Nic podobnego. Musiałabyś słyszeć mojego dziadka. Jezu, jak on opowiadał o swoich wojennych przeżyciach! Armaty szły pierwsze, oczyszczały przedpole, aby można było bezpieczniej rwać do przodu. I zabijać.

- Ja nie znałam swojego dziadka, więc... Moja znajomość historii ogranicza się do... Cholera... co my tu mamy pod ręką? Na przykład „Czterech pancernych” i kapitana Klossa...

- Pomijając zakłamanie przeszłości w tych serialach, to i tam armaty szły pierwsze - mruknęła Beata.

- Tak, kurczę, masz rację, bo w zeszłym tygodniu dała ci z historii szóstkę.

- Zapomniała o wykrzykniku, ale co mi tam! To akurat nie jest dla mnie najważniejsze.

* * *

Kolacja była smaczna - wątróbka drobiowa z cebulką i kawa zbożowa z mlekiem. Wiktoria siedziała przy stole z Justyną, która opowiadała jej o problemie Beaty. Rodzice Justyny zajmowali się czymś w obojętności, a Roman był gdzieś w mieście.

- Beata jest załamana - ciągnęła Justyna. - W domu jeszcze nie mówiła o tym, bo boi się jak diabli... Wiesz, jej starzy są dość... dość ostrzy. To bardzo gorliwi katolicy, co akurat nie jest niczym złym, ale... no wiesz... Nie mam pojęcia, co ona robi. Zresztą ona sama tego nie wie. Jej kochany Marcinek ciągle nie odpowiada na telefony. Cholera wie, co się z nim stało! Nie potrafię niczego jej doradzić, bo niby co miałabym powiedzieć? Nie martw się, wszystko się ułoży? Bez sensu...

Wiktoria siedziała zafrasowana nad talerzem, jakby to był jej problem.

- Co myślisz o aborcji? - podjęła temat Justyna, gdy Wiktoria ciągle się nie odzywała.

- Tak, dobre pytanie... Dla kobiety to jest decyzja życia, zwłaszcza dla takiej młodej dziewczyny.

- A co ty byś zrobiła w takiej sytuacji?

- Cóż... Skoro się na coś zdecydowałam, a na myślenie głową jest już za późno, bo

wcześniej pomyślał za mnie tyłek, to trzeba ponieść konsekwencje. Jestem przeciwniczką aborcji, chyba że kobieta padła ofiarą gwałtu albo urodzenie dziecka może grozić jej śmiercią. Może jeszcze - dodała - jeśli badania prenatalne wykażą, że płód ma wady rozwojowe i dziecko urodzi się upośledzone fizycznie - wstała od stołu. - A co ty o tym myślisz?

- Ale mnie zaskoczyłaś.

- Zaskoczyłam? Nie mów! Jest mecz, a potem rewanż, tak samo jak w sporcie - Wiktoria sięgnęła po kubek z kawą i dopiła ją, cały czas wpatrując się w gimnazjalistkę.

- Zgadza się. Nie wiem... Naprawdę nie wiem. To znaczy... Zgadzam się z tobą, oczywiście.

- Oczywiście? A w czym dokładnie?

- No... z tym gwałtem, groźbą śmierci i z tym, o czym dalej mówiłaś... Te badania...

Jak im tam?

- Prenatalne.

- Właśnie.

- Tyle to mogę się domyślać. A to pierwsze?

Justyna podparła dłonią podbródek i ciężko westchnęła.

- Cholerka, w moim wieku?

- Właśnie w twoim. O tym przecież rozmawiamy.

- Kurczę... - westchnęła Justyna i jakby błagalnie wpatrzyła się w Wiktoria, aby ta machnęła ręką na jej odpowiedź.

Jednak Wiktoria wpatrywała się w nią nieubłagany spojrzeniem, które zdawało się przyspilać dziewczynę do krzesła.

- Czekam Justyno. Odpowiedz, jesteś już kobietą.

- Kurczę, naprawdę nie wiem... Słuchaj, może mi nie uwierzysz, ale wiesz... jestem jeszcze dziewicą...

- To nie ma nic do rzeczy. Jesteś kobietą. Odpowiedz mi. Bądź uczciwa wobec mnie, tak jak ja wobec ciebie.

- Naprawdę... Nie wiem... To znaczy tak, jesteś, ale Wiktorio... nie wiem... Myślę o Beacie...

- Czy mam zacząć bluzgać?

- Nie, nie... Daj jeszcze pomyśleć...

- Dobrze, dam ci sto metrów.

- Że co? - Justyna wyciągnęła szyję nad stołem. - Co mi dajesz?!

- W lekkiej atletyce sprint na sto metrów trwa mniej więcej dziesięć sekund. Tyle

czasu daję ci na jednoznaczną odpowiedź, licząc od tej chwili.

- Jezu, zwariowałaś?! Znajdź szybko jakiś podwójny maraton!

Wiktoria uśmiechnęła się. Wiedziała, że nie doczeka się odpowiedzi, więc podziękowała za wspólną kolację i poszła do domku.

Pogoda była ładna. Wzięła książkę i usiadła na werandzie. Ale nie od razu zabrała się za czytanie. Wróciła myślami do rozmowy z dyrektorem domu dziecka. Kłamał jak z nut, a przynajmniej mijał się z gorzką prawdą, przedstawiając jej swoją placówkę niemal jako błogą arkadię, której wychowankowie byli szczęśliwymi aniołkami. Byłby bliższy prawdy gdyby powiedział, że przynajmniej kilkoro z nich, tych starszych, to dewianci, którzy wobec młodszych stosują przemoc psychiczną i fizyczną, wymuszają od nich na papierosy i prochy pieniądze, które tamci otrzymali w czasie odwiedzin swoich matek czy ojców; gdyby przyznał, że są też wychowawcy molestujący seksualnie wychowanków. Jeszcze wiele innych problemów mogłaby wyszperać w tego typu placówkach, ale dała sobie spokój. Otworzyła książkę, lecz w tej chwili nie dane było jej zacząć czytać.

- Dzień dobry pani! - usłyszała z boku męski głos.

Obróciła głowę.

- Dzień dobry!

Mężczyzna podszedł bliżej i oparł się o drewnianą balustradę. Był pracownikiem jej gospodarzy około trzydziestoletnim piegowatym osiłkiem o jasnych włosach.

- Jest pani pierwszą wczasowiczką w tym sezonie - uśmiechnął się, ukazując piękne bielutkie zęby.

- Ktoś musi zacząć.

- Pewnie.

- Pan zajmuje się całym gospodarstwem, prawda?

- Tak. Jeśli ma pani ochotę pojeździć na koniu, to nie ma sprawy, dziś czy jutro.

- Obawiam się, że spadłabym z konia, a nie mam zamiaru się poobijać.

- Na księżniczkę Annę, która spadła z konia, pani mi nie wygląda - zażartował. - Ale jest pani od niej o wiele ładniejsza.

Do licha! - pomyślała i parsknęła dźwięcznym śmiechem.

- Miły pan jest.

- Dałbym pani bardzo spokojną klacz, trzylatkę. Nie spadłaby pani. Prowadziłbym ją na lince.

- Nie... chyba nie. Nigdy nie jeździłam konno. Bałabym się, naprawdę.

- Jak pani chce. No to nie przeszkadzam. Do widzenia.

- Do widzenia - odparła ciepło, przez chwilę odprowadzała go wzrokiem, aż w końcu zagłębiła się w książce.

* * *

Roman wrócił do domu późno, około północy. Wydawał się lekko wstawiony, ale tylko trochę, o żadnym zataczaniu się nie było mowy. W domu panowały ciemności, rodzinka spała. W jednym z domków paliło się światło. Oczywiście, Wiktoria. Spodobała mu się od pierwszego wejrzenia, kiedy zobaczył ją stojącą przed Irlandią, przy rasowym porsche. Spodobała się to mało powiedziane! Kobieta cud przy cudzie samochodowej techniki. Anna, owszem, cały czas piękna i nieosiągalna dla niego. Przynajmniej na razie. Jednak Wiktoria kusila Romana jak szatan świętego Antoniego. Od przybytku głowa nie boli. Załatwiła go wtedy, ale to pryszcz. A kiedy ujrzał ją we własnym domu, podczas kolacji, poczuł się tak, jakby dostał obuchem w głowę. Teraz była na wyciągnięcie ręki - kilkadziesiąt metrów od niego, na dodatek sama. I nie spała. Postanowił. W końcu raz się żyje.

W miarę jak zbliżał się do domku, dochodził go co chwila jej głośny perlisy śmiech, momentami wręcz diabelski. *Ktoś u niej jest* - pomyślał z niesmakiem. Mimo wyęzania sluchu, nie słyszał żadnej rozmowy. Chyba coś z nią nie tak. Śmiać się do siebie? Trzeba mieć coś z głową... Im bliżej się znajdował, tym ostrożniej stapał po trawie. Ponownie dobiegł go śmiech. Żadnych odgłosów rozmowy, żadnego radia, z którego leciałby jakiś kabaret czy coś podobnego. Wariatka i tyle!

Bardzo ostrożnie podszedł do przesłoniętego firanką okna, ale nie zbliżał do niego twarzy. Z odległości dwóch metrów wyraźnie widział śmiejącą się dziewczynę. Miała na sobie zielony podkoszulek z napisem na piersiach N. N. i czarne męskie bokserki. Prawie leżała na łóżku, nogi miała wyciągnięte, stopa założona na stopie. O Boże, cudo ciała! Westchnął boleśnie. W ręku trzymała kilka kartek papieru, które czytała, śmiejąc się do rozpuku. Nikogo innego w środku nie było. Teraz umilkła i wpatrzyła się w sufit. Odłożyła kartki na stolik, usiadła na brzegu łóżka, przetarła oczy i ziewnęła, zakrywając dłonią usta. Trzeba było się zdecydować, bo zaraz zgasi światło. Zapukał do drzwi.

- Wiktorio, to ja, Roman... Nie przeszkadzam?

Cisza.

- Wiktorio... to ja...

Rozległ się energiczny tupot bosych stóp. Otworzyła drzwi i spojrzała na niego wyzywająco, jedną rękę zakładając pod bok.

- Wpadłeś zapytać, która godzina, czy o której przywiozą mleko?

Roman dość mocno się stropił, na chwilę zapomniał języka w gębie.

- Sorki, ale... paliło się światło... - umilkł, zabrakło mu polotu.

- A, już rozumiem... Mamusia cię przysłała, żebyś sprawdził, czy śpię przy włączonym świetle, tak? - kpiła z niego w żywe oczy, ale mówiła to ze znakomicie udawaną powagą. - Wiem, wiem, oszczędności, w razie czego dopisałaby mi to do rachunku. Słusznie. Jak widzisz, dopiero zamierzam się położyć, więc zamelduj jej, że wszystko u mnie w porządku, dobrze? Czy mam podpisać protokół z inspekcji?

Roman zacisnął zęby.

- Nie musisz ze mnie kpić...

- Dobrze, wejdz - powiedziała sucho i usiadła na krześle przy stoliku, po czym zaczęła świdrować intruza odpychającym spojrzeniem. - Swoją drogą, odrzutowiec z ciebie. Jestem tu dopiero drugą noc, a ty... No cóż.

Wszedł, zamknął drzwi i... nie bardzo wiedział, co począć - stać czy usiąść. Kręcił się nerwowo, aż wreszcie usiadł na drugim krześle przy stoliku.

- Więc słucham, dlaczego zjawileś się u mnie o tej porze? - podjęła oschle, nie ułatwiając mu rozmowy i patrząc na niego przeszywającym wzrokiem.

Roman chyba był przerażony samym sobą, bo nie wiedział, co sensownego ma odpowiedzieć. Wyłożenie kawy na ławę jakoś mu nie pasowało.

- A może... z czym przyszedłeś? Masz jakieś wino albo piwo? To rozwiązuje język.

- Wino... piwo? Jakoś... wiesz... cholera... nie pomyślałem - podekscytował się i zaraz zastygł z otwartymi ustami - znowu zabrakło mu polotu.

- Błąd... - zaszarżowała ostro. - To na co podrywasz dziewczyny? Na suchą buźkę? Są takie, które dają się na to nabrać? Uroda to kwestia gustu, więc nie bierz tego do siebie. Masz dziewczynę? - ponieważ milczał jak zakłęty, przygwożdżony jej tyradą, podjęła wątek: - Dobrze, a teraz poważnie. Jeśli myślisz o tym, o czym ja nie myślę, to możesz tu zostać nawet do rana. Zaraz kładę się spać. To, w czym mnie widzisz, to moja piżama. Ale jeśli nie myślisz o tym, o czym ja myślę, to musisz wyjść. Nie za bardzo skomplikowane? - dodała i wstała.

Podeszła do łóżka i demonstracyjnie odchyliła kołdrę. Roman ponownie zacisnął zęby, a także dłonie.

- Prosiłem, żebyś ze mnie nie kpiła. Po prostu usłyszałem twój głośny śmiech i to on mnie tu przyciągnął - odezwał się cicho. - Pomyślałem, że jak ktoś śmieje się sam do siebie, to...

- Tak, ma coś z głową...

- Właśnie.

Twarz Wiktorii złagodniała, jej spojrzenie nie było już odpychające czy agresywne.

- Więc ci wyjaśnię - wzięła ze stolika kartki papieru i potrząsnęła nimi. - Śmiałam się podczas czytania tego tekstu, a jest dość długi.

- A co to jest? - wyciągnął po niego rękę.

- Nie mogę ci tego dać, tylko ci opowiem. Macie teraz V Międzyszkolne Konfrontacje Małych Form Teatralnych...

- Tak, pod nazwą „Co nam w duszy gra”. My też wystawiamy swoją ekipę.

- Wiem. Dom dziecka... Czy jak to ty go nazywasz...? Jak to było?... Zapomniałam...

- Nieważne...

- Dobrze, nieważne. Więc oni też wezmą udział w tych konfrontacjach. Jedną z dziewczyn, Paula...

- Tak, znam ją, ma ciągotki do pisania...

- Napisała znakomity tekst satyryczny, monolog, który chcą przedstawić na tej imprezie. To rewelacja, prawdziwa bomba. Nosi tytuł „Prawdziwy mężczyzna”. Dlatego tak się śmiałam, w pewnym momencie nawet posikałam się w majtki. Może nie uwierzysz, ale naprawdę tak było. No po prostu nie mogłam wytrzymać ze śmiechu.

Roman mimo woli zerknął na jej piekielnie zgrabne nogi i gdyby w porę nie domknął ust, ślinka pociekłaby mu do samych kolan.

- No, przecież nie w te bokserki! I oni mają teraz kłopot, bo chłopak, który ma sprzedać ten monolog, a już ma go w głowie i podobno jest uzdolniony aktorsko, zrobił sobie giganta.

- Tak, słyszałem... Marcin... Faktycznie jest w tym dobry, umie recytować wiersze, ma fenomenalną pamięć. Jak w zeszłym roku recytował Hamleta, zebrał niesamowite owacje. Ma talent.

- I dlatego nie mogę dać ci tego tekstu do przeczytania. Rozumiesz, że chodzi o konkurencję...

- Jasne. Słuchaj, a co niby oznacza to N. N. na twojej koszulce? - zmienił temat w nadziei na przedłużenie rozmowy z dziewczyną, która fascynowała go coraz bardziej.

- Dlaczego „niby”? To coś bardzo konkretnego.

- Czyli?

- Nomen nescio.

- To znaczy?

- Imienia nie znam.

Roman sprawiał wrażenie zmieszanego tą grą słów.

- Jakiego imienia nie znasz?

Wiktoria ciężko westchnęła.

- Ty jesteś licealistą?

Odchrząknął.

- No dobra, więc niech dla ciebie to NN znaczy nic nowego.

- Słucham?

- To, co pod koszulką - wyjaśniła ze wzrastającym zażenowaniem.

Podeszła bliżej do Romana, który wstał, i spojrzała mu prosto w oczy.

- A teraz wyjaśnijmy sobie jedną rzecz, raz na zawsze! Nigdy ci się nie oddam. Nie będziesz mnie miał. Bo przecież z taką nadzieją do mnie przyszedłeś. Żeby mnie przelecieć. To dla ciebie nieosiągalne. Wyrażam się jasno?

Roman przełknął ślinę.

- Aż za jasno.

- Świetnie. Sądziłeś, że jestem tanią dziwką? To powiem ci, że nawet drogą nie jestem. A wiesz, dlaczego? Bo nie jestem dziwką w ogóle.

Roman nie miał najlepszej miny, czerwieniał się, choć w tym świetle było to niezauważalne.

- Przepraszam...

- A za moją kpinę w żywe oczy ja cię przepraszam, chociaż mocno mnie wkurzyłeś.

- Przepraszam raz jeszcze.

- No i widzisz, jak fajnie się gada, kiedy jeden wobec drugiego postępuje uczciwie?

- Tak.

- À propos... Masz dziewczynę?

- Chwilowo jestem bez przydziału.

- Chwile mają to do siebie, że trwają tak długo, jak ktoś tego chce. I dlatego mamy właśnie chwilowo i stare panny i starych kawalerów. Dzięki chwilom zawsze można się wymigać w razie jakiejś nieprzewidzianej okoliczności. To zaleta wszelkich chwil, bez względu na wyznanie, ustrój, przynależność partyjną, kolor skóry i co tam jeszcze chcesz.

Roześmiał się.

- A ty? Masz chłopaka?

- Tak. A gdyby cię to interesowało, to porsche jest jego, a nie moje. Dobrej nocy.

- Dobranoc.

Kiedy wyszedł, ulżył sobie siarczystym przekleństwem, a kolekcję miał bogatą.

Niemniej po kilku krokach przystanął i obrócił się, akurat w chwili, gdy w domku zgasło światło. Wyglodniałe westchnął i niechętnie ruszył do domu.

Wtorek, 15 maja

Sprawiali wrażenie spiskowców. Wczesnym popołudniem siedzieli w pustawym barze Irlandia. Zajmowali stolik w samym rogu i rozmawiali bardzo cicho. Spokojnie popijali piwo, eliksir życia młodzieży, i palili papierosy. Nie obawiali się, że jakiś nauczyciel może tu wejść i sprowadzić ich na drogę cnoty - to już nie były te czasy Teraz wszystko się wyluzowało, dawne rygory straciły jakiegokolwiek znaczenie.

- A oprócz tego, załatwisz mi coś jeszcze - mówił do Żmii, a właściwie do Żmijewskiego, swojego imiennika. - Piguły.

- Nie ma sprawy. W czym wolisz? W proszku, w płynie czy w żelu?

- Proszek.

- Załatwione.

Roman bardzo troszczył się o swój wizerunek porządnego syna i wspaniałego licealisty, dbał o to, żeby nie kojarzono go ani z narkotykami, ani z dealerami. Zawsze wysługiwał się Żmiją, który miał taką opinię, że nic już nie mogło mu zaszkodzić. Do tej pory wykazywał tyle sprytu, że maskował się doskonale. Nie był nałogowcem, przynajmniej za takiego siebie nie uważał, ale raz po raz lubił sobie strzelić coś mocniejszego, dla większego relaksu.

- Na kogo polujesz? - zaciekawiał się Żmija. - Na tę laskę, która u was zamieszkała? Niezła, a nawet lepiej. Pasuje do fury, którą jeździ. Cholera, mieć porsche w takim wieku...! Podejrzana sprawa. Takiego cacka nie ma się za nic!

Roman uśmiechnął się zagadkowo, ale zaraz posmutniał, kiedy przed oczyma stanęła mu nocna rozmowa z Wiktoria. Wyszedł na szczeniaka! Dała mu do wiwatu, czyniąc wielką plamę na męskim honorze. A to bolało jak diabli. Takiego kopniaka się od niej nie spodziewał. Prawdę powiedziawszy, nie wiedział, czego może się spodziewać. Poszedł w ciemno, licząc na łatwy łup. Być może jej porsche też tu coś zawiniło, no bo w jego mniemaniu takim wózkiem raczej nie jeżdżą naiwne dziewczyny tylko takie, które mają więcej doświadczenia niż wiedzy. Tak czy owak, nic tylko się urznąć i nie chwalić doznaną porażką, bo wstyd na całą planetę.

- Wybacz, stary ale tego nie mogę ci powiedzieć. Rozumiesz?

Żmija kiwnął głową i łyknął piwo.

Do baru weszły trzy dziewczyny wśród nich Anna i Beata. Chichotały rozmawiając o czymś zabawnym. Zajęły stolik w przeciwległym rogu, po czym zamówiły pizzę i colę. Przez chwilę patrzyły na chłopaków, ale - zajęte swoimi sprawami - nawet nie wysiliły się na uśmiech. Roman nie mógł oderwać oczu od Anny, co nie uszło uwagi Żmii.

- Więc o nią ci chodzi? Wiem, że podoba ci się jak diabli. Mnie zresztą też, ale w moją stronę nawet by nie spojrziała. Tak, taka piguła mogłaby mi pomóc, tylko nie miałbym możliwości wsypania proszku do jej piwa. Ale ty już coś wykombinujesz, w końcu jesteście jakby kumplami.

Roman zwiesił głowę, nic nie powiedział.

- Masz rację - podjął Żmija. - Poderwał ją taki popapraniec z bidulca, któremu chętnie bym skuł mordę. W głowie mi się nie mieści, jak ona mogła na niego polecieć! Na pewno będzie w sobotę na dysce w Planecie. Ale będzie z bidulem, jeśli dadzą mu przepustkę. Jak go wykurzysz?

- Coś się wymyśli - odmruknął Roman i łyknął piwa.

- Mogę ci pomóc.

Roman przez chwilę się zastanowił.

- Dobra - ponownie wpatrzył się w Annę, ale ta, gdy tylko uchwyciła jego spojrzenie, przesunęła się nieco na krześle, aby nie mieć Romana na wprost. - Jak to zrobimy?

Żmija uśmiechnął się zagadkowo.

- Mam pomysł - rzekł. - Genialny.

- Genialny? Jaki?

Żmija mu opowiadał, a Roman przez parę minut siedział z otwartymi ustami.

- O rany! - uśmiechnął się. - Jasne!

* * *

Żarówka się przepaliła. Padały złośczenia pod adresem nie wiadomo kogo, bo na pewno nie fabryki żarówek. Pijacki hałas dochodził z drugiego pokoju. Siedziała w kąci swojej kanapki w pokoiku obok. I bała się. Strasznie się bała. Co się teraz stanie? Czy mama i jej przyjaciel znowu na nią nakręcą i pobiją ją, mimo że nazywali ją Ślicznotką? Byli nieprzewidywalni. Dwa razy już ją pobili, ale nikt o tym nie wiedział, poza nimi i nią samą. Bała się mówić o tym komukolwiek, nawet swoim koleżankom w przedszkolu. A oni bili tak, żeby mogła zakryć ślady ubraniem, żeby nikt ich nie widział. I grozili, że jeśli komuś o tym powie, to będzie z nią źle. Miała wtedy sześć lat. Była sama. Jej młodszy braciszek zmarł, bo

pijana mama zbyt późno wezwała pogotowie, a tata przebywał na długiej delegacji.

Zawsze bała się wracać z przedszkola do domu, bo nie wiedziała, co ją tam czeka. Zwykle odbierała ją mama, która na zewnątrz sprawiała wrażenie troskliwej, a nawet nadopiekuńczej. Potrafiła się starannie maskować. Wychowawczynie w przedszkolu nie miały pojęcia o jej podwójnym obliczu i charakterze. Rok wcześniej jej mąż zginął w wypadku drogowym i mama znalazła dla Ślicznotki nowego tatę, z którym żyła bez ślubu. Mama już wcześniej piła, tata nie był alkoholikiem. Często dochodziło między nimi do kłótni na tym tle. Ale do mamy nie docierały jego perswazje, żeby się leczyła. Ślicznotka kochała tatę znacznie bardziej niż mamę, jeśli w ogóle można stopniować miłość. On nigdy by jej nie skrzywdził. Często myślała o nim, właściwie codziennie, popłakując w ukryciu, tak żeby mama nie widziała, bo dostałaby burę. Mimo że mama była pijaczką, była ładna i miała całkiem niezłą pracę w firmie ogrodniczej. Kiedy przyprowadziła do domu swojego nowego mężczyznę, dopiero zaczęły się prawdziwe libacje. Ślicznotka nie miała najmniejszego pojęcia, czym miało się stać jej życie - gehenną (choć określenia tego oczywiście nie znała).

W jakiś czas później, podczas kolejnej imprezy doszło do tragedii, tak jakby mało było wszystkich poprzednich. Stało się to późnym wieczorem, kiedy zmęczone i załężnione dziecko zasnęło w swoim łóżeczku. Pijana matka weszła do pokoju, aby sprawdzić, czy dziewczynka śpi. Nawet nie wiedziała, że z jej ust wypadł papieros, wprost na cienką kołderkę dziecka.

Pijacką libację przerwał po jakimś czasie głośny płacz Wiktorii. Dopiero wtedy dorośli poczuli swąd spalenizny. Zataczając się, wbiegli do pokoju, gdzie na dziecku, które coraz głośniej płakało, paliła się kołderka. Pożar rozprzestrzeniał się szybko. Spanikowali. Czas biegł, a oni nie wiedzieli, za co się łapać. Wreszcie w jakimś desperackim odruchu, wykazując sporo odwagi, mężczyzna rzucił się w ogień, aby wyciągnąć małą, co mu się w końcu udało.

Ślicznotka trafiła do szpitala, gdzie nie obyło się bez przeszczepu skóry na piersiach i brzuszku. Jednak brzydkie blizny pozostały już na zawsze. Na szczęście ogień nie zdążył zniszczyć jej twarzy.

Wtedy wszystko się wydało. Pani psycholog wyciągnęła z dziewczynki informacje o mamie i jej konkubencie. Sąd rodzinny był nieubłagany, na zawsze odebrał matce wszelkie prawa rodzicielskie. Starsza siostra mamy Wiktorii, ciocia Zosia, skądinąd bardzo porządna kobieta, nie mogła wziąć siostrzenicy do siebie. W dwóch maleńkich pokoikach razem z nią gnieździło się już pięcioro dzieci, zaś szóste miało niedługo przyjść na świat.

Ślicznotka trafiła do państwowego domu dziecka. Długo nie mogła się przyzwyczać

do nowego środowiska, mimo że nie tęskniła za matką i jej konkubentem. Popłakiwała, gdy nikt nie patrzył, lecz nie chciała wrócić do rodzinnego domu. Z czasem przyzwyczyła się do nowej sytuacji. Obce twarze stawały się jej coraz bliższe, przyjazne, aż wreszcie uznała, że czuje się dobrze, że wcale nie jest tak źle. Nie głoduje, co czasem w domu się zdarzało. Kiedy matka wpadała w alkoholowy dołek, wołała pieniądze przechlać, niż kupić córce coś do jedzenia. Wiktoria jadła więc na kolację chleb moczony w wodzie i posypany cukrem. Od nieustannego głodu ratowało ją przedszkole.

Lata mijały. Ślicznotka rosła, dobrze się uczyła. Była piękną dziewczynką. Od czasu do czasu odwiedzała ją ciocia Zosia, dawała jej na słodycze parę złotych, które zawsze potrafiły od niej wycygnąć starsze koleżanki. Na papierosy. Oczywiście nigdy nie oddawały.

Kiedy w wieku trzynastu lat stała się kobietą, przeżyła kolejną tragedię. Jedną z wychowawczyń, niespełniona mężatka, zakochała się w Ślicznotce. W trakcie swoich nocnych dyżurów przychodziła do niej, kładła się do jej łóżka i pieszczotami gwałciła. Do dziś pamięta wyraz twarzy tej wiedźmy. To, jak napawała się widokiem wijącej się Wiktorii, jak całowała ją w same usta. Ilekroć sobie o tym przypominała, robiło się jej niedobrze. Napisała list do cioci Zosi, w którym wszystko opisała. Ciocia zjawiała się po kilku dniach. Urządziła dyrektorowi karczemną awanturę i na własną rękę zaczęła poszukiwać dla siostrzenicy rodzinnego domu dziecka. Trwało to, co prawda, jakieś dwa miesiące, ale opłaciło się. W nowej rodzinie dziewczynka znalazła prawdziwą miłość, a nie fałszywą, pełną lubieżnych dotknięć, spojrzeń i gwałtu. Jej przybrani rodzice i przybrane rodzeństwo tworzyli wspaniałą kompanię. Została wykształcona i dobrze wychowana. Wyrosła na mądrą i piękną dziewczynę. Kilka lat potem dowiedziała się, że jej matka zmarła, zapłała się na śmierć. Wcale jej to nie obeszło. Nigdy o niej nie myślała, za to zawsze pamiętała o kochanym tacie i o cioci Zosi, która uratowała ją przed strasznym losem. Oczywiście także w państwowych domach dziecka istnieją wyjątkowe osoby, które potrafią oprzeć się wszelkiemu złu i wyjść na porządnym ludzi.

Jej wczorajsza rozmowa z Paulą, w trakcie której tamta nazwała ją Ślicznotką, obudziła w niej wspomnienia z dzieciństwa. Jeszcze dziś te wspomnienia powracały.

* * *

Wiktoria zaparkowała porsche przy wieży ciśnień i skierowała się do Irlandii. Miała ochotę na pizzę. Gdy tylko weszła, zwróciły się na nią wszystkie oczy. Mimowolnie także omiotła wzrokiem całe pomieszczenie. Spozstrzegła Romana, wpatrywał się w nią niczym w

zjawę. Uśmiechnęła się w duchu i podeszła do baru. Zamówiła pizzę, napój pomarańczowy i usiadła przy stoliku naprzeciwko dziewczyn, które oczywiście ją rozpoznały. Uśmiechnęły się do siebie przyjaźnie. Znała już Annę, drugą była Beata, którą spotkała przed gimnazjum, kiedy ta rozmawiała z Justyną. Trzeciej nie znała.

W oczekiwaniu na pizzę Wiktoria wyciągnęła z torebki komórkę i wysłała SMS do swojego chłopaka. Młody barman podał jej pizzę i napój. Zajął się jedzeniem. Po chwili kątem oka dostrzegła, że Roman i jego kumpel Żmija wstają i podają sobie ręce. Żmija wyszedł, a Roman...

- Cześć, Wiktoria... Mogę się przysiąść?

- Proszę.

Roman usiadł, butelkę z resztą piwa postawił na stoliku i wpatrzył się w Wiktoria, która delektowała się pizzą.

- Chciałem cię jeszcze raz przeprosić za wczorajszy wieczór - powiedział cicho, aby nie słyszano przy sąsiednim stoliku.

- Raczej za kawałek nocy.

- No tak... Cóż, głupio mi...

- Przeprosiny przyjęte, już to załatwiliśmy, zapomnijmy o sprawie. Zbyt natrętnie przepraszanie niekoniecznie świadczy o szczerości intencji przepraszającego.

Roman uśmiechnął się cienko.

- Lubisz pizzę?

- Bardziej niż piwo.

- To znaczy, że piwo też lubisz.

- Nie bardziej niż katar.

- Dowcipna jesteś.

- Bynajmniej. A ty często lubisz popijać?

- Wedle młodzieżowych norm...

- Dobrze, nie musisz kończyć! Te normy są żywcem wzięte od stachanowców - westchnęła.

- Stachanowcy? Nie słyszałem. Co to za jedni? Jakaś sekta?

- Sekta? Można i tak to ująć. Zajrzyj do historii okresu stalinowskiego, to dowiesz się więcej.

Odezwał się jej telefon. Sięgnęła do torebki. SMS. Odczytała wiadomość od swojego chłopaka, uśmiechnęła się pod nosem i wysłała mu odpowiedź, co trochę potrwało.

Roman zerkał to na nią, to na Annę, która absolutnie się nim nie interesowała. Nie

bardzo wiedział, na której ma się skupić.

- Wiesz, przyjrzałem się twojej ankiecie - powiedział do Wiktorii z pewną poufałością, kiedy schowała komórkę. - Pytania wymyśliłaś super, są zajefajne.

- Jak do niej podejdziesz?

- Uczciwie.

- Świetnie. O to mi chodzi.

- Co będziesz robiła potem?

- Nie rozumiem.

- No, jak zjesz.

- A co? - zerknęła na niego zażenowana. - Zmiana tematu przychodzi ci z taką łatwością i elegancją, że chyba zacznę bić ci brawa. To robi wielkie wrażenie, naprawdę - dodała kpiąco.

Odchrząknął.

- Nigdy nie jechałem porsche.

- Aaa... - na chwilę zastygła z kawałkiem pizzy przy ustach. - Mam cię przewieźć, tak?

- A ja w zamian pokażę ci okolicę. Myślę, że to uczciwa propozycja. I przywoita...

- Czyli że w nocy miałeś jednak mocno nieprzywoitą?

- Cóż...

- Pozwolisz, że ją przemyślę? I daj mi spokojnie zjeść, dobrze? - dodała sucho.

- Oczywiście - odparł, dopił piwo i wpatrzył się w Annę, która teraz siedziała twarzą do niego. Posłał jej uśmiech, ale ona jedynie wykrzywiła twarz.

Wiktorii zauważyła ich kontakt wzrokowy i jego wymowę. Dziewczyna nie cierpiała Romana, to spostrzeżenie było dla Wiktorii oczywiste. Kiedy kończyła jedzenie, w barze pojawił się Jacek, który od razu podszedł do dziewczyn. Usiadł obok Anny którą cmoknął w policzek. Dopiero po chwili skupił uwagę na sąsiednim stoliku. Uśmiechnął się do Wiktorii, a na Romana ledwie zerknął. Wiktorii posłała Jackowi szczery uśmiech i otarła usta serwetką.

- Trzy dziewczyny na raz, czy to nie za dużo? - rzuciła do niego.

Dziewczyny zamurowało, ale Jacek, wykazując się refleksem, odpowiedział:

- Słyszałaś może coś o Trójcy Świętej w jednej osobie?

Wiktorii nie wytrzymała. Parsknęła dźwięcznym śmiechem na cały bar, co aż poderwało młodego barmana, który z nudów zdawał się drzemać.

- Dobry tekst! - rzuciła mu przez śmiech.

Dziewczyny teraz też się roześmiały. Jedynie Roman siedział z miną przywoitki, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Sprawiał wrażenie wyraźnie zaskoczonego taką komitywą

Wiktorii i Jacka.

- Anno, dla pewności powiedz Jackowi, jeśli przypadkiem gdzieś go zobaczysz, że my, ludzie, powinniśmy jednak stąpać po ziemi, na przystanku pod nazwą Życie, a nie bujać w obłokach - żartobliwie powiedziała Wiktoria do dziewczyny, która rozszerzyła oczy ze zdumienia.

Po chwili znowu rozległ się gromki śmiech. Twarz Romana stała się bardziej niż posągowa.

- Wiktorio, gdybyś później mogła się do nas przysiąc... - odezwał się Jacek zapraszająco.

- Po co odkładać przyjemności na później? Po jakiemu ty myślisz, na jakim świecie żyjesz? - zdumiała się. - Zupełnie tego nie rozumiem. Przysiędę się od razu - dodała i zerknęła na Romana siedzącego z miną grabarza, któremu trup najzwyczajniej w świecie uciekł z trumny bo bał się uduszenia, gdy grób zaczęto zasypywać ziemią.

Roman nerwowo dopił piwo i spojrzał na zegarek.

- Mam coś do załatwienia, właśnie mi się przypomniało - rzekł sucho.

- Gdzieś wyczytałam, że pamięć to nie sekretarka - odparła ze szczerą złośliwością.

Roman z kwaśną miną odstawił butelkę na blat baru i ruszył prosto do wyjścia. Wiktoria odprowadziła go zwycięskim spojrzeniem. Zauważyła, że również Anna zerka na chłopaka z niejakim triumfem. Trzask drzwi był wyjątkowo głośny, wręcz nieznośny dla ucha. Stare dębowe drewno nie ma lekkości pospolitej sklejki. *Z dębem można zatańczyć wszystko, ze sklejką wszystko się rozleci* - pomyślała Wiktoria i zmieniła stół. Jacek przedstawił jej swoje koleżanki. Tą trzecią była gimnazjalistka i przyjaciółka Beaty o rzadkim imieniu Eleonora.

Podczas rozwijającej się miło pogawędki nie uszło uwagi Wiktorii, że niechciana ciąża stanowi dla Beaty naprawdę poważny problem - dziewczyna siedziała, rozmawiała, uśmiechała się, ale tak naprawdę wyglądała, jakby jej nie było. Wiktoria przypomniła sobie wczorajszą rozmowę z Justyną.

* * *

Być albo nie być - Marcin Kowalik miał nie lada dylemat. Co tam dylemat! Wpadł w panikę, kiedy Beata powiedziała mu o ciąży. Wierzył, że mówi prawdę i że to z nim jest w tej cholernej ciąży, której przecież nie chcieli. Był w niej zakochany po uszy, ona w nim też, przecież inaczej nie byłiby parą. No i coś w jego psychice nawaliło, że zrobił sobie ucieczkę,

aby w ciszy i spokoju przemyśleć sprawę. Tylko nad czym tu się zastanawiać? Pewnych spraw nie cofnie, choćby nie wiem jak się starał, nie oszuka zegara. Wiedział o tym doskonale, mimo to w ucieczce widział chwilowy azyl.

Nie odbierał SMS-ów ani telefonów od Beaty, choć niemal bez przerwy o niej myślał. Nie chciał wiedzieć, co ona czuje. I co zamierza zrobić. Ciekawiło go, czy powiedziała już o ciąży swoim rodzicom. Znał ich raczej pobieżnie, z widzenia. Nigdy nie był u niej w domu. Podobno byli ludźmi konserwatywnymi, gorliwymi katolikami z zasadami, których starali się przestrzegać. I dziwna sprawa - nigdy nie zapytał jej, czy w ogóle powiedziała im, że z nim chodzi. Spotykali się, ale raczej nie snuli rozważań na temat odległej przyszłości, żyli sprawami dnia codziennego i jego przyjemnościami. Obce były im poważne plany, na razie dominowała nauka. A tu taki numer, że głowa mała! I to na progu życia, do którego jeszcze na dobre drzwi nie otworzyli (właściwie tylko wyglądali przez lekko uchylone - ciekawi, co będzie dalej). Zdawał sobie sprawę, że postępuje bardzo głupio, jakby nie dorósł do tego wszystkiego, że jest nie w porządku. Po prostu nie jest Beaty godny - jest zwykłym szczeniakiem i tchórzem, który boi się odpowiedzialności.

Zaszył się u swojego o rok starszego przyjaciela Emila, którego rodzice chwilowo przebywali za granicą i wracali dziś wieczorem. Zwierzył się mu ze swojego kłopotu, lecz nie oczekiwał jakiegokolwiek pomocy w rozwiązaniu problemu. Emil mógł mu jedynie współczuć. Marcin wiedział, że musi wracać do placówki. Zresztą, ile czasu można być na bezsensownej ucieczce.

Była jeszcze jedna sprawa, znacznie mniejszej rangi. Jutro zaczynały się międzyszkolne konfrontacje, a on był jednym z członków zespołu domu dziecka, który powinien na nich wystąpić. Nie mógł zawieść koleżanek i kolegów, a zwłaszcza Pauli, która napisała genialny monolog. Ona nigdy by mu tego nie wybaczyła, a nie chciał stracić tak miłej koleżanki. Znał tekst na pamięć, ale zanim zaczął się go uczyć, musiał się porządnie wyśmiać, aby na scenie nie parsknąć chichotem. Miał niezły talent aktorski. Właściwie myślał o tym zawodzie po ukończeniu szkoły. Ale teraz, w obliczu ciąży jego dziewczyny, szkoda słów!

* * *

Jego powrót do placówki przyjęto właściwie bez emocji. Normalka, że ktoś stąd ucieka i wraca - albo sam, albo z policją. Po prostu nic się nie wydarzyło i tyle. Nawet nie bał się rozmowy z dyrektorem, na którego od pewnego czasu oczekiwał przed sekretariatem.

* * *

Beata już dłużej nie mogła ukrywać ciąży przed rodzicami. Nie wytrzymała psychicznie. Chciała mieć to już za sobą i koniec! A potem niech się dzieje, co chce! Niech ją nawet powieszają! Postanowiła, że najpierw powie matce. Wyczekała, kiedy ojciec wyszedł na jakieś zebranie.

Renata Danielska - mama Beaty - była lekko pulchną i ładną blondynką o krótko obciętych włosach. Liczyła czterdzieści trzy lata, była o rok młodsza od męża. Właśnie oglądała jeden z ulubionych seriali, kiedy do pokoju weszła córka - spięta, podenerwowana i rozdygotana. Bez słowa usiadła w drugim fotelu. Matka, zaaferowana filmem, najpierw tylko na nią zerknęła, a potem przyjrzała się jej uważniej. Córka zwiesiła głowę, milczała.

- Coś się stało? - zapytała ostrożnie i z niepokojem.

I Beata nie wytrzymała. Wybuchnęła głośnym płaczem. Ukryła twarz w dłoniach i rozryczała się na dobre. Matka wyłączyła pilotem telewizor i skupiła wzrok na córce.

- Beatko, co się stało, dziecko? Powiedz... - dodała i uniosła się w fotelu.

- Mamo... mamo... jestem w ciąży... - wyszeptała niewyraźnie przez łzy.

Na te słowa Danielska opadła na fotel i zastygła ze wzrokiem wbitym w córkę, a jej usta tylko poruszały się bezgłośnie. Nie mogła wydobyć z siebie słów, jej piersi mocno falowały od ciężkiego oddechu. Beata nie unosiła głowy, ciągle spazmatycznie łkała.

- Jesteś absolutnie pewna, dziecko?

Beata potrząsnęła głową, ciągle jej nie unosząc.

- Zrobiłam test - wyjąkała z płaczem.

- Kto to jest? - matka uniosła się ciężko i przesiadła na fotel córki, przygarnęła ją do siebie i cierpliwie, choć z niepokojem, czekała na odpowiedź.

- Marcin...

- Marcin?... Ten z domu dziecka, o którym coś kiedyś wspominałaś?

Dziewczyna znowu potrząsnęła głową.

- Boże drogi...! - Danielska zastygła w osłupieniu. - Coś ty nam zrobiła...! Beatko...! Jak... jak mogłaś...? - odezwała się po długiej chwili łkającym głosem. - To twój brat, twój brat nie zrobił nam takiej przykrości...

Na te słowa dziewczyna rozplakała się jeszcze mocniej i głośniejsze, wtuliła się mocno w matkę, która sama zaczęła nieco popłakiwać.

- Co ja mam zrobić, mamo?

- Boże, co powie tata... Nie mam pojęcia... Aleś narobiła...

* * *

Wiktoria wyszła z Irlandii wraz z całym towarzystwem, ale zaraz wszyscy się rozstali. Pogoda była wspaniała, więc nie wsiadła do wozu, tylko postanowiła przespacerować się w spokoju po parku i nieco zrelaksować. Nie zdążyła o tym dobrze pomyśleć, gdy obok porsche zatrzymał się maluch, w którym siedział Antoni Raczkiewicz.

- Co za spotkanie! - zawołał, wysiadając.

Prawie potknął się o pas bezpieczeństwa, który zaplątał mu się między nogami.

- Jeszcze trochę i zacznę odnosić wrażenie, że pan mnie śledzi - powiedziała Wiktoria do dziennikarza, który wcale nie wyglądał na stropionego jej słowami.

- Nic podobnego, przypadek. Może wejdziemy? - podszedł do niej i wpatrzył się w jej oczy.

- Zapewne pan zauważył, że właśnie stąd wyszłam.

- Nie zaszkodzi powtórzyć.

- Powtórki z rozrywki już nie bawią, są jak popłuczyny - odparła z delikatną oschłością.

- Szkoda.

- Nic na to nie poradzę. Ale pan niech sobie nie żałuje. Zdaje się, że bar jest czynny do północy. Mam jednak nadzieję, że zjawi się pan na czwartkowym spotkaniu w domu kultury, z pewnością będzie ono bardziej pożyteczne, bo porozmawia pan też z uczniami. Będzie pan miał wiarygodny artykuł, mocno podbudowany opiniami z rozmaitych źródeł. Mam rację?

- Oczywiście, oczywiście, pani Wiktorio. Tak, tak, to zawodowy elementarz - mruczał nieco zakłopotany przestępując z nogi na nogę.

Wiktoria odkaszlnęła. Nie podobały jej się te próby nawiązania zażyłych kontaktów. Nie chciała spoufalać się z dziennikarzem, który na twarzy miał wymalowaną chęć skreślenia na swój prywatny tor wiodący gdzieś do cichej boczniczy.

- Zatem do czwartku - uśmiechnęła się uroczo i ruszyła w stronę parku. - Mam nadzieję, że pan mnie nie zawiedzie. Byłabym niepokieszona.

- W żadnym razie! - zapewnił ją z kwaśną miną.

Chwilę patrzył za dziewczyną, a kiedy zniknęła za rogiem, odruchowo oblizał się. Zerknął na bar, po czym wsiadł do malucha i odjechał.

* * *

Dyrektor Mariusz Turbanowski uważnie słuchał swego wychowanka, który opowiadał

mu o ucieczce, nie zdradzając na razie jej motywu. Marcin był spięty, mówił wolno, z namysłem. Miał metr siedemdziesiąt wzrostu, szczupłą sylwetkę i sympatyczną twarz, mogącą się podobać dziewczynom. Dość długie i bujne ciemnoblonde włosy opadały mu równo po bokach.

Tego rodzaju rozmowy nie stanowiły dla dyrektora czegoś nowego, starał się podchodzić do nich z pewną dozą zrozumienia. Nigdy nie krzyczał, nawet się nie złościł, po prostu cierpliwie słuchał i czekał, aż wychowanek wypowie się do końca. I starał się zrozumieć jego motywy. Nie było też żadnych kar dla takich delikwentów. Odniosłoby skutek odwrotny od zamierzonego, Turbanowski był o tym przekonany. W przypadku recydywy - a zdarzały się - wychowanka umieszczano w innej placówce, z szerszym gronem specjalistów, a jeśli i to nie pomagało, lądował w ośrodku zamkniętym.

- Marcinie, jaka była przyczyna? - zapytał łagodnie.

Chłopak dość nerwowo splatał położone na udach dłonie i wpatrywał się z boku w popiersie Korczaka. Nie miał odwagi patrzeć dyrektorowi w oczy.

- Chyba nie pozbawiłeś nikogo życia... - uśmiechnął się nieco kwaśno Turbanowski.

- Powiedziałbym, że... że stało się odwrotnie...

Dyrektor nieco poruszył się w fotelu.

- Czy właśnie chcesz mi powiedzieć, że...

- Tak...

- Ona ma na imię Beata, jeśli dobrze pamiętam?

Marcin w milczeniu skinął głową. Dyrektor zasepił się, wstał, wsadził ręce do kieszeni i stanął przy oknie.

- To oczywiście nie był gwałt?

- Nie, panie dyrektorze. Zakochaliśmy się w sobie i tyle. No i zdarzyła się wpadka.

- Cóż... To mamy bardzo poważny problem, chłopcze.

Marcin spojrzał na jego kamienną, zamyśloną twarz.

- Wiem. I nie mam pojęcia, co robić.

Dopiero po pewnym czasie dyrektor podszedł do chłopaka i ojcowsko ujął go za ramię.

- Przede wszystkim żadnych głupstw, jeśli wiesz, co mam na myśli. Żadnych głupstw, powtarzam! Trzeba bardzo rozważnie podejść do problemu. Musisz porozmawiać z Beatą, nie możesz uciekać od tej rozmowy. No i czeka cię spotkanie z jej rodzicami. Boisz się tych rozmów, prawda?

- Tak, panie dyrektorze.

- Obawiam się, że niewiele mogę ci pomóc, a właściwie w ogóle... Może się zdarzyć, że na naszą placówkę znowu spadną gromy. Powiedz mi, jak się czujesz psychicznie?

- Sam nie wiem.

- Dobrze, jutro zgłosisz się do pani psycholog. Musisz z nią porozmawiać, uprzedzę ją.

- Dobrze. Ale jutro mamy konfrontacje... będzie mnóstwo pracy...

- Tak, rzeczywiście. Czujesz się na siłach, żeby wziąć w nich udział?

- Muszę. Nie mogę zawieść ludzi, zwłaszcza Pauli.

- Rozumiem. Więc na razie odkładamy twój problem.

Marcin ciężko westchnął, wstał i wyszedł. W holu czekali na niego Jacek z Paulą.

- Chodź, przejdziemy się do parku - powiedział Jacek.

Wzięli Paulę między siebie i poszli.

Środa, 16 maja

W domu kultury zapowiadał się długi i gorący dzień. Gorący tym bardziej, że na dworze panował niemiłosierny upał, a sala widowiskowa nie miała klimatyzacji. Jakoś zawsze brakowało pieniędzy na te rzeczy, inne sprawy okazywały się ważniejsze.

Od samego rana cały budynek pękał w szwach. Rozpoczęły się V Międzyszkolne Konfrontacje Małych Form Teatralnych. Była to pożyteczna impreza, na której młodzi ludzie z artystycznymi zdolnościami mogli sprawdzić się na forum, poznać smak i urok aktorskiego zawodu.

W szranki stanęły zespoły z gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych całej gminy oraz z domu dziecka. W sumie przyjechało osiem twórczych ekip. Konfrontacje podzielono na dwie kategorie - gimnazja i szkoły ponadgimnazjalne, z domem dziecka włącznie. Młodzi artyści mieli zaprezentować się w kilku dziedzinach - recytacji poezji, recytacji prozy, krótkim przedstawieniu teatralnym, piosence, tańcu i kabarecie.

Panował wielki tumult i jeszcze większe emocje. Pieczę nad całością sprawowała dyrektorka, Michalina Janicka, będąca jednocześnie przewodniczącą kilkusobowego jury, w skład którego weszli znani profesjonaliści: pisarz, aktor, muzyk, choreograf, plastyk i satyryk.

W pomieszczeniach przylegających do wielkiej sali ulokowały się kilkunastoosobowe ekipy młodych ludzi; niektórzy byli mocno stremowani. Każdy chciał się zaprezentować jak najlepiej, a było o co walczyć, bowiem samorząd ufundował nagrody za trzy pierwsze miejsca - odpowiednio trzy tysiące, dwa i tysiąc złotych. Taki zastrzyk finansowy dla szkolnego

zespołu stanowił sporą zachętę. Pieniądze z pewnością ułatwiłyby realizację kolejnych projektów artystycznych i dalszy rozwój uzdolnionej młodzieży.

O godzinie dziewiątej Michalina Janicka otworzyła konfrontacje, powitała uczestników i licznych gości. Rozpoczęły się artystyczne zmagania.

* * *

Beata była w podłym nastroju. Mimo że miała wystąpić w zespole tanecznym swego gimnazjum, w ostatniej chwili z tego zrezygnowała, ku rozpaczy koleżanek. Na docieklive pytanie nauczycielki, odpowiedziała dyplomatycznie, że nie czuje się najlepiej. W gruncie rzeczy było to prawdą, tyle że nauczycielka pomyślała o niedyspozycji fizycznej, a nie psychicznej swojej uczennicy, i nie nalegała. Ale Beata uczestniczyła w konfrontacjach jako widz i fanka swojej drużyny, to normalne. Oczekiwała na Marcina, na rozmowę z nim. Wiedziała, że już wrócił z tej cholernej ucieczki, ale do domu kultury jeszcze nie przyszedł.

Scenariusz imprezy przewidywał występy kabaretowe na samym końcu, więc zostało jeszcze sporo czasu, chłopak mógł się pojawić później. Lecz na jej dzisiejszy telefon nie odpowiedział i właściwie była na niego wściekła przez cały czas, odkąd dowiedziała się o jego kroku. Tchórz i tyle! Zostawił ją samą z problemem.

Ciągle przypominała sobie wczorajszą rozmowę z mamą, która zdecydowała, że na razie nie powie o niczym ojcu. Pewnie też obawiała się tej rozmowy. Wprawdzie nie nakrzyczała na córkę, ale jej łzy okazały się gorsze od krzyku i najgorszych wyzwisk. Jednak Beata bardziej bała się rozmowy z ojcem. Na samą myśl, że do niej dojdzie, stawiała się bardzo nerwowa. Nie miała pojęcia, kiedy mama mu o tym powie. Za to miała świadomość, że od tej chwili każdy jej powrót do domu będzie swoistą drogą przez mękę. Właściwie to już chciałaby mieć rozmowę z tatą za sobą. Byłoby jej lżej.

Beata i Justyna wyszły z dusznej sali na zewnątrz budynku. Usiadły na ławce w cieniu drzew. Od razu zrobiło się przyjemniej. Beata oczywiście zwierzyła się przyjaciółce ze swojej rozmowy z mamą. Justyna mogła jej tylko wysłuchać i pocieszyć, że mama na pewno znajdzie jakiś kobiecy sposób na ugłaskanie taty. Beata raczej sceptycznie się na to zapatrywała.

Naraz od strony ulicy doszedł ich dość charakterystyczny odgłos samochodu, po chwili pokazało się czerwone porsche, które zatrzymało się na parkingu.

- Wiktoria - uśmiechnęła się Justyna. - Wiesz, jaka wspaniała z niej dziewczyna? Naprawdę. O wszystkim można z nią pogadać. Miałyśmy wczoraj wieczorem rozmowę o

aborcji.

- O czym? - zdumiała się Beata.

- Aborcja. Tak jakoś ten temat nam wyskoczył przy kolacji.

- I co?

- Po prostu zwykła rozmowa, wiesz...

- Dobra, nie chcę o tym gadać, bo to raczej nie są zwykłe rozmowy - mruknęła Beata i zacisnęła usta.

Justyna zwiesiła głowę i umilkła, przyznając jej w duchu rację. Po chwili stanęła przy nich Wiktoria.

- Cześć, dziewczyny! - uśmiechnęła się i przesunęła ciemne okulary na włosy.

- Cześć. Pewnie przyjechałaś na konfrontacje - rzuciła Justyna.

- Nie inaczej, jestem bardzo ciekawa - Wiktoria nie musiała odgadywać, co kryje się za pochmurnym wyrazem twarzy Beaty.

Rozgadały się o trwającej obok imprezie, gdy naraz Beata zastygła ze wzrokiem utkwionym w nadchodzącą postać. Justyna i Wiktoria podążyły za jej spojrzeniem. Marcin szedł sam. Wiktoria zorientowała się, że to chłopak Beaty i musiała przyznać, że jest całkiem przystojny. Razem z przyjaciółką Justyny tworzyliby śliczną parę.

Marcin przystanął przy nich, był nieco spięty, nie uśmiechał się.

- Cześć - powiedział beznamiętnie jak gdyby nigdy nic, po czym wpatrzył się w Beatę, która zwiesiła głowę, wstała i bez słowa weszła do budynku.

- Marcin - Justyna przerwała krępującą ciszę - myślę, że powinieneś poznać Wiktorię.

Przedstawiła ich sobie i powiedziała mu o jej ankietach.

- Aha - bąknął tylko.

- Marcinie, czytałam „Prawdziwego mężczyznę”. Paula wczoraj dała mi ten tekst - Wiktoria starała się rozluźnić sytuację.

- Poważnie? - jego oczy na moment zaiskrzyły - Jest super!

- Super? To mało powiedziane. Tekst jest genialny! Powodzenia na scenie!

- Dziękuję, proszę pani, postaram się.

- Wiktoria.

- Marcin.

- Marcinku, zdaje się, że ktoś na ciebie czeka - zakończyła stanowczo Justyna.

Skinął głową, a iskry w jego oczach zgasły. Spojrzał w stronę drzwi i powoli ruszył. Justyna i Wiktoria odprowadziły go wzrokiem.

- Czeka ich trudna rozmowa - niepokoiła się Justyna.

- Z pewnością. Ale przyszłość będzie jeszcze trudniejsza - dodała z westchnieniem Wiktoria.

- Wczoraj powiedziała swojej mamie o ciąży - Justyna opowiedziała, co usłyszała od Beaty.

Wiktoria zasepiła się, po czym spojrzała na dziewczynę i nieco się rozweseliła.

- A ty? Przebiegłaś już ten podwójny maraton?

- To znaczy... Postanowiłam jeszcze wziąć udział w stukilometrowym biegu ulicznym. Zdaje się, że są takie w Rio de Janeiro czy Nowym Jorku.

Wiktoria stłumiła grymas i naraz zastygła. Wpatrywała się w swoje porsche, obok którego zaparkował maluch, a w nim...

- No nie, ja się chyba załamie! - parsknęła. - Ale mogłam się spodziewać, że i dziś się tu zjawi. W końcu wielka impreza to prawdziwa gratka dla gazety.

Justyna obróciła głowę.

- Fiuuu! - gwizdnęła przez zęby. - Nasz pan dziennikarz! Chcesz powiedzieć, że wpadłaś mu w oko?

- Coś mi się tak wydaje. Natknęłam się na niego w liceum, potem czekał na mnie przed szkołą, aż wreszcie przydybał mnie przy Irlandii.

- Szkoda na niego czasu! To takie lelum polelum. Kawaler.

- Spokojnie! Zmuszony był finiszować w swoją stronę.

Antoni Raczkiewicz podszedł do nich.

- Dzień dobry!

Odkłoniły się.

- Pani też tutaj? - zwrócił się do Wiktorii.

- Lubię wiedzieć... co nam w duszy gra... - odparła zalotnie.

- Nam?... Aha!... No tak, nazwa konfrontacji. Oczywiście, oczywiście!

- Myślał pan o czymś innym? - rzuciła zadziornie Justyna.

Dziennikarz nieco się stropił i bąknął:

- Ależ skąd!

* * *

Znaleźli ustronne miejsce z drugiej strony domu kultury, gdzie na niewielkim placu otoczonym palisadowym parkanem postawiono przed kilkoma laty coś na kształt wiejskiej zagrody z drewna. W lecie odbywały się tu zajęcia plastyczne dla dzieci, które bardzo sobie

chwaliły tę scenografię. Wieczorami grillowano tu na imprezach dla dorosłych.

Siedzieli przy drewnianej ławie pod zadaszeniem - takich miejsc było kilka - i popijali colę, którą kupili w kawiarence. Spokojnie opowiedzieli sobie o ostatnich dniach z ich życia - bez wzajemnej złości, choć Beata miała na końcu języka wiele cierpkich słów. Zdawali sobie sprawę, że obydwójce zgrzeszyli w równym stopniu i to nie miłością - nic podobnego - tylko zwyczajną nieostrożnością. A był to błąd stokroć gorszy od grzechu, czyli taki, za który się płaci. Bo tak się jakoś dziwnie składa, że grzechy przeważnie nic nie kosztują.

- Boję się rozmowy z tatą - powiedziała. - Ty nie masz takich problemów.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie mam, to prawda... Ale może chciałbym mieć?

- Chciałbyś? - nie dowierzała, mrużąc oczy - Nie mówisz tego poważnie.

- Bardzo poważnie, Beatko. Chciałbym mieć normalną rodzinę, w której dziecko ma prawo do popełnienia błędu. A rodzice? No dobrze, pokrzyczą na nie, ale w końcu zrozumieją je i przytulą. A ja? Do kogo mam się przytulić? Do wychowawcy albo do dyrektora? Myślisz, że to jest to samo? Do kogo, Beatko, mam się przytulić? Przecież wiesz, że pochodzę z rodziny której nie chcę znać. Nigdy się nie spotkam z moją macochą ani z ojcem. Nigdy! Stanę na nogach o własnych siłach i wyjdę na ludzi. Nie mam innego wyjścia, jeśli chcę uczciwie żyć. A chcę. Z tobą. Nie zostawię cię. Jakoś będziemy sobie radzić. Nie chcę, żebyś przerwała tę ciążę. A wiesz, dlaczego? Bo mieszkam w bidulcu i wiem, co to znaczy nie mieć rodziny, wspaniałej rodziny. Beatko, nasze dziecko nie może nie mieć rodziny, rozumiesz? I dlatego tym bardziej musimy wziąć się w garść, na przekór wszelkim złym językom. Pokonamy kłopoty, mimo że będzie nam bardzo trudno. Wiem o tym.

- Czy kiedykolwiek się kłóciliśmy?

- Nie.

- I nie będziemy. Przynajmniej, jeśli chodzi o mnie. Wiem, co to są domowe kłótnie, które potrafią wszystko zniszczyć. Wiem, aż za dobrze. I kiedyś przysięgłem sobie, że jeśli zdarzy się tak w moim życiu, że będę miał rodzinę, to nie może być w niej żadnych sporów. Co prawda nie jesteśmy jeszcze rodziną, ale...

Beacie lzy stanęły w oczach. Ujęła jego rękę i mocno przycisnęła do siebie, a potem rozplakała się na dobre. Przytuliła się mocno do niego. Łkała w jego koszulę. Jemu też zrobiło się wilgotno pod powiekami.

- Marcinku - szepnęła, gdy się nieco uspokoiła. - Niedługo będziesz miał występ, przeciwicz jeszcze tekst.

- Poradzę sobie, Beatko. Znam go jak własną kieszeń. Tylko trzymaj za mnie kciuki!

- Jasne.

Pocałowali się.

* * *

Występy kabaretowe były ostatnim punktem programu. Przed nimi zarządzono półgodzinną przerwę. Wszyscy z ulgą wylegli na zewnątrz, aby organizatorzy mogli porządnie przewietrzyć salę, gdyż zaduch panował w niej okropny. Dyrektorka była tak wściekła, że postanowiła sobie, iż teraz już za żadne skarby nie popuści - tak długo będzie wiercić burmistrzowi dziurę w brzuchu, aż ten znajdzie pieniądze na klimatyzację.

- Do czego to podobne! - powiedziała do trojga jurorów, których ściągnęła aż z Poznania, a oni, równie spoceni, tylko potakiwali.

Jak do tej pory, jury dość wysoko oceniało poziom prezentacji. Wstępne uwagi wymieniano w kawiarence, popijano kawę, napoje i jedzono ciasto.

* * *

Najweselsza część konfrontacji trwała już prawie godzinę. Satyra zawsze jest w cenie, niezależnie od bieżącej sytuacji i politycznego kursu. I jak to bywa, im bardziej ów kurs jest niedorzeczny tym ostrzejsza satyra. Poszczególne zespoły mniej lub bardziej rozbawiały publiczność i jurorów, wszystko zależało od inwencji autorów. Jedno wszakże wydawało się oczywiste: mimo że występowali młodzi ludzie, nie stronili od polityki, która była, jest i będzie ważnym elementem wspólnego życia Polaków (co zresztą na początku ostatniej części konfrontacji podkreśliła prowadząca imprezę Joanna Kłós z domu kultury).

Wedle scenariusza ostatni miał wystąpić przedstawiciel domu dziecka - Marcin Kowalik z monologiem pod tytułem „Prawdziwy mężczyzna”. Tak też się stało. Wszedł na scenę pewnym krokiem, wyluzowany i swobodny, zdawał się w ogóle nie mieć tremy. Stał przy mikrofonie, lekko się uśmiechnął i zaczął z powagą:

Szanowni Państwo!

Chciałbym się odnieść do złotego okresu w naszych dziejach, kiedy to podjąłem wielkie wyzwanie, aby zostać naszym premierem. Misja uzdrowienia Rzeczypospolitej, pogrążonej w zapaści dzięki zdolnościom poprzedniego rządu, przyświecała mi już na miesiąc przed tym, zanim o tym pomyślałem. Przywództwo mojej partii poparło moją skromną osobę i rekomendowało mnie na tę ważną państwową funkcję.

W pałacu prezydenckim otrzymałem nominację na urząd premiera. Na uroczystości

nie zabrakło wszędobylskich mediów, bez których w praworządym państwie nic się dziać nie ma prawa. Gdyby bowiem nie było mediów, nikt nie wiedziałby czy kraj jeszcze istnieje, czy już się rozleciał. Dlatego bardzo szanuję media za ich ciężką orkę, gdyż to dzięki różnym wygłaszanym przez nie kłamstwom, które potem oni sami muszą odkręcać, my, politycy, mamy czas na złapanie oddechu, aby wymyślić jakieś łgarstwa potrzebne w naszej pracy pro publico bono.

Z pałacu udałem się do swojej siedziby, gdzie powitał mnie owacyjnie cały personel, ze sprzątaczkami i woźnymi włącznie. Ostro zabrałem się do pracy nad utworzeniem gabinetu. Wiele rozmów z kandydatami na ministrów miałem już za sobą, pozostały mi jedynie zabiegi kosmetyczne. Gdy tylko skompletowałem gabinet, rozpocząłem inauguracyjne posiedzenie mojego rządu. Jak by tu w najprostszych słowach zdać z tego najpełniejszą relację...?

Konwersacja przebiegała w duchu wzajemnego uwielbienia. W oczach moich ministrów dostrzegałem głęboką wdzięczność za posadzenie ich na wysokich stołkach, o czym wcześniej mogli tylko pomarzyć.

Dla rozluźnienia sztywnej atmosfery rozpoczęliśmy od wypowiedzi na temat pogody. Przy rozpuszczalnej kawie ze śmietanką, która przecież jest odzwierciedleniem społecznego porządku, stwierdziliśmy z zadowoleniem, że w kraju panuje w miarę ujemna temperatura, w sam raz na to, aby nieco ją podgrzać, i że chylące się ku zachodowi słońce mieni się wyjątkowo atrakcyjnym zestawem kolorów, które wpływają na ubarwienie społecznych nastrojów. Ostatecznie uzgodniliśmy, że to, co za poprzedniego rządu przylatywało do nas z Zachodu, nie było żadnym materialnym zapachem unijnej ambrozji, co usilnie wmawiał wszystkim mój szanowny poprzednik, tylko zwykłym substytutem tej woni, czego zakatarzeni - stanowiący ważną część elektoratu w naszym kraju - nawet nie poczuli. Ponieważ nie chcieliśmy zbyt mocno dołować byłego pana premiera, w oficjalnej deklaracji zdobyliśmy się na kompromis: słowo substytut zamieniliśmy na namiastkę, co brzmi po polsku, wszak o kulturę języka dbać należy. Aczkolwiek minister bez teki wyraził zdanie odrębne - skłaniał się ku zapachowi odzieży używanej, a nie ambrozji. Lecz szybko się wyjaśniło, skąd takie odrębne zdanie - otóż ubierał się w lumpeksach. Nie chciałem nawet myśleć, gdzie się stołuje. Ale dobrze, że choć jeden taki minister jest w rządzie, bo to sprawia, że lud pracujący miast i wsi postrzega rząd łaskawszym okiem.

* * *

Wiktoria stała przy samych drzwiach, śmiejąc się na równi z innymi. Podziwiała niesamowitą swobodę i talent aktorski Marcina, który mógłby grać w pierwszej lidze polskiego kabaretu. Naraz odezwała się jej komórka. Dzwonił Klaudiusz. Wyszła na zewnątrz i zaczęła rozmowę.

W pewnym momencie zauważyła stojącego w głębi podwórza Romana, do którego podszedł Żmija. Podali sobie ręce... Nie, to nie było podanie rąk - stwierdziła po chwili. To było przekazanie sobie czegoś niewielkiego. Na pewno nie pieniędzy. Żmija dał coś Romanowi, po czym obaj wkrótce zniknęli jej z oczu. Wczoraj widziała ich w Irlandii, gadali z minami terrorystów, teraz znowu jakieś cicho-sza... Ciekawe. Przypomniała sobie nieoczekiwaną nocną wizytę Romana, któremu dała solidną odprawę. Miała świadomość, że jest atrakcyjna, że może być obiektem pożądania każdego faceta, który... Coś w jej głowie zadźwięczało, szare komórki zaczęły intensywniej pracować.

Zakończyła rozmowę i wróciła na salę, gdzie Marcin nadal bawił publiczność i był w swoim żywiole.

Szczerść wypowiedzi zaczęła ustępować miejsca sondującej wymianie poglądów, gdy z inicjatywy pani minister edukacji narodowej i sportu skupiliśmy się na sprawach obyczajowych i moralnych, z jakimi mamy do czynienia na początku dwudziestego pierwszego wieku. Udało nam się wypracować consensus co do ogólnego spojrzenia na poruszane zagadnienia, gdyż uznaliśmy że takie debatowanie to nic innego, jak zawracanie kijem Wisły. A jednak pani minister pozwoliła sobie zaznaczyć, iż nie miałyby nic przeciwko temu, aby rzeczoną rzekę obwarować obustronnie solidnym wałem przeciwpowodziowym, a że spotkała się z wyraźnym sceptycyzmem ministra spraw zagranicznych, który z ufnością patrzył na chmury nadciągające z Zachodu, poprzestała na optymistycznym stwierdzeniu, iż wspomniana rzeka będzie sobie spokojnie płynąć ukształtowanym przez wieki korytem, a deszcz ze wzmiankowanych chmur go nie pogłębi, jeśli zaś dojdzie do powodzi - to jedynie o charakterze edukacyjno-oświatowym. I, oczywiście, sportowym.

Minister budownictwa zapragnął dowiedzieć się czegoś więcej o stanie substancji mieszkaniowej, w której mają mieszkać nasi obywatele, zwłaszcza młodzi i mający się reprodukować, aby kraj obrastał w piórka i przygotował się do wypłynięcia na szersze wody. Słyszał jedynie, że coś tam się buduje. - Coś to za mało, a tam - jeszcze mniej - wtrąciłem, gdyż miałem w ręce rocznik statystyczny GUS-u. Gdy jednak minister finansów uspokajająco nadmienił o coraz liczniej stawianych domach dla bogaczy, minister budownictwa odetchnął tak mocno, że niewiele by brakowało, a nasz solidny budynek Urzędu Rady Ministrów, który przetrzymał już niejedną dziejową nawałnicę, prawie by się rozleciał. Pan ten zdobył się na

odkrywcze spostrzeżenie, z pogranicza biurowej rachunkowości, że im więcej jest bogatych, tym mniej ubogich. Pomyślałem, że coś w trawie piszczy. I też odetchnąłem, widać chwyciłem rocznik statystyczny starej daty.

Ministra spraw wewnętrznych niepokoiły coraz liczniejsze przypadki ujawniania różnych afer korupcyjnych wśród wysokich urzędników państwowych, nawet funkcjonariuszy policji. Dlatego solennie obiecał to ujawnianie ukrócić, a nawet zlikwidować. „Nie może tak być - oznajmił - żeby wysoki urzędnik państwowy upadał tak nisko”. Przestrzegłem go jednak, żeby zbyt mocno się w to nie angażował, gdyż przy okazji mogą zostać pokrzywdzeni Bogu ducha winni dziennikarze, którzy przecież nikomu nic nie ukradli, może jedynie jakieś tam laptopy z panienkami czy taśmy z jakiegoś podsłuchu, ale żadnej biżuterii czy czegoś w tym guście.

Minister rolnictwa z kolei - ale nie z Polskich Kolei Państwowych, bo ich też już właściwie nie było (ostały się pojedyncze tory i trochę szlabanów) - wyraził przekonanie, że perspektywa kolczykowania pszczół, skoro krowy już szczęśliwie przeszły unijny chrzest, znacząco wpłynie na pracowitość pszczelich kuzynek, czyli os, które na razie miodu nie dają, ale z zazdrości mogą też zabrać się do tej miododajnej orki, bo jednak coś błyszczącego w uchu czy na skrzydełku wabi. Baba jest babą, a na babską zazdrość dotyczącą piękniejszych świecidełek u innej nie ma siły, z chłopem włącznie. Co do przyszłości przygranicznych mrówek, to nie otrzymałem żadnych niepokojących informacji. „Widać niegroźne zjawisko, niech sobie zdychają” - pomyślałem.

O ministrze skarbu narodowego tylko napomknę, bo ciągle spał. Tylko raz się obudził, aby poinformować mnie, że jedynie we śnie widzi nasz skarb narodowy w całości i mocno trzyma go w garści. I że - jego zdaniem - sny to jedyny sposób na udowodnienie, że nasz skarb nie został rozkradzony jak sądzi opinia publiczna, a co media tak lubią nagłaśniać. Tak więc życzyłem ministrowi skarbu spokojnego snu, aż do końca kadencji mojego rządu, ponieważ nabrałem pewności, że narodowego skarbu nie wypuści z rąk za żadne skarby.

No i wreszcie mój pierwszy wicek - minister infrastruktury, autostrad i innych dróg, a ściślej mówiąc, człowiek od tego, co się ciągnie wokół dziur na naszych szlakach komunikacyjnych, a które w unijnej nomenklaturze figurują pod nazwą 'O święty Krzysztofie!'. Otóż mój wicek zadeklarował, że całe swoje ministerialne pobory przeznaczy na winiety, czym dał przykład samemu sobie. Ale od razu poprosił mnie o zaliczkę na kupno dalekosiężnej lornetki. „Jak dobrze się przejedzie po autostradach, których pobudowanie raczył zapowiedzieć, to może mi tę zaliczkę zwróci” - pomyślałem w swej naiwności.

Po jakichś dwóch latach sprawowania funkcji premiera w tym towarzystwie nasza

mnie konkluzja, której trafność oddają słowa pewnej piosenki: „I co ja robię tu? U-U. Co ty tutaj robisz?”.

Cóż miałem robić? Choć do mety było daleko, zwinąłem ten interes słynną złotą myślą, którą gdzieś wyszperała moja asystentka do spraw zawracania głowy pierdołami, aby odwrócić uwagę ludzi od kwestii ważnych, a od której to myśli panie reporterki były łaskawe zachichotać przed obliczem telewizyjnych kamer: „Prawdziwego mężczyznę poznaje się nie po tym, jak kończy, tylko po tym, jak zaczyna”. Bo jak kończy - to już tylko wstyd! Dziękuję za uwagę.

* * *

Rozległa się burza braw. Wszyscy powstali z miejsc, z jurorami włącznie, a była to taka owacja na stojąco, jakiej nie zgotowano nikomu przedtem. Marcin uklonił się skromnie, a kiedy wreszcie oklaski umilkły powiedział do mikrofonu:

- Proszę państwa, chciałbym poprosić na sceną moją koleżankę, Paulę Lipiec, licealistkę z handlowki, która jest autorką tego monologu. Brawa należą się właśnie jej, a nie mnie - dodał i uśmiechnął się do zaskoczonej Pauli, która z głębi sali wolno zaczęła się przeciskać na scenę.

Ponownie zabrzmiały gromkie oklaski, tym razem przeznaczone dla Pauli. Naraz Marcin znieruchomiał. Nieopodal wielkich drzwi zauważył rodziców Beaty, których znał z widzenia. Z tej odległości trudno mu było ocenić ich wyraz twarzy, nawet nie wiedział, czy bili brawa. Poczul się nieswojo. Jego dziewczyna znajdowała się tuż przy scenie i podskakiwała jak szalona, szczęśliwa i dumna, więc pewnie nawet nie wiedziała, kto za nią stoi. Zresztą rodziców nie brakowało. Chcieli zobaczyć, co ich młodzi gniewni potrafią.

Wreszcie Paula dotarła na scenę i stanęła przy Marcinie.

- Czy ci odbiło? - szepnęła mu wściekle do ucha. - Przecież ja nie umiem gadać do mikrofonu i ludzi, spalę się! Porąbało cię?! Wieczorem tak nakopię ci do tyłka, kochasiu, że zapomnisz o świecie! Masz to załatwione. Aha, gratuluję, Marcinku, byłeś genialny! Gdyby nie Beata, to za ten monolog bym cię pokochała.

- Oj, to powiedz chociaż, że dziękujesz i tyle. Na to chyba cię stać - odszepnęła.

Paula odchrząknęła i podeszła do mikrofonu. Marcin mimo woli zauważył, że rodzice Beaty właśnie wychodzili z sali.

- Dziękuję - Paula lekko dygnęła i obydwójce zeszli ze sceny.

Ponieważ był to ostatni punkt konfrontacji, na sali zrobiło się zamieszanie, a jury

udało się na naradę.

* * *

Wiktoria z trudem przebijała się do wyjścia. Była pełna podziwu dla talentu Marcina, bo swój podziw dla Pauli wyraziła już wczoraj - niepohamowanym śmiechem. Kiedy znalazła się na zewnątrz i z ulgą zaczęła oddychać świeżym powietrzem, podeszli do niej Roman z Justyną.

- I jak wam się podobał monolog? - zapytała.

- Bomba! - odparli z zachwytem. - To było niesamowite, Paula ma talent - dodała Justyna. - No i Marcin też - dorzuciła.

- Prawda?

Naraz Justyna skupiła spojrzenie na czymś za plecami Wiktorii, a jej twarz powoli tężała.

- Dobra, to ja lecę. Na razie! - powiedział Roman i zniknął w tłumie.

Wiktoria spoglądała za nim z zastanowieniem. Miała względem niego jakieś złe przeczucia. W tym momencie nie darzyła go najmniejszą sympatią.

- To są rodzice Beaty - szepnęła Justyna, wskazując wzrokiem przed siebie.

Wiktoria obróciła się i w miarę dyskretnie przyjrzała stojącej pod drzewem parze - ładnej pulchnej blondynce i wysokiemu szatynowi o wyrazistej twarzy, która raczej wskazywała na twardziela; o czymś rozmawiali, ale mieli marsowe miny. Najwyraźniej kogoś wypatrywali w sporym tłumie, bo wodzili oczami za ludźmi opuszczającymi salę.

Do Wiktorii i Justyny podeszli Anna z Jackiem - oni też byli pod wrażeniem występu Marcina. Zaczęli wymieniać między sobą uwagi.

Niespełna pół godziny później ogłoszono wyniki. W pierwszej kategorii wygrało Publiczne Gimnazjum nr 3, a w drugiej liceum ogólnokształcące. Dom Dziecka im. Janusza Korczaka generalnie wypadł najgorzej w tej drugiej kategorii. Była to zwyczajna klapa, by nie rzec - kompromitacja, ale Paula Lipiec i Marcin Kowalik otrzymali indywidualne tytuły osobowości artystycznych i specjalne nagrody od dyrektora Miejskiego Zespołu Oświaty. Kiedy wręczano nagrody Paula była wniebowzięta, Marcin usiłował jedynie sprawić dobre wrażenie, bo myślami był zupełnie gdzie indziej.

* * *

Zygmunt Danielski siedział w zapełnionym gośćmi barze i pił piwo. Zdarzało mu się

to rzadko, gdyż do barów raczej nie zaglądał. Jeśli miał ochotę na coś mocniejszego, to wyłącznie w domu, z pełną kulturą, bez żadnego upijania się. Jednak teraz wypijał już czwarty z kolei kufel. Był wściekły na wszystko i wszystkich. W barze znajdowało się kilku jego dobrych znajomych, którzy nie ukrywali zdziwienia, że go tu spotkali. Kiedy dziś w południe żona powiedziała mu o problemie ich córki - a właściwie to o ich wspólnym rodzinnym problemie - ręce mu opadły. Zabrakło mu słów. W pierwszych chwilach. Bo potem zaczął kląć jak szewc i rzeźnik razem wzięci, czego nie robił nigdy, nawet w samotności. Nie mógł przetrwać tej wiadomości. Żona tylko siedziała w fotelu i chlipała.

Pierwotnie mieli zamiar pójść na szkolne konfrontacje do domu kultury gdzie ich córka występowała w szkolnym zespole tanecznym. Chcieli na nią kolejny raz popatrzeć, bo naprawdę miała talent. Ale Danielski przestał mieć na to ochotę.

Jednakże jakiś czas potem stwierdził, że pójdzie, ale później, i nie po to, aby popatrzeć na córkę, tylko na tego skubańca z domu dziecka, który zmajstrował jej dziecko. Już wcześniej dowiedzieli się od Beaty że chłopak będzie występował w części kabaretowej. Żona wolała mu towarzyszyć, żeby - w razie czego - powstrzymać go przed jakimś gwałtownym, nieprzemyślanym zachowaniem w publicznym miejscu, ponieważ mąż potrafił być nieobliczalny.

Z córką nie spotkali się na imprezie, choć widzieli ją gdzieś w tłumie. Obydwoje uważnie słuchali zabawnego monologu tego... skubańca... i ucziwie musieli przyznać, że chłopak ma niebywały talent aktorski. Ale to ich nie obchodziło. Po imprezie oczekiwali, że Beata podejdzie do nich, nawet puścili jej SMS, ale nie doczekali się i wrócili do domu. Danielski bąknął coś do żony, że musi wyjść, a ona nawet nie zapytała dokąd. Przeważnie mąż od razu mówił jej, gdzie się wybiera. Stanowili bardzo zgodne małżeństwo.

Teraz Danielski stopniowo się upijał. Kto rzadko pije, szybko się upija, tak to już jest. W ogóle byli z żoną zaskoczeni, że Beata zadowolila się chłopakiem z domu dziecka, kimś z przeszłością, ale bez przyszłości. Kto wie, czy to nie było dla niego ważniejsze od faktu, iż córka jest w ciąży? Na razie nie umiał sobie jednoznacznie na to pytanie odpowiedzieć. Można by rzec, że analizował tę sytuację pod różnymi kątami. Z żalem myślał też o swoim synu Leonie, który mimo jego sprzeciwu został wychowawcą w domu dziecka w Poznaniu. Nie cierpiał tych instytucji i tyle. Jego zdaniem były gniazdem wszelkiej patologii i zła. Uważał, że młodzież, która tam trafia, ma zakodowane w genach psychiczne skrzywienia i przestępcze skłonności. Co zrobić z problemem, który przecież istniał, istnieje i będzie istnieć? Czasem się nad tym zastanawiał, ale nie znajdował recepty. Teraz jednak rozmyślał wyłącznie o córce, która wycięła im taki numer.

Przy piątym piwie zaczął widzieć jak przez mgłę. Nawet wrócił mu humor w rozmowach z kolegami. Zło zdawało się już nie mieć koloru głębokiej czerni, przekształciło się w pospolitą szarość, która nie jawiła się tak groźnie. Gdy w kuflu zobaczył dno, pomyślał, że pora wracać do domu i po męsku porozmawiać z wyrodną córką. Postanowił spuścić jej porządne lanie. A może i wywalić z domu? Tę drugą ewentualność musiał jeszcze przemyśleć.

* * *

Wiktoria wysiadła z porsche przed domem swoich gospodarzy. Dochodziło wpół do ósmej wieczorem. *W sam raz na kolację* - pomyślała. Czuła się głodna i już się cieszyła na pyszności, które pojawią się na stole. Cokolwiek miałyby to być, na pewno będzie smaczne - tyle już wiedziała. Najpierw jednak poszła do domku, wzięła prysznic, aby zmyć pot i pył upalnego dnia.

* * *

Kiedy stanęła pod strumieniem chłodnej wody i zamknęła oczy, nieoczekiwanie przypomniały jej się prysznice sprzed lat, w domu dziecka. Chodziła wtedy z dziewczynami do wspólnej łaźni, zwykle raz w tygodniu. Starsze dziewczyny... no cóż, niektóre były bardzo agresywne i musiała im ulegać. Nie miała wyboru, choć w jej oczach tlił się bezsilny gniew. Robiły z nią, co chciały, zwłaszcza te brzydsze. A ona była taka ładna, mimo paskudnych blizn na piersiach i brzuchu (kilka lat później zrozumiała, że nigdy nie będzie mogła się pokazać na plaży w bikini, a jedynie w kostiumie jednoczęściowym - jak pływaczka; a pływać umiała doskonale). Chyba wszystkie starsze dziewczyny na jej widok się podniecały. Kazały jej, żeby je pieściła, one też ją pieściły. Nazywały ją Ślicznotką - skąd wiedziały, że tak nazywano ją w domu? Nie miała pojęcia. Po prostu czysty przypadek. Bywały momenty, kiedy chodziła nad pobliski staw i myślała o tym, żeby się utopić. Lecz nie miała odwagi tego zrobić, bała się, że będzie bolało. Bólu bała się od zawsze, odkąd pierwszy raz została uderzona przez matkę, chociaż później wiele, wiele razy była mniej lub bardziej bita. Okropne lata. Teraz już nie chciałaby się utopić. Życie pokazało jej także swoje dobre strony, tak jakby chciało wynagrodzić poprzednie lata.

* * *

Wyszła spod prysznica i owineła się ręcznikiem kąpielowym. Podsuszyła trochę

włosy. Zdecydowała się nie upinać ich, tylko puścić luzem. Sięgały ramion. Z lodówki wyjęła małą butelkę niegazowanej wody mineralnej i postawiła ją na stoliku, wypijając wcześniej dwa łyki. Woda była zbyt zimna. Przebrała się w niezbyt obcisłą błękitną sukienkę z niewielkim dekoltem w szpic, po czym poszła na kolację.

W jadalni rodzinka znajdowała się w komplecie, z tym że doszła jeszcze jedna osoba - Beata. Nakrycie czekało na Wiktorię, która przeprosiła za spóźnienie, na co pani Iwona wręcz się obruszyła.

- Pani Wiktorio, pani jest naszym gościem, my jesteśmy dla pani, a nie pani dla nas - powiedziała czarująco, a jej mąż skwapliwie potrząsnął głową i dorzucił:

- Lepiej bym tego nie ujął, nie jestem mocny w słowach.

Wiktoria uśmiechnęła się i usiadła. Mimo woli zerknęła na Romana, który wyglądał na pochmurnego i zamyślonego, raczej nie miał ochoty na jedzenie. Kolacja była na zimno - podano biały i czarny salceson, pasztet z gęsich wątróbek i surową wędzoną kielbasę.

- Romeczku, chyba nie masz apetytu - zauważyła pani Stankiewicz.

- Oj, mamusiu, miałem ciężki dzień, no wiesz...

- Nie wiem, skąd mam wiedzieć?

Mamusiu - pomyślała złośliwie Wiktoria. - Gdybym powiedziała ci, na co twój Romeczek miał wczorajszej nocy wielką, ale to bardzo wielką ochotę, to pewnie byś mi nie uwierzyła.

Beata jadła niczym ptaszek, siedziała strasznie osowiała, za to jej przyjaciółka wcinała aż miło. Wiktoria podjęła rozmowę o minionych konfrontacjach, ale włączyli się do niej tylko Justyna i jej rodzice. Mimo to pogawędka toczyła się całkiem przyjemnie.

W pewnym momencie odezwała się komórka Beaty która - zerknąwszy na treść SMS - nagle spochmurniała, po czym wstała i wyszła na zewnątrz.

- Z nią dzieje się coś niedobrego - powiedziała cicho pani Stankiewicz do córki.

- Ma pewien problem, mamusiu...

- No cóż...

Naraz przez otwarte okno dobieg ich głośny szloch Beaty. Justyna rzuciła chleb na talerzyk i momentalnie wybiegła na dwór. Gospodarze i Wiktoria wymienili spojrzenia. Roman wstał, bąknął coś pod nosem i zniknął w głębi mieszkania.

- Małe dzieci, mały kłopot... - westchnęła gospodyni i spojrzała na Wiktorię.

- Różnie się w życiu układa, proszę pani.

- Takie właśnie ono jest, to nasze życie...

Po chwili wróciła Justyna.

- Mamusiu, Beata będzie dziś nocować u mnie - to nie była prośba, to było stwierdzenie.

- Oczywiście, oczywiście, nie ma problemu.

Justyna wyszła.

- To musi być coś naprawdę bardzo poważnego - powiedziała pani Iwona do Wiktorii.

- Zapewne.

- Ciekawe, jaki ona może mieć kłopot? - odezwał się Stankiewicz, spoglądając najpierw na żonę, potem na gościa.

Panie zerknęły na siebie z zastanowieniem.

- Domyślać się można, mój drogi, ale...

- Wiesz, kto jest chłopakiem Beaty, prawda?

- Ten Marcin z domu dziecka. Myślisz Marianku, że...

- Znasz jej ojca, jego poglądy na temat takich domów i w ogóle tego rodzaju spraw...

- Ba! Nawet w gazecie pisano o jego zapatrywaniach w tej kwestii, one są chore...!

- Właśnie. A jego syn...

- Leon, zdaje się...

- Leon. Jest wychowawcą w domu dziecka w Poznaniu. Danielski był wściekły - sam mi o tym mówił - kiedy jego syn obrał sobie taki zawód. Dokładnie pamiętam jego słowa, choć rozmawialiśmy ze sobą już dawno, przed laty. Więc, Iwonko, wyobraź sobie, że Beata jest w ciąży z Marcinem.

- O Boże... - westchnęła ciężko pani Iwona, pochyliła głowę i podparła ją dłońmi. - O Boże...!

Wiktorii przysłuchiwała się tej rozmowie z pewnym zainteresowaniem, zwłaszcza kiedy padło imię Leon. Dokończyła jedzenie, podziękowała i wyszła.

* * *

Siedziały na ławce, przytulone i z markotnymi minami, tuż przy wolierze, w której popołudniową porą ożywiało się ptactwo, ponieważ temperatura spadała wówczas do dwudziestu kresek i można było odetchnąć. Lecz dla popłakującej cicho Beaty nie był to czas na oddech.

Telefon, który wywołał u Beaty szloch i frustrację, był od jej mamy. Mówiła, że tata wrócił pijany i niecierpliwie jej oczekuje. Radziła, aby nie wracała na noc do domu i - gdyby to było możliwe - przenocowała u Justyny, a ona postara się ją chronić. Przed tatą, ma się

rozumieć. Tata nigdy nie uderzył ani Beaty ani jej brata. Był dobrym ojcem, choć surowym, ze swoimi radykalnymi i nieco dziwacznymi poglądami na pewne sprawy. Taką opinię miał wśród znajomych i nie tylko - nie znosił sprzeciwu. Jego musiało być na wierzchu, a to już pogranicze w ogniu, stąd było blisko do wybuchu wojny. Ciężki facet. Nie tylko Beata o tym wiedziała.

- O, Wiktoria nadchodzi - zauważyła ciepło Justyna.

Beata obróciła głowę. Istotnie, od strony domu zbliżała się Wiktoria. Nie spieszyła się. Szła, rozglądając się, jakby nie wiedziała, dokąd zmierza. Ale raczej wiedziała, bo szła w ich kierunku.

- Faktycznie, fajna z niej dziewczyna. Bardzo sympatyczna - powiedziała Beata.

- Pewnie. I jest cholernie ładna.

- Zwyczajnie śliczna i niesamowicie zgrabna. Aż jej zazdrościć figury.

- Ciekawe, czy Roman próbował się do niej dobierać.

- Myślisz?

- Tylko się zastanawiam - westchnęła Justyna. - Mój braciszek ma trudny charakter i nie znosi sprzeciwu. A gdy dziewczyna się na nim pozna, co zwykle następuje szybko, to wali go w rogi. I słusznie. Dlatego przegrywa.

- No i jest chimeryczny.

- Chimeryczny?! - parsknęła Justyna. - To określenie jest zarezerwowane wyłącznie dla artystów, a nie dla chamów. Momentami bywa chamowaty i tyle. Ja bym z nim nie wytrzymała!

- Mówisz o swoim bracie.

- Bo go znam, jak nikt inny. Mówiąc dosadniej, ma osobowość obślizgłego gada! Natomiast mama patrzy w niego jak w święty obrazek. Oby się na nim nie zawiodła! Tylko tata jest ostrożny. Roman nie wdał się w niego, tylko wiesz w kogo? W dziadka ze strony mamy, który był niezłym gburem. Kapujesz? Taka to czasem bywa uroda krzyżówek. Całe szczęście, że mnie to nie spotkało.

- Geny rządzą się swoimi prawami.

- Właśnie.

Beata, zapatrzona w nadchodzącą Wiktorię, zapytała:

- Czy ona wie o mnie? Mówiłaś jej?

Justyna milczała.

- Więc powiedziałaś.

- Tak jakoś wyszło, wiesz, nie chciałam...

- W porządku, nie gniewam się - cmoknęła przyjaciółkę w policzek. - Ani mi to nie pomoże, ani nie zaszkodzi.

Wiktoria zatrzymała się przed nimi. Lekko się uśmiechnęła.

- Wiesz, ładnie ci w tej sukience - powiedziała Justyna.

- Właściwie nie wiem, czemu ją zabrałam... Tak jakoś...

- Jak to u bab! Zawsze kupujemy kolejne ciuchy, choć szafa stoi pełna.

Wiktoria roześmiała się i usiadła na ławce.

- Teraz jest znacznie przyjemniej - stwierdziła.

- Tak, chłodniej - potwierdziła Beata. - A dla kogo przyjemniej, to przyjemniej...

Spojrzały sobie w oczy. Kilka sekund głębokiego badania się wzrokiem.

- Nie ma takich problemów, które pewnego dnia by się nie kończyły - powiedziała Wiktoria. - Wiem coś o tym.

- Wiesz?

- Może miałam ich więcej niż ty...

- Wiem, że o moim już się dowiedziałas. No i co byś mi poradziła?

- A konkretnie?

Beata oparła się o ławkę, wzięła głęboki oddech, jakby odczuwała duszności.

- Chwilami myślę o przerwaniu tej ciąży. Chociaż... sama nie wiem... Zrobiłam zły ruch, pospieszyłam się w domu...

Wiktoria spojrzała na Justynę, której przypomniał się podwójny maraton i bieg uliczny, ale nie odważyła się podjąć tematu. Justyna zwiesiła głowę z jakimś zawstydzeniem.

- Czasem warto coś przemyśleć, a nie tylko pomyśleć o czymś, bo to za mało - powiedziała Wiktoria.

Zamilkły.

- Chce mi się pić jak diabli, nie wiem po czym. Śledzi nie jadłam - westchnęła Beata.

- Poczekaj chwilę, zaraz przyniosę mineralną. Mam w domku, niegazowaną. Może być?

- Pewnie.

Wiktoria ruszyła do swojego domku. Na stoliku stała butelka wody, którą przed kolacją wyjęła z lodówki. Chwyciła ją i pospieszyła z powrotem. Podała ją Beacie - dziewczyna pociągnęła kilka długich łyków i mocno odetchnęła.

- Od razu lepiej! Uff! - uśmiechnęła się, oddała butelkę Wiktorii i wstała, żeby się przejść. W tym momencie odezwała się jej komórka. - To Leon - oznajmiła Justynie i odeszła z telefonem przy uchu.

Wiktoria usiadła, zakręciła butelkę i postawiła ją przy ławce.

- Jest od niej o dziesięć lat starszy, pracuje w domu dziecka w Poznaniu - wyjaśniła jej Justyna.

- Czyli że jej mama miała pewnie...

- Siedemnaście lat, kiedy Leon się urodził. Ojciec jest o rok starszy od niej.

Wiktoria przywołała z pamięci obraz rodziców Beaty, których widziała przed domem kultury. Justyna powiedziała jej wszystko, co sama wiedziała na temat brata Beaty. Nie były to żadne poufne informacje. Rozmowa Beaty z bratem przeciągała się, więc dziewczyna usiadła na drugiej ławce. Wiktoria i Justyna zauważyły, że lekko popłakuje i ciągle potakuje głową. Właściwie więcej słuchała, niż mówiła.

- To już ponad piętnaście minut - szepnęła Justyna.

- Bo i problem jest trudny prawda?

- Niestety.

Kiedy Beata wróciła na ich ławkę, przez dłuższą chwilę milczała.

- Moja mama dzwoniła do Leona - zaczęła cicho, jakby z trudem. - Powiedziała mu o wszystkim i on zaproponował, żebym przyjechała do nich na kilka dni, tak jak stoję. Żebym na razie nie pokazywała się w domu. Jutro mam iść do szkoły i poprosić dyrektorkę o kilka dni wolnego. To znaczy, że będę musiała powiedzieć z jakiego powodu.

- Jak ci idzie w szkole? - zapytała Wiktoria.

- Dobrze. Bez problemów przechodzę dalej.

- Więc może brat dobrze ci radzi.

- Chyba tak. Jest bardzo fajny.

- Wiem.

Obie dziewczyny spojrzały na nią zaintrygowane.

- Wiesz? - zdumiała się Beata.

- Bo go znam.

- Znasz Leona?! Mojego braciszka?!

- Nawet bardzo dobrze. Zresztą niedawno, zanim tu się zjawiłam, też z nim rozmawiałam.

- Zaskoczyłaś mnie.

- Życie jest pełne niespodzianek.

- Skąd go znasz?

Wiktoria uśmiechnęła się zagadkowo.

- To długa historia. Miły chłopak. I ma cudowną żonę, Irenę. Tylko wiesz, jeśli

myślisz, że coś mnie kiedyś z twoim, bratem łączyło, to nic z tego. Mówię o innym rodzaju kontaktu, powiedzmy - na płaszczyźnie zawodowej. Nic poza tym.

- Aha.

- Mieszka na Winogradach, zgadza się?

- Tak.

- Zawiozę cię jutro do Poznania.

- Poważnie?

- Jak najpoważniej.

Beata rzuciła się jej na szyję.

- Super! Wiktorio, dzięki!

- Ale musisz załatwić sprawę z dyrektorką.

- Jasne, chyba się zgodzi.

- Na pewno...

- Tyle że musimy pojechać przed południem - zastrzegła Wiktoria. - Z rana powinnam zebrać ankiety ze szkół, a przed popołudniowym spotkaniem w domu kultury muszę je przeanalizować.

- To pojedę pociągiem...

- Nie, nic podobnego! Zawiozę cię i zaraz będę wracała.

Naraz Beata chwyciła się za skroń.

- Cholera, coś mi się robi słabo... - zaczęła ciężko oddychać.

- To idźmy spać - powiedziała Justyna.

- Może lepiej odwiozę cię na pogotowie - zaniepokoiła się Wiktoria.

- Nie, położę się. Przejdzie mi - bagatelizowała Beata.

- Czulaś się już tak wcześniej?

- Nie. Ale przejdzie mi, spoko!

Wstały i skierowały się do domu.

- Justyna - Wiktoria wyjęła z torebki swoją komórkę - na wszelki wypadek daj mi swój numer - powiedziała. - Puszczę ci zaraz sygnał i jakby w nocy z Beatą coś się działo, to natychmiast dzwoń.

- Jasne - Justyna wyciągnęła z kieszeni telefon, żeby wymienić się numerami.

Wiktoria odprowadziła dziewczyny do domu, ale sama nie wchodziła, tylko szybko wróciła do siebie. Drzwi zamknęła na klucz. Miała nadzieję, że tej nocy nie będzie miała kolejnej wizyty Romeczka. Dostał solidną odprawę i powinna mu wystarczyć.

Było duszno, chciało jej się pić. Z lodówki wyciągnęła butelkę mineralnej, bo tamtą

zostawiła przy ławce, a nie miała najmniejszej ochoty po nią wracać. Stwierdziła, że ta jest za zimna, ale upiła kilka łyków. Postawiła butelkę na stoliku. Przebrała się w swoje ulubione bokserki i T-shirt, po czym wzięła do ręki książkę i usiadła w fotelu pod lampą. Jakoś nie czuła się senna.

Czwartek, 17 maja

Minęła północ. Wiktoria odłożyła książkę, przetarła oczy, wstała i przeciągnęła się. Ziewnęła. Najwyższy czas, żeby iść spać. Naraz odezwała się komórka. Dzwoniła Justyna.

- Wiktoria? Szybko! Coś złego dzieje się z Beatą. Trzeba na pogotowie! Szybko!

- Zaraz będę!

Senność momentalnie z niej uleciała. W pośpiechu przebrała się, wzięła torebkę i pobiegła, nie gasząc światła i nie zamykając drzwi na klucz. Justyna z przyjaciółką już znajdowały się na zewnątrz. Beata szła jak zamroczona. Wiktoria uruchomiła porsche, do którego wsiadły i pojechały na drugi kraniec miasta, do szpitala, w którym mieściła się stacja pogotowia ratunkowego.

Na stacji było pusto, żadnego pacjenta. Senna pielęgniarka w okienku przyjęła zgłoszenie i kazała poczekać na lekarza. Usiadły w niewielkim holu. Beata rozglądała się wokoło błędnym wzrokiem, jakby kompletnie nie wiedziała, co się z nią dzieje. Po jakimś czasie drzwi gabinetu otworzyły się i stanął w nich lekarz. Weszły za nim do środka i położyły prawie bezwładną dziewczynę na kozetce. Jan Marciniak, starszy łysiejący mężczyzna, przystąpił do badania. Małą latarką zaświecił jej w oczy i to mu wystarczyło.

- Jest pod wpływem narkotyku - oznajmił zwięźle.

Wiktoria i Justyna spojrzwały na siebie z niedowierzaniem.

- Narkotyku?! - krzyknęła Justyna. - To niemożliwe, panie doktorze! Ona w życiu niczego nie brała. W życiu!

- To narkotyk, nie alkohol. W tej chwili nie potrafię określić, z jakim świństwem mam do czynienia. Zrobimy badania. Na razie zatrzymuję panią na oddziale. Rano będę mógł udzielić więcej informacji o jej stanie. Teraz to wszystko. Dobranoc.

Wyszły zdruzgotane, zwłaszcza Justyna. Wsiadły do porsche, ale Wiktoria jeszcze nie ruszała.

- Justyno, powiedz prawdę...

- Zapewniam cię! Przysięgam na wszelkie świętości! Beata nie brała i nie bierze. Uwierz mi. Znam ją. Dlaczego miałabym kłamać? Co takie kłamstwo miałoby mi dać?

- No tak, to jest argument. Ale lekarz nie mógł się pomylić w diagnozie i na pewno się nie pomylił.

- Mnie też to zastanawia.

- W jakiś sposób narkotyk musiał trafić do jej organizmu - rozważała Wiktoria. - A przecież wcześniej nie zdradzała żadnych objawów... no, że coś jest z nią nie tak... Zachowywała się normalnie, pomijając stan psychiczny...

- To prawda. Dopiero, gdy siedziałyśmy przy wólcie, zaczęło się coś z nią dziać...

- Właśnie. Więc jutro naci z tego Poznania. Justyno, z samego rana pójdziesz do jej mamy i powiesz jej o tym.

- Jasne. Wiem, gdzie pracuje. Zrobię to przed szkołą. Ale...

- Ale?

- Jak mam jej to powiedzieć? Przecież od razu pomyśli, że Beata została nafałszowana tym środkiem u nas...

- Trudno. Na razie nie wiemy, gdzie i w jaki sposób to się stało. I w ogóle co to za świństwo. Ale jej mama nie może o tym nie wiedzieć. Jeśli nie chcesz, to ja ją poinformuję, ale ona mnie nie zna, będzie sobie myślała... nie wiem... pewnie jeszcze gorzej. Beata była twoim gościem, więc ty musisz to zrobić, osobiście, nawet nie przez komórkę. Inaczej byłabyś nie w porządku. Rozumiesz?

- Masz rację. Dobrze, nie ma sprawy, jakoś sobie poradzę - powiedziała na jednym oddechu.

- Pewnie.

Wiktoria włączyła silnik i ruszyła. Po kwadransie były z powrotem w domu. W mieszkaniu panowały egipskie ciemności.

- Rano musisz powiedzieć rodzicom, że Beata znalazła się w szpitalu.

- Wiem, ale... Co mam powiedzieć? Że jakiś narkotyk nie wiadomo skąd...

- Powiedz... Ostrożnie... że zasłała i tyle.

- Jasne.

Życzyły sobie dobrej nocy i się rozeszły. Wiktoria weszła do domku, ciągle rozmyślając, w jaki sposób narkotyk znalazł się w organizmie Beaty. Uwierzyła Justynie, że jej przyjaciółka nie ćpa. Może podczas kolacji ktoś podrzucił jej coś do jedzenia? Jakoś nie mogła w to uwierzyć. W jakim celu? Dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie zgasiła światła i nie zamknęła drzwi na klucz. Uczyniła to po chwili. Przebrała się, umyła, pociągnęła kilka łyków mineralnej i położyła się do łóżka. Zmęczona, szybko zasnęła.

* * *

Tej nocy Marcin nie mógł spać. W ostatnich dniach miał za wiele wrażeń. W końcu, ile normalny człowiek może wytrzymać! Euforia po imprezie szybko minęła, pozostała szara rzeczywistość z jej problemami i jedyną perełką pośród nich - Beatą.

Po konfrontacjach zniknęli wszystkim z oczu. Zaszyli się na działce u jej rodziców, ponieważ Beata była pewna, że starzy się tam nie zjawią. Z pewnością teraz nie mieli głowy do relaksowania się na łonie natury! Więc młodzi kochali się, już na całego. Co im pozostało? Chcieli osłodzić sobie życie. Wzajemnie zapewniali się o dozgonnej miłości. Kiedy uniesienia opadły pojawiła się zaduma nad przyszłością. Kompletnie nie mieli pojęcia, jak się do niej zabrać. Na kogo i na co mogą liczyć? Kto okaże się ich wrogiem? Nie znali odpowiedzi na te pytania.

Beata nie miała ochoty iść do domu. Bała się spotkania z ojcem. On takiego problemu nie miał. Zastanawiali się, czy Beata powinna skontaktować się z bratem, ale na razie to odkładała. Czy Leon w jakiś sposób mógłby pomóc jej przemówić ojcu do rozsądku? Tylko - do jakiego rozsądku? Rozmyślali też o aborcji, bo przecież jeszcze był na nią czas. Oczywiście, po cichu stwierdzili, doktor zawsze się znajdzie. Pieniądze nie stanowiły większego problemu dla jej rodziców. Wczoraj nie podejmowała z mamą tego tematu. Znała jej stosunek do ciąży - była zdeklarowaną przeciwniczką usuwania płodu, podobnie jak ojciec. Nawet jeśli kobieta była ofiarą gwałtu. Rozmyślali też, czy Beata nie pospieszyła się z poinformowaniem mamy o swoim problemie. Dla Beaty aborcja była na razie czymś abstrakcyjnym. Wzruszała tylko ramionami, Marcin także nie miał sprecyzowanego zdania w tej sprawie. Beata trochę żałowała - powinna sama zakręcić się koło własnej sprawy. Brat na pewno pomógłby jej finansowo, gdyby postawiła go przed faktem dokonanym. I z tą myślą, że żałuje pochopnego kroku, rozstała się wieczorem z Marcinem i poszła do Justyny z którą wcześniej się umówiła.

No i chłopak bił się teraz z myślami.

* * *

Miała niespokojny sen, jakieś koszmary które pewnie były efektem przeżyć ostatnich godzin. Niespokojnie przewracała się z boku na bok, kiedy nagle poczuła, że nie jest w łóżku sama. Ktoś delikatnie przyklejał się do jej ciała i całował jej twarz.

- No widzisz, Wiktorio? Mam cię, moje kochanie, a powiedziałaś, że nigdy nie będę cię miał - dotarł do niej szept, jakby zza świątów. - Nigdy nie mów nigdy. Chciałem cię mieć

od razu, jak tylko zobaczyłem cię przy Irlandii. Jesteś przeurocza. I tak pięknie pachniesz. Co za zapach... Teraz już cię mam... Jesteś moja...

Otworzyła oczy. W ułamku sekundy wszystko stało się dla niej jasne. Gwałtownie zerwała się i usiadła, ku kompletnemu osłupieniu Romana.

- Spadaj, gnoju! - wrzasnęła, a korzystając z jego zaskoczenia, wysunęła się spod kołdry dopadła kontaktu i zapaliła światło. - Ty sukinsynu!... Wiesz, co ja teraz z tobą zrobię?!

Leżący w samych spodenkach Roman nie dowierzał własnym oczom. Z rozdziawioną gębą wpatrywał się we wściekłą Wiktorię. Był zbyt oszołomiony tym, co się stało, żeby w jakimkolwiek stopniu zareagować. No, po prostu nie wierzył w to, co widział i słyszał.

Wiktoria sięgnęła po torebkę, by wyciągnąć chusteczki higieniczne. Była tak zdenerwowana, że szperanie zajęło jej trochę czasu.

- Posłuchaj, świrze! - zaczęła ostro, wycierając nos. - Z kolacji wyszedłeś wcześniej i przylazłeś tu, żeby wrzucić pigułkę gwałtu do butelki wody mineralnej. W waszym domu na pewno są duplikaty kluczy do domków, więc nie było problemu, żeby się do mnie dostać. Doskonale wiesz, co to za piguła i jak działa. Tylko, wyobraź sobie, sukinsynu, że to nie jest ta butelka. - Popatrzyła na niego z nienawiścią. - Tak się złożyło, że z tamtej napiła się Beata. A ja jej nie tknęłam. I teraz ona leży w szpitalu. Słyszałeś, jak ją zawoziłam z Justyną. Pilnowałeś mnie, wiedziałeś, że czytam książkę i że jeszcze nie łyknęłam tego twojego specjału - zaśmiała się ironicznie. - Cierpliwości ci nie brakowało, co? Czekaleś na upojną noc z bezwładną lalunią, która nie wie o bożym świecie! Ale to jest inna butelka - chwyciła ją i energicznie potrząsnęła - nie tamta! Czekaleś cierpliwie, jak samiec, który chce zdobyć łup. Tylko nie wiedziałeś, dlaczego zawozimy Beatę do szpitala. Na pewno nie kojarzyłeś tego z twoim narkotykiem. Pewnie z jakimś zasłabnięciem, no bo przecież to się mogło zdarzyć podczas ciąży, normalna rzecz.

Chyba dopiero teraz do Romana dotarło to, co się działo na jego oczach. Jakiś bezradny zalękniony, usiadł na krawędzi łóżka i tępo wpatrzył się w podłogę. Nic nie mówił.

- Dużo dziewczyn w ten sposób poderwałeś, dupku? Sprawiało ci to satysfakcję?

- Jeszcze raz powiesz do mnie „dupku”, ty zdziro, to cię tak zamaluję, że rodzona matka cię nie pozna! - syknął i wstał.

- Tu masz rację, na pewno mnie nie pozna - Wiktoria nie dawała się zbić z tropu. Sama nie wiedziała, skąd nagle wezbrała w niej taka niesamowita energia. - Jeśli tylko mnie dotkniesz, żaloszny wypierdku, to załatwię cię na kilka latek. Inaczej będziesz musiał mnie zabić, wtedy nic ci nie zrobię. Znam życie lepiej od ciebie, popaprańcu! Nie przeszedłeś tego,

co ja przesłałam. A teraz spadaj! Nie chcę cię tu więcej widzieć! Ale już! - ryknęła, ile miała sił w płucach.

Roman zaczął się trząść, bał się, że jej krzyk mogli usłyszeć w domu. Wściekły szybko wciągnął spodnie, rzucając w kierunku Wiktorii:

- To ja cię załatwię! Jak niby udowodnisz, że to właśnie ja wsypałem prochy do butelki? - dorzucił z jakimś złowieszczym triumfem i wyszedł.

- Teraz możesz się brandzlować u siebie! - wrzasnęła za nim przez okno i opadła bez sił na fotel. Ciężko oddychała. Długo nie mogła się uspokoić.

* * *

Mimo tych dramatycznych chwil i środka nocy postanowiła zrobić jedną rzecz. Chrzanić sen. I tak noc jest zmarnowana. Ubrała się, poszła do ławki przy wolierze, gdzie wcześniej siedziała z dziewczynami, wzięła butelkę wody która tam stała, i pojechała z nią prosto na pogotowie. Pielęgniarka chyba nie była zbyt zadowolona, że przeszkadza się jej w drzemce. Poprosiła lekarza. Jan Marciniak też nie okazał radości.

- Panie doktorze, w butelce znajduje się ten narkotyk - powiedziała bez ogródek.

- Słucham?!... Proszę do gabinetu - kiedy usiedli, lekarz baczniej się jej przyjrzał i zapytał: - Kim pani właściwie jest, bo na pewno nie pochodzi pani z tej miejscowości. Znałbym panią...

Kiedy wszystko mu wyjaśniła, pokiwał głową.

- Zatem twierdzi pani, że w tej wodzie jest narkotyk?

- I nawet wiem jaki. Zostawię to panu doktorowi dla porównania wyników.

- Więc co to jest?

- Tak zwana tabletką gwałtu.

Marciniak uniósł brwi.

- Po prostu... ktoś chciał mnie w ten sposób upolować, bo normalnie mu się nie udało. To było przeznaczone dla mnie, ale przez przypadek dałam wodę dziewczynie, gdy w butelce był już narkotyk. Chciało się jej pić, zwyczajnie. Ja potem z tej butelki nie piłam.

- Rozumiem.

- Ta dziewczyna nie jest narkomanką, panie doktorze - dodała i wyjaśniła okoliczności sprawy. Nie wymieniła tylko nazwiska Romana i nie opowiedziała o jego roli w tej całej aferze.

- No to sprawa wydaje się jasna... Ale wyniki porównamy, oczywiście. Bardzo

dziękuję, że pofatygowała się pani do nas w środku nocy.

- Jak ona się czuje?

- Śpi spokojnie. Rano będzie miała kompletną amnezję.

- Wiem. Dziura w życiu. Tak niektórzy faceci wykorzystują bezbronne dziewczyny.

Broń Boże niech pan nie bierze tego do siebie, panie doktorze - dokończyła, a on się roześmiał. - Dobranoc.

- Dobrej nocy i jeszcze raz dziękuję za pomoc. Aha, może zostawiłaby mi pani swoje namiary? Osobiście poinformowałbym panią o wynikach badań.

- Naturalnie.

Z ulgą wróciła do domku i ponownie położyła się spać. Nastawiła budzik w komórce i położyła telefon na stoliku. Wiedziała, że bez głośnego dzwonka nie da rady rano wstać. Za wiele się działo, a czekało ją mnóstwo pracy.

* * *

Justyna obudziła się z lekkim bólem głowy. Ale to pewnie dlatego, że miała iść do mamy Beaty którą zresztą bardzo lubiła. Naprawdę bała się czekającej ją rozmowy chociaż w ogóle nie zanosilo się na rozmowę - po prostu powie jej, co i jak, i do widzenia. Tak to widziała. Gdy zeszła do obszernej kuchni, jej mama już się krzątała przy śniadaniu, a ojciec wymieniał uszczelkę w baterii zlewozmywaka. Roman jadł owsiankę, ale był jakiś osowiały.

- Mamusiu, Beata jest w szpitalu, zasłabła.

- Co takiego?

Rodzice zastygli z niemym pytaniem w oczach. Roman nawet na nich nie zerknął, jedynie wbił oczy w talerz z zupą.

- Wiktoria zawiozła ją tam w nocy, ja też pojechałam. Zadzwońłam do niej, kiedy zobaczyłam, że z Beatą coś się dzieje - dodała i wyjaśniła, jak do tego doszło. Nie powiedziała tylko, że lekarz stwierdził w jej organizmie narkotyk.

- No to... trzeba będzie powiadomić jej rodziców - zdenerwowała się pani Stankiewicz.

- Przed szkołą pójdę do jej mamy do pracy.

- Koniecznie, Justynko, koniecznie. Albo nie, ja zadzwonię, natychmiast. To zbyt poważna sprawa, żeby odwlekać. Przecież to się stało pod naszym dachem - dodała, ciągle podenerwowana, po czym spojrzała na ścienny zegar. Było kilka minut po siódmej. - Telefon, jaki jest do niej telefon? Ona już chyba przyszła do pracy, do spółdzielni mieszkaniowej.

- Masz rację, Iwonko, dzwoń - poparł ją mąż i wyszedł do przedpokoju po książkę telefoniczną. Podał żonie numer, a ona zaczęła go wybierać.

Justyna przysiadła na krześle i zwiesiła głowę.

- Mamusiu, nie powiedziałam wszystkiego... ale to się i tak wyda... więc...

- Boże, czego jeszcze nie powiedziałaś? Mów natychmiast - wpadła w panikę matka i odłożyła słuchawkę.

- Lekarz stwierdził, że Beata została nafaszerowana jakimś narkotykiem. Zbadają, co to było.

Roman nawet nie zerknął w ich stronę, ale w tym momencie łyżka wysunęła mu się z dłoni i upadła z brzękiem na podłogę. Matka i ojciec musieli usiąść. Zapadło dłuższe milczenie.

- Narkotyk? I to niby u nas miałyby się stać? - wyszeptała pani Stankiewicz i mimo woli zerknęła na Romana, który patrzył w talerz. - Marianku, powiedz coś...

- Iwonko, ja też jestem w szoku... Różne są narkotyki, o różnym działaniu... I takie z opóźnionym zapłonem i... Mogła tu przyjść już pod wpływem tego świństwa.

- Tatusiu, Beata nigdy nie ćpała, nawet trawki nie paliła. Znam ją, uwierz mi - szepnęła Justyna. - Owszem, papierosy, piwo, ale nic więcej, nic.

Ojciec wpatrzył się w syna.

- Romek, czemu ty się nie odzywasz? - zapytał dość oschle.

- A co mam się odzywać? Nie wiem, o co właściwie chodzi.

- Jak to nie wiesz? - ofuknął go ojciec. - Głuchy chyba nie jesteś! Słyszysz, o czym rozmawiamy! O czymś przykrym, co się u nas zdarzyło.

- Ale co mam powiedzieć, tatusiu? No, ja nic o tym nie wiem. Spałem.

Stankiewicz machnął ręką.

- Dzwoń, Iwonko.

- Boże, jak ja mam jej to powiedzieć? - westchnęła matka i sięgnęła po słuchawkę.

Roman właśnie skończył śniadanie i wyszedł, odprowadzany czujnym wzrokiem Justyny. Ponieważ znała go dobrze, może nawet lepiej niż rodzice, nie uszło jej uwagi dziwne zachowanie braciszka.

* * *

Rodzice Beaty opuścili szpital. Ona sama jeszcze się nie obudziła, więc udało się im tylko zerknąć na śpiącą córkę. Lekarz zapewnił ich, że wszystko będzie w porządku i że

wskutek znalezienia się w jej organizmie tabletki gwałtu będzie miała lukę w pamięci - od momentu zażycia narkotyku, aż do odzyskania świadomości. Dowiedzieli się też o okolicznościach, w jakich trafiła na pogotowie.

Kiedy wsiedli do samochodu, nie od razu ruszyli. Długo milczeli, patrząc przed siebie.

- Leon urodził się, kiedy miałam siedemnaście lat - zaczęła spokojnie i cicho Renata Danielska. - Ty byłeś zaledwie o rok mądrzejszy. A i tak uważałeś - cholera jasna! - że wpadliśmy. Pamiętasz reakcję naszych rodziców? Pewnie, że pamiętasz. Nie odtrącili mnie, nie wyzwali od dziwek.

- Ale ja miałem porządných rodziców, a nie takich, jak ten... I to byłem ja, znałaś mnie - rzekł równie cicho, ale bez przekonania Danielski.

- Tak, znałam cię, ale teraz chyba cię nie znam.

- Renato, a myślałaś o tym, żeby Beata zrobiła... no wiesz...

- Aborcję? Owszem, rozważałam to.

- I?

- I... mój drogi, wracając do naszej młodości... Było nam ciężko, prawda? Niekiedy bardzo ciężko. Dziecko, nauka, brak mieszkania, krucho z pieniędzmi. Czy nasi rodzice nie pomagali nam, ile tylko mogli? I wyrosliśmy na porządných ludzi! A teraz chcę ci coś oświadczyć, Zygmsiu. Jeśli odtrącisz Beatę, jeśli będziesz dla niej przykry, mówiąc delikatnie, to odejdziemy od ciebie. Tak postanowiłam i zdania nie zmienię - dodała i spojrzała na męża, który też na nią popatrzył.

Zapadło długie milczenie.

- A ten Marcin wydaje się bardzo inteligentny - podjęła spokojnie. - Słyszałeś, jak znakomicie mówił tak długi monolog. Nie jest żadnym głupkiem. Ma talent aktorski. A że miał przekłete dzieciństwo dzięki swoim rodzicom, to ma być jego winą? Inaczej nie trafiłby do takiej placówki. A one nie muszą być wylęgarnią zła. Te dzieciaki potrzebują miłości.

- Fakt, głupi nie jest - odparł po dłuższej chwili.

- A teraz zawieź mnie do domu. Wzięłam wolne w pracy, bo nie jestem w stanie na niczym się skupić.

Danielski jeszcze przez kilka chwil mocował się sam ze sobą, aż wreszcie pocałował żonę w policzek, włączył silnik i ruszył.

* * *

Prawie trzy godziny zajęło Wiktorii zbieranie ankiet po szkołach i w domu dziecka.

Miała wielką ochotę spotkać Romeczka w liceum i spojrzeć mu w oczy, bo kiedy zjawiła się na śniadaniu, już go nie zastała. Ale nie zobaczyła go w szkole. Podczas śniadania rozmawiała z podenerwowanymi gospodarzami i Justyną. Ponieważ знаła relację Justyny z wcześniejszej rozmowy z rodzicami - ta uprzedziła ją telefonicznie - mogła tylko potwierdzić jej słowa. Nie powiedziała im jednak, że była drugi raz na pogotowiu, z butelką mineralnej do analizy porównawczej. No i nie wspomniała o podstępny wyczynie Romana. Na razie nie wiedziała, co ma zrobić z tą sprawą. Czekają ją dziś wiele pracy i to było ważniejsze.

Wspaniała pogoda zachęcała do przebywania na powietrzu. Wiktoria wystawiła na werandę stół i krzesło. Zaczęła mozolną analizę grubego pliku ankiet. Na czwartą musiała być gotowa. Zastanawiała się, ile osób zjawi się na spotkaniu w domu kultury.

W południe otrzymała wiadomość od lekarza, że analiza porównawcza wykazała, iż chodzi o ten sam narkotyk - w organizmie dziewczyny i w butelce - ową sławetną tabletkę gwałtu. Dodał, że pacjentka obudziła się około jedenastej, oczywiście niczego nie pamięta, ale będzie z nią dobrze. Na koniec dorzucił, że obowiązek nakazuje mu zgłaszać podobne przypadki na policję, co już uczynił, więc powinna się spodziewać wizyty policjanta bądź wezwania na komisariat. To już mniej się jej podobało, ale trudno.

W pewnej chwili spostrzegła, że idzie ku niej jakaś kobieta. Poznała ją po paru sekundach.

- Dzień dobry nazywam się Renata Danielska, jestem mamą Beaty - przedstawiła się.

Wiktoria wstała i też się przedstawiła.

- Przyniosę krzesło - zaproponowała; po chwili siedziały naprzeciwko siebie.

- Rano byłam z mężem u córki... Będzie dobrze. Od lekarza dowiedzieliśmy się czegoś na temat okoliczności, w jakich...

- Tak, to ja podałam jej ten narkotyk. Chyba był przeznaczony dla mnie...

- Dla pani?

- Ktoś chciał mnie zgwałcić. Przypadek, że nie tknęłam wody - dodała i wyjaśniła, co się wydarzyło.

- Rozumiem. Wie pani, kto to był?

- Cóż... Mogę się jedynie domyślać...

Danielska zapatrzyła się na dom Stankiewiczów.

- Tylko się domyślać?

Wiktoria uśmiechnęła się smutno i powiedziała:

- Nie mam dowodów.

- Czy myślimy o tym samym chłopaku?

- Być może - dziewczyna westchnęła i zwiesiła głowę.
- Cóż... Wcale bym się nie zdziwiła. Ale Justyna jest porządną dziewczyną. Nie mam do pani najmniejszych pretensji, żeby to było jasne. Chciałam tylko porozmawiać...
- Rozumiem.
- Aha, mąż właśnie odbiera Beatę ze szpitala.
- Świetnie.
- Córka ma przerwę w życiorysie.
- Wiem, właśnie tak działa ten narkotyk.
- Właściwie to chciałam podziękować, że tak szybko pani zareagowała i zawiozła ją do szpitala.
- Drobiazg, w pierwszej chwili sądziłam, że jej zasłabnięcie ma związek z jej... osobistym problemem, bo nie była w najlepszej formie psychicznej.
- Rozumiem. - Danielska na chwilę zamilkła. - Wie pani... Czasem to jest szczęście w nieszczęściu...
- To znaczy?
- Tak sobie myślę, że fakt, iż Beata znalazła się w szpitalu, w jakiś pozytywny sposób wpłynął na mojego męża. On coś zrozumiał, coś bardzo, bardzo ważnego... - wstała. - Miło mi było panią poznać.
- Mnie również.

Podaly sobie ręce i uśmiechnęły się ciepło. Wiktoria usiadła z powrotem na krześle i popadła w zadumę. Zrobiło jej się lekko na duszy po tej rozmowie. Właściwie się jej nie spodziewała. Sięgnęła po komórkę i zadzwoniła do Justyny. Zanim wybrała numer, zastanawiała się, czy powiedzieć jej o Romanie. Ale na razie nie zdecydowała się na to. Zresztą, niebawem sprawa sama wypłynie, gdy rozniesie się po mieście, czym została nafaszerowana jej przyjaciółka. Być może Beata też zadba o rozgłoszenie tej historii. A wtedy okaże się, że sprawcą może być tylko jedna osoba. Łatwo będzie można to udowodnić.

* * *

Po telefonie od Justyny która parę minut wcześniej do niego zadzwoniła, Marcin wręcz nie posiadał się z radości. Pierwszą informację - o pobycie Beaty w szpitalu w narkotycznym transie - przyjął z kompletnym niedowierzaniem i wielkim niepokojem. Ale ta druga okazała się wprost miodem na ranę w jego sercu - ojcu Beaty coś się odmieniło. Dziewczyna znajdowała się już w domu. I tak po ciężkiej, prawie bezsennej nocy humor mu

się poprawił, a życie nie wydawało się tak do końca pochrzanione. Stwierdził z zadumą, że czasem los lubi się do niego uśmiechnąć.

Mimo to intrygowała go sprawa narkotyku, bo Justyna nie potrafiła powiedzieć mu nic bliższego - jakie to prochy i w jaki sposób trafiły do organizmu jego ukochanej - a doskonale wiedział, że Beata nie brała żadnych narkotyków.

Siedzieli z Jackiem w parku za budynkiem domu dziecka i rozważali wszelkie możliwości. Marcinowi wyglądało to na celowe nafaszerowanie Beaty jakimś świństwem. Tylko gdzie miałyby się to stać? I kto miałby to zrobić? W trakcie kolacji u Justyny? Bez sensu. Ale stało się oczywiście, że musiało do tego dojść podczas jej bytności u przyjaciółki. Przecież na krótko przedtem przebywali na działce jej rodziców. Beata była krystalicznie czysta. Bo jedno piwo to zwykły przyszcz. Od tego nie jest się nawet pijanym.

- Coś mi tu nie gra - powiedział Marcin. - Po prostu nic nie trzyma się kupy. Ale z powietrza prochów nie złapała, to nie wirus. Zadzwoń do Beaty - wystukał jej numer na klawiaturze komórki, ale ona nie odbierała.

- Może śpi, jeszcze niezbyt dobrze się czuje.

- Pewnie tak.

- U psycholki już byłeś?

- Zachorowała.

- Nie wiedziałem.

- Wiesz co, Jacek? W tej sytuacji rozmowa z psycholką nie jest mi potrzebna.

- Jesteś pewien?

- Jasne.

- Jak uważasz. To jest tylko twoja sprawa.

Odezwała się komórka Marcina. Dostał SMS od Beaty: *Jeszcze źle się czuję, nie pamiętam, co się ze mną działo. Dziura w głowie.* Odpisał jej, że bardzo ją kocha i żeby się nie martwiła.

- Jacek - zawołał podekscytowany Marcin - to już nam coś mówi!

- Amnezja?...

- Wiesz, co to były za prochy?

- Ba! Gwałcicielskie!

Spojrzelili na siebie z zastanowieniem.

- Słuchaj, Jacek. To ważny element w tej łamigłówce. Myślmy logicznie: Justyna z pewnością tego nie zrobiła...

- Wiktoria też nie.

- Pewnie! Kto nam zostaje?

Zasepili się, zacisnęli usta.

- Mimo tego coś mi tu nie gra - odezwał się Marcin. - Dlaczego Roman miałby faszerować Beatę tą pigułą, skoro ona spała u Justyny w pokoju, hę? Wywaliłby siostrę z pokoju i zabrał się za Beatę?

- Bzdura!

- Kompletna. Poza tym zdaje się, że ona nie jest w jego guście.

- A on w ogóle ma jakiś gust?

Roześmiali się.

- Ma. Anna.

- No tak, racja - przyznał Jacek. - Nie dla psa kielbasa. Może się oblizywać.

- Więc, co tam się zdarzyło?

- Marcin... Cholera, słuchaj... Wiktoria! Mieszka samiutka, kawałek od domu...

- To znaczy?... Kurczę, to ma sens! Polował na nią. Tylko jakimś cudem doszło do zamiany... nie wiem czego, jakiegoś napoju... że Beata go łyknęła.

- Tak musiało być!

Podali sobie ręce jak zwycięzcy.

- Na spotkaniu w domu kultury pogadamy z Wiktoria i Justyną.

- Może z Justyną w tej sytuacji lepiej nie, co?

- Delikatnie podpytamy je, żeby opisały jak wyglądał ten wieczór. Nic więcej. A tyle się dowiemy. Chyba że Wiktoria powie nam wszystko.

- Dobra.

- No, Romanku, nie ujdzie ci to płazem! Ty jeszcze nas, biduli, tak naprawdę nie znasz - szepnął z gniewnym zacięciem Marcin, patrząc w dal. - Wiesz, na co wpadłem?

- No?

Kiedy mu opowiedział o swoim pomysle, Jacka najpierw zamurowało, a potem zaczął się śmiać na cały regulator.

- Zrobimy to!

- Jasne, mistrzu monologu!

- Tylko nie nazywaj mnie prawdziwym mężczyzną.

* * *

Roman od rana siedział w domu Żmii, który wyrabiał w warsztacie nadgodziny. Nie

powiedział mu o swoim nocnym wyczynie - bo i czym się tu chwalić - mimo że ten ciągnął go za język, pytając, dlaczego jest taki osowiały. Żmija już zdążył wypić kilka piw, Roman w ogóle nie pił, jakoś nie miał ochoty. Ta przekłeta noc odebrała mu apetyt. Gadali o wszystkim i o niczym, ale myśli chłopaka ciągle krążyły wokół nieszczęsnej wpadki. A wszystko miało być tak wspaniale! Wcześniej trochę się naczytał w gazetach, że zgwałcone w ten sposób dziewczyny, jakkolwiek mają świadomość, że coś musiało się z nimi dziać, ze wstydu bardzo rzadko zgłaszają takie przypadki na policję. Gwałciciel pozostaje bezkarny. Zakładał, że tak byłoby z Wiktoria. A jakby sobie użył!

A tu?... Był kompletnie zaskoczony, gdy Wiktoria gwałtownie zerwała się ze snu. Jakby dostał obuchem w głowę. W jednej sekundzie jego świat runął. No i bezprzykładna kompromitacja, wstyd. Poza tym bał się następstw. Rozumował logicznie. W szpitalu na pewno wykryją, co to za narkotyk, a potem po nitce do kłębka i... Wyjdzie jeszcze większy wstyd, na całe miasteczko. Beata pewnie nie będzie siedzieć cicho. Gdy tylko odzyska pełną świadomość, wszyscy pomogą jej dojść do równowagi psychicznej, a wtedy rzecz się rozniesie. A Wiktoria? Groził jej, wyzywał. Czy będzie siedziała cicho? Wprawdzie też mu groziła, ale czasem są to tylko puste słowa. Co powiedzą rodzice? Justyna? Głowa puchła mu od natłoku czarnych myśli.

Tej nocy wcale nie spał. Relacja jego siostry przy śniadaniu pogrzyżała go całkowicie, bo oznaczała, że Wiktoria nie kłamała. Zresztą wczoraj i tak jej uwierzył. Ale Justyna jakby go jeszcze dobiła. Bał się wracać do domu, żeby nie spotkać się z Wiktoria. Nie umiałby jej spojrzeć w twarz. Hańba, no po prostu hańba! Kłął w duchu na samego siebie, zastanawiając się, gdzie podział głowę; wyrzucał sobie poniewczasie.

Tak naprawdę, to te tabletki szycował na Annę, ale Wiktoria nie dawała mu spokoju. Odkąd ją zobaczył, coraz częściej o niej myślał, właściwie to prawie bez przerwy. A kiedy okazało się, że zamieszkała u jego rodziców, niemal oszalał na jej punkcie. Gubił się w domysłach. Wielokrotnie wracał do nierozważnie wypowiedzianej w nocy groźby zemsty. Tak, to była kretyńska pochopność. Po prostu chlapnął coś w nagłym skoku adrenaliny - zresztą, który chłopak wytrzymałby taką tyradę zniewag od dziewczyny! - Wtedy pomysłu na zemstę nie miał żadnego.

Teraz jednak plan zaczął mu się rysować coraz wyraźniej, a widział w nim jednocześnie obronę swojego tyłka i ostateczne wyjście z twarzą. Nawet kosztem ośmieszenia się wśród rówieśników. To było nieistotne. Miał ich wszystkich gdzieś. Wiedział jedno - za wszelką cenę musi się obronić, bo inaczej będzie z nim koniec, prawo dobierze mu się do skóry. Lepiej trochę się ośmieszyć, niż iść do pierdła.

Postanowił zacząć działać. Wiedział, że o czwartej Wiktoria będzie w domu kultury na spotkaniu z młodzieżą.

* * *

Otworzyła oczy. Znajdowała się w domu, w swoim pokoju. Panowały cisza i spokój. Pamięć już jej funkcjonowała, tyle tylko że miała lukę od wczorajszego wieczoru. Kiedy obudziła się w szpitalu, zdziwiła się, co w nim robi. A potem przyjechał po nią tata. Był zatroskany, czuły i opiekuńczy. Uściskał ją szczerze i serdecznie, nawet trochę się popłakał, co było u niego wielką rzadkością.

Spojrzała na zegarek. Wskazywał kilka minut po trzeciej. Po południu. Przypomniała sobie, że zanim zasnęła, zadzwonił do niej Marcin, ona posłała mu SMS, a on na niego odpowiedział. Też go kochała. I zasnęła.

Otworzyły się drzwi, do pokoju weszła mama.

- Jak się czujesz, kochanie? - zapytała cicho i usiadła na brzegu tapczanu.

- Chyba lepiej.

- Będzie dobrze, zobaczysz. Możesz myśleć, rozmawiać?

- Tak.

- Powiedz mi o tym, co pamiętasz z wczorajszego wieczoru. Kiedy urwał ci się film?

- Po kolacji poszliśmy z Justyną na ławkę przy wolierze, a potem nadeszła Wiktoria. Rozmawialiśmy. Zachciało mi się pić. Wtedy Wiktoria przyniosła mi z domku wodę mineralną, no i napiłam się. Potem zadzwonił Leon. Rozmawialiśmy chyba z piętnaście minut. Wiktoria powiedziała, że zna Leona.

- Słucham, Beatko? - zdziwiła się.

- Zna Leona bardzo dobrze, tak zaznaczyła. I Irenę także.

- A niby skąd?

- Na pewno Wiktoria nie miała z nim żadnego romansiku, zapewniła mnie - uśmiechnęła się blado Beata. - Coś związanego z zawodem. I jeszcze powiedziała, że niedawno z nim rozmawiała. I wtedy zaczęło mi się robić trochę niedobrze. Poszliśmy do pokoju Justyny, Wiktoria zawróciła przed domem. A potem usnęłam i już nic nie pamiętam, aż do chwili, kiedy przebudziłam się w szpitalu.

Danielska pocałowała córkę w policzek.

- Odpoczywaj, wszystko będzie dobrze.

- A tata?

- Będzie dobrze, Beatko, nie martw się. Tata bardzo cię kocha.

- Może za bardzo.

- W sam raz, zapewniam cię.

- Mamo, co to był za narkotyk?

- Słyszałaś o pigułkach gwałtu?

- Pewnie, w klubie zawsze uważamy, żeby jakiś chłopak czegoś nam nie wsypał... no wiesz...

- Więc to było właśnie to.

Beata spochmurniała.

- Ale przecież Wiktoria nie mogła tego zrobić. Na pewno nie ona. Nie wierzę!

- A czy ja powiedziałam, że to jej sprawka? Odpoczywaj i nie myśl o przykrościach - matka uśmiechnęła się i wyszła.

Beata zamknęła oczy. Po chwili usłyszała, jak mama dzwoni do kogoś - do Leona. Słyszała, jak rozmawiają, ale nie rozróżniała szczegółów. Potem do mieszkania wszedł tata. Jego chód rozpoznawała, gdy jeszcze był na klatce schodowej. Kilka minut później przyszedł do niej. Otworzyła oczy. Uśmiechał się i przysiadł na brzegu łóżka, podobnie jak mama. Ucałował ją.

- Jak się czujesz, córeczko?

- Lepiej.

- Chcę ci coś powiedzieć, Beatko. Zapomniał wół, jak cielęciami byli. Będziemy ci pomagać. Chcemy z mamą mieć wnuczka albo wnuczkę.

- A... Marcin?

- Dziecko musi mieć ojca...

Beata rozplakała się, uniosła z trudem i przytuliła się do niego. Weszła pani Danielska.

- Rozmawiałam z Leonem. Dobrze zna Wiktorię, nazywa się Malińska. Ona kończy studia socjologiczne, tu w szkołach robi jakieś badania do swojej pracy, a jest... z domu dziecka, ale nie stąd. Miała okropne, wręcz tragiczne dzieciństwo - dodała i rzuciła kilka szczegółów, o których dowiedziała się od syna.

Danielski wpatrywał się w żonę z niedowierzaniem.

- Ta studentka... która jeździ tym czerwonym porsche? Widziałem ją w handlowce, gdy załatwiałem coś z dyrektorem.

- Właśnie tak, Zygmusiu.

Danielski uśmiechnął się pod nosem i zamyślił. Znienacka rozległ się dzwonek. Gospodyni wyszła na korytarz, żeby wpuścić gościa, którym okazała się Justyna.

- Dzień dobry. Jak się czuje Beata?

- Wejdz, już jest lepiej.

Justyna weszła do pokoju.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - uśmiechnął się Danielski. - Już jest lepiej, będzie dobrze.

- Ja chciałam powiedzieć - zwróciła się z zakłopotaniem do rodziców Beaty - że jest mi bardzo przykro, iż coś takiego stało się u nas. Nie mam pojęcia, jak do tego doszło, naprawdę.

- To nie twoja wina, Justyno, ani twoich rodziców - powiedziała ciepło Danielska i skinęła ręką na męża. - Zostawmy dziewczyny, chcą sobie spokojnie porozmawiać.

- Zaraz idę na spotkanie z Wiktoria do domu kultury - zaczęła Justyna, gdy drzwi za nimi się zamknęły.

- À propos Wiktorii... Nie uwierzysz...

* * *

Ponad czterdzieści osób z różnych szkół i z domu dziecka zjawilo się w dużej sali domu kultury, co Wiktoria uznała za wspaniały wynik. Prawdę powiedziawszy, nie liczyła na taką frekwencję. Zdecydowanie przeważały dziewczyny, czego się spodziewała. Oczywiście, Romana nie było. Do czwartej pozostało jeszcze kilka minut, więc postanowiła poczekać; przy stoliku przeglądała swoje notatki; obok leżał dyktafon.

Mimo woli zwróciła uwagę na to, że siedzącej przy końcu sali Justynie buzia się nie zamyka - gadała jak najęta do Jacka, Marcina, Pauli, Anny i Marka, a ci co chwilę z jakimś niedowierzaniem zerkali na Wiktoria. Obserwowała ich, aż w pewnym momencie zaczęło się jej robić głupio. *Naga nie jestem, więc nie muszą mnie obgadywać* - pomyślała z niesmakiem. Wreszcie wstała. W dzinsach i wypuszczonej na spodnie luźnej turkusowej bluzce wyglądała uroczo. Przyciągała oczy chłopaków, których większość i tak już o niej fantazjowała.

- Miło mi, że aż tyle was przyszło, nie spodziewałam się... - posłała im fantastyczny uśmiech. - Cieszę się również, że właściwie wszyscy podeszli poważnie do moich ankiet, co oznacza, że wasze problemy są prawdziwymi kłopotami, a nie iluzorycznymi. One naprawdę was obchodzą, i to bardzo. Przeanalizowałam ankietę, niektóre wypowiedzi dają wiele do myślenia. I chciałabym je z wami omówić. Nie będzie to dla was nudne?

- Ależ, Wiktorio, będzie super! - rozległy się entuzjastyczne głosy.

- Świetnie!

- Z tobą można iść na koniec świata! - dorzucił Marek, przyjaciel Jacka.
- A gdzie on jest? - roześmiała się. - W którym kierunku należy pójść?
- No właśnie nie wiadomo i dlatego na koniec świata idzie się przez całe życie.
- Fiuuuuu! - gwizdnęła. - Brawo, pięknie to ująłeś, zapamiętam. Jak ci na imię?
- Marek, z ogólniaka.
- Zaraz zapiszę sobie twoje urocze zdanko i powieszę je w domu nad łóżkiem.
- Najchętniej bym ci pomógł! Jeszcze stuknęłabyś się młotkiem w palec i siarczyście zakłęła.

- Tak, to całkiem możliwe.
- A co to by było za przekleństwo?
- A co chciałbyś usłyszeć?
- Nooo...
- Uważaj, żebyś nie spadł z dywanu!

Sala ryknęła śmiechem.

- W porządku, kochani, a teraz do pracy - wzięła do ręki notatki i włączyła czuły dyktafon. Mimo woli zwróciła uwagę na siedzącego w głębi dziennikarza, który najwyraźniej musiał odrobić zadanie domowe. Siedział z dość ponurą miną, rozglądając się na boki. Najwięcej czasu poświęcał Wiktorii.

* * *

Podczas gdy ona prowadziła ożywione spotkanie w domu kultury, aspirant sztabowy Jerzy Krasicki z miejscowego komisariatu zajmował się zgłoszeniem Jana Marciniaka, lekarza, który przyjmował Beatę. Z jego relacji wynikało, że narkotyk został podany dziewczynie w wodzie mineralnej przez niejaką Wiktorię Malińską, która czasowo zamieszkuje w miejscowym gospodarstwie agroturystycznym u państwa Stankiewiczów.

Aspirant - pulchny, niewysoki czterdziestolatek o przerzedzonych ciemnych włosach - przetarł chusteczką spocone czoło, bo w komisariacie było duszno, i postanowił pojechać do gospodarstwa, aby przesłuchać Wiktorię Malińską w sprawie wspomnianego zdarzenia.

Ale nie dane mu było jechać, gdyż zjawił się nieoczekiwany petent, na którego widok mocno się zdziwił.

* * *

Iwona Stankiewicz wysiadła z zielonego audi przed jednym z trzech marketów w

mieście, wzięła wózek i wjechała do środka. Cukru, mąki i tym podobnych produktów w swoim gospodarstwie nie wytwarzali. W sali sprzedaży jak zwykle znajdowało się sporo ludzi. Dobre pół godziny zajęło jej zapelnienie koszyka, z którym podjechała do długiej kolejki przy kasie. Kiedy dotarła z zakupami do swego wozu, spostrzegła idącą do marketu Renatę Danielską, mamę Beaty, z którą doskonale się znały choć o jakiejś głębszej przyjaźni nie było mowy.

Zatrzymała się, Danielska podeszła do niej. Obie kobiety przywitały się.

- Co z Beatą? - z troską w głosie zapytała mama Justyny.

- Dzięki Bogu, już jest dobrze. Ale ma lukę w pamięci.

- Przykro mi...

- To nie państwa wina, pani Iwono, nie mam żadnych pretensji. W każdym razie gdyby nie ta studentka, która u państwa zamieszkała, to kto wie, co mogłoby się stać z Beatą.

- Tak, tak, wiem...

- A czy wie pani, że ona jest wychowanką domu dziecka?

- Co takiego? - Iwona Stankiewicz aż zastygła z wrażenia.

- Mój syn dobrze ją zna i dziś opowiedział mi o niej trochę przez telefon.

- A co takiego?

- No więc...

* * *

Spotkanie w domu kultury dobiegło końca. Wiktoria była z niego bardzo zadowolona, a niewiele młodszy od niej rozmówcy również, tak przynajmniej mówili. Zebrała sporo dodatkowego materiału do swojej pracy. Tak jak oczekiwała, podszedł do niej Raczkiewicz.

- To co, pani Wiktorio? Teraz porozmawiamy?

- Teraz tak. Co chce pan wiedzieć?

Usiedli. Rozmawiali dobry kwadrans.

- Życzy sobie pani autoryzację?

Jeszcze czego! - pomyślała z przekąsem i zdecydowanie powiedziała:

- Polegam na pańskim profesjonalizmie.

- Tak, tak, ale czasem nie zaszkodzi sprawdzić, żeby...

- Jest pan profesjonalistą w branży dziennikarskiej czy nowicjuszem? - przerwała mu.

- Tym pierwszym oczywiście, ale...

- Wobec tego miło mi było porozmawiać. Do zobaczenia - uśmiechnęła się szeroko.

Zawiedziony dziennikarz pozbiierał swoje manatki do torby i ruszył do wyjścia. W biurze placówki Wiktoria podziękowała pracownikowi za udostępnienie jej sali i wyszła z budynku. Przy jej wozie czekało kilka osób. Trochę ją to zdziwiło, bo sporo czasu zajął jej dziennikarz, a jednak oni czekali. Justyna, Anna, Paula, Marcin i Jacek wpatrywali się w nią zaintrygowani. Podeszła do nich.

- Czy coś się stało? - zapytała.

- To znaczy - zaczęła Justyna. - To znaczy... Mama Beaty zadzwoniła do Leona, wiesz, jej brata...

- Wiem - Wiktoria na moment pochyliła głowę w jej stronę. - Chyba wiem, co chcesz mi powiedzieć. Tak, od siódmego roku życia z kawałkiem mieszkałam w domu dziecka - najpierw w państwowym, potem w rodzinnym. Miałam pochrzanione dzieciństwo, delikatnie mówiąc, wspominam jej jak najgorzej. Nie chcę wracać do tych spraw, one są dla mnie bardzo bolesne. No dobra, w ekspresowym tempie poznaliście kawałek mojego życia i niech tak zostanie.

- Przepraszam... - zawstydziała się Justyna.

- W porządku. Nic się nie stało.

Naraz Paula się rozplakała. Podeszła do Wiktorii i przytuliła się do niej.

- Co ci jest?

- Nazwałam cię wtedy ślicznotką, pamiętasz? I nawtykałam ci parę innych rzeczy.

- No i co takiego się stało?

- Ale ja to wszystko powiedziałam złośliwie, specjalnie... zgryźliwie, chciałam cię wdeptać w ziemię i tak mocno, mocno po tobie poskakać.

- Wiem, ale się nie gniewam. Też kiedyś byłam taka, ale już z tego wyrosłam. Ty też wyrośniesz.

- Przepraszam cię...

Wiktoria cmoknęła ją w policzek i jeszcze mocniej przytuliła. Wiedziała, że Paula nie udaje, że jej przeprosiny są szczerze, a ponadto - co wydawało się ważniejsze - że to żarliwe przytulanie się Pauli jest jednym z przejawów choroby sieroczej, którą przed laty sama ciężko przeżywała.

- No dobrze! Przystań się mazać! Co ludzie powiedzą? - uśmiechnęła się i odruchowo rozejrzała wokoło. Dopiero teraz zauważyła, że przysłuchuje się im dziennikarz, stojący przy swoim maluchu. Tak to oceniła. Coś opornie szło mu wkładanie kluczyka do zamka w drzwiach. Ale w końcu to był maluch, a nie Porsche 911, choć leciwy. Chyba że Raczkiewicz uważał wkładanie kluczyka do dziurki za rzecz wyjątkowo nieprzyzwoitą. Ledwie obrzuciła

go wzrokiem, ten jeszcze intensywniej zaczął majstrować przy zamku. Zwróciła się więc do swojej gromadki:

- Pakujcie się do wozu, podrzucę was! Jakoś musimy się zmieścić. Jak nie na raz, to na dwie raty.

- Ja mam kawałek do domu, to się przejdę - powiedziała Anna. - Do widzenia, Wiktorio. Cześć wszystkim!

- Na razie.

Anna pocałowała się czule z Jackiem i ruszyła w swoją stronę. Nim zniknęła za rogiem, pomachała im ręką.

Jakoś się wpakowali do porsche, choć zrobiło się ciasno jak diabli. Za to było wesoło. Wiktoria - w końcu człowiek niekiedy ma prawo do odrobiny szaleństwa - włączyła silnik i kilkakrotnie nacisnęła gaz, nie włączając biegu. Porsche zaśpiewał swoją niepowtarzalną melodię. Zerknęła na dziennikarza, który też już siedział za kierownicą i odpalił swego czkającego dychawicznie malucha. Wiktoria ponownie nacisnęła gaz, tym razem o oktawę wyżej, po czym wolno ruszyła, bez popisowego pisku opon. Kiedy wyjeżdżała z parkingu, we wstecznym lusterku zauważyła, że dziennikarz wyskoczył z malucha i lewą ręką trzymając otwarte drzwi, a prawą kierownicę, pchał go, aż poślizgnął się i upadł na asfalt. Tymczasem maluch gwałtownie ruszył i z niezłym impetem uderzył w żeliwny słup latarni. Zdążyła jeszcze dostrzec, jak Raczkiewicz pozbierał się z ziemi i sarkając pod nosem, oglądał podeszwę buta, spod której zebrał chusteczką coś żółtobrazowego - jeśli nie myliła się co do kolorów.

Najpierw pojechała do domu dziecka, a potem do gospodarstwa. Kawałek przed podjazdem zatrzymała się i wyłączyła silnik.

- Justynko, chyba jednak muszę ci o czymś powiedzieć, bo sprawa i tak sama wypłynie. Będzie lepiej, jak dowiesz się prawdy ode mnie - zaczęła poważnie.

- O czym? O Beacie?

- Nie, o czymś w związku z nią.

- Byłam dziś u niej przed spotkaniem, czuje się już dobrze. Powiedziała, że ten narkotyk to tabletki gwałtu.

- Zgadza się. To świństwo znalazło się w wodzie, którą ja jej przyniosłam - dodała, po czym umilkła, uważnie wpatrując się w dziewczynę. Czekwała na reakcję.

Dopiero po dłuższej chwili do Justyny dotarł sens tego, co chciała jej powiedzieć Wiktoria, bo ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

- Wiktorio... powiedz mi wszystko, powiedz, proszę...

- Czujesz się na siłach, żeby tego wysłuchać?

Potrząsnęła głową. Wiktoria powiedziała jej o przebiegu dwóch nocnych wizyt Romana. Justyna już nie płakała, tylko ryczała. Zdawała się wrywać z głowy swoje krótkie czarno-czerwone włosy. Szalała.

- Jest mi bardzo przykro, że coś takiego się zdarzyło i że w jakimś sensie to ja jestem tego przyczyną. Jutro rano się wyprowadzę. Wprawdzie groziłam mu, że go załatwię i powiadomię policję, ale nie zrobię tego. Nie chcę rujnować mu życia, a mogłabym oskarżyć go o próbę gwałtu. To jest karalne.

Trochę trwało, zanim Justyna się uspokoiła i Wiktoria mogła ruszyć. Gdy wysiadły przed domem, spojrzały na siebie bardzo poważnie, bez najmniejszego uśmiechu i rozeszły się w różne strony.

* * *

Wiktoria nie miała ochoty na kolację, ale poszła do Stankiewiczów. Jadła malutko, ledwie skubnęła plasterek wędliny, nie wiedząc właściwie, co zjada. Było jej kompletnie wszystko jedno. Powiedziała gospodyni, że jutro rano się wyprowadza. Iwona Stankiewicz przyjęła to skinieniem głowy, w ogóle zachowywała się dziwnie, nie odzywała się do niej, słała w jej kierunku ukradkowe spojrzenia, co nie uszło uwagi Wiktorii.

Gdy dziewczyna wróciła do domku, zabrała się do dalszej pracy nad ankietami i nagraniem z dzisiejszego spotkania. Usiadła na werandzie. Było ciepło, ale wiał lekki wiatr, więc zrobiło się bardzo przyjemnie. Przewinęła taśmę w dyktafonie i zaczęła ją odsłuchiwać. Już wiedziała, że napisze całkiem przyzwoitą pracę dyplomową, którą dopiero co rozpoczęła. Materiał zebrała bardzo ciekawy.

W pewnej chwili spostrzegła, że w jej kierunku zmierza dwóch policjantów. Spodziewała się wizyty policji, uprzedził ją o tym lekarz, ale dlaczego aż dwóch? Wyłączyła dyktafon, oparła się wygodniej na krześle i wpatrywała się w nadchodzących funkcjonariuszy.

- Dzień dobry! - powiedzieli obaj, a starszy rangą przedstawił siebie i młodszego kolegę: - Aspirant sztabowy Jerzy Krasicki i sierżant Zbigniew Sołtysik. Pani Wiktoria Malińska?

- Tak.

- Czy moglibyśmy porozmawiać? - zapytał aspirant.

- Przyniosę krzesła, na werandzie będzie przyjemniej, bo w środku jest dość duszno - to powiedziawszy Wiktoria weszła do domku i wróciła z krzesłami.

Usiedli. Przez kilka sekund sondowali się wzajemnie.

- Proszę pani - podjął aspirant - chcielibyśmy się dowiedzieć od pani o okolicznościach związanych z zasłabnięciem Beaty Danielskiej, którą zawiozła pani na pogotowie. Lekarz stwierdził, że dziewczyna jest pod wpływem narkotyków.

- Oczywiście.

- Może najpierw powiedziała by pani nam coś o sobie? Personalia i tak dalej... - rzekł sierżant, szczupły blondyn.

- Jasne - spokojnie weszła do domku po torebkę, z której wyjęła dokumenty. Sierżant spisał jej dane, potem poprosił o adres miejsca pracy bądź nauki. Wyjaśniła także, w jakim celu tu się zjawiała.

- Wiem - uśmiechnął się aspirant. - Moja córka Krysia chodzi do drugiej klasy ogólniaka i powiedziała mi o pani ankietach. Nawet była dzisiaj na spotkaniu z panią.

- Doprawdy? Mogę panu zdradzić, że to spotkanie okazało się dla mnie bardzo pożyteczne, mimo wcześniejszych ankiet.

- Nie wątpię. Ale przejdźmy do rzeczy. Proszę nam opowiedzieć o wczorajszym zdarzeniu.

- Dobrze.

Pominała wszelkie sprawy związane z Romanem, choć czuła, że policjant nie dał się okpić. Musiałby być głupszy od idioty i kretyna razem wziętych.

- Proszę pani... To nie wyjaśnia sprawy. Musimy ustalić, skąd w pani domku - wskazał ręką - w butelce wody mineralnej znalazł się narkotyk.

- To jest dobre pytanie, panie aspirancie - uśmiechnęła się. - Sama chciałabym to wiedzieć.

Policjanci na moment zastygli, wpatrzeni w dziewczynę.

- Wątpię, żeby wziął się z powietrza - rzucił sierżant.

- Ma pan rację. Jednak nikogo za rękę nie złapałam, kiedy faszerował butelkę wody narkotykiem. Istnieje jeszcze pewna możliwość...

- Jaka?

- Taka, panie sierżancie, że kiedy kupowałam wodę w sklepie, to ona została już potraktowana tym narkotykiem.

Sierżant i aspirant zerknęli na siebie jakby zaskoczeni.

- Chyba pani sama w to nie wierzy! - uśmiechnął się sierżant.

- Dziś wszystko jest możliwe. Szaleńców nie brakuje. Raz po raz słyszy się o zatruciu różnych artykułów w sklepach.

- To prawda, ale w naszym przypadku raczej coś takiego nie wchodzi w grę. Tabletki gwałtu to nie jest trucizna, którą można by - jak w amerykańskich filmach - szantażować dla okupu właściciela sklepu... czy... nie wiem... całe miasto.

- Cóż, ma pan rację.

- Czyli zaprzecza pani, jakoby zrobiła to sama? - powiedział aspirant.

- Oczywiście - potwierdziła spokojnie, ale w jej głowie zadźwięczał ostrzegawczy dzwonek, mówiący o tym, że przesłuchanie zmierza w dość zagadkowym kierunku.

- Czy ma pani jakieś podejrzenia?

Wiktoria pochyliła głowę. Na moment umilkła, oglądając swoje krótkie wypielęgnowane paznokcie pomalowane bezbarwnym lakierem.

- Owszem, ale nie mam dowodów, więc... Rozumie pan... Nie chciałabym rzucać oskarżeń...

- Jest pani narkomanką?

- Nie.

- Była nią pani w przeszłości?

- Nigdy.

- Alkohol?

- Sporadycznie, niskoprocentowy i w małych ilościach. Zadaje pan ciekawe pytania.

- Bo pani bardzo ciekawie odpowiada. Kogo wobec tego pani podejrzewa?

Wiktoria ponownie zwiesiła głowę, wyraźnie zwlekała z odpowiedzią.

- Nie mam dowodów, jak mówiłam.

- Zapytałem tylko o pani podejrzenia. Resztę proszę pozostawić nam.

Wiktoria wstała i zrobiła dwa kroki ku barierce na werandzie. Złożyła ręce na piersiach i wpatrzyła się w dal.

- No cóż... - odezwała się w końcu, nie odwracając głowy. - Podejrzewam syna właściciela tego gospodarstwa.

- Mówiąc jasno, chodzi o Romana Stankiewicza?

- Tak.

Policjanci wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Sierżant sięgnął do teczek po jakiś dokument, który podał aspirantowi. Wiktoria wróciła na miejsce.

- Proszę pani - podjął z pewną ostrożnością, kładąc nacisk na każde słowo - dziś po południu zgłosił się do nas Roman Stankiewicz i złożył zawiadomienie, w którym oskarżył panią o molestowanie seksualne.

W Wiktorię jakby piorun strzelił. Zamarła z otwartymi ustami, wpatrzona w aspiranta,

który miał minę pokerzysty. Po chwili zrobiło się jej słabo. Zwiesiła głowę, opuściła bezwładnie ręce. Policjanci zdążyli ją pochwycić, tak że nie upadła na podłogę. Zanieśli ją na łóżko. Na szczęście mieli za sobą kursy udzielania pierwszej pomocy.

* * *

Iwona Stankiewicz z niedowierzaniem i pewnym roztrzęsieniem słuchała Romana, który z niemal pokutniczą miną opowiadał jej o tym, jak to Wiktoria molestowała go seksualnie. Powiedział też, że zgłosił dziś tę sprawę policji, bo nie mógł już znieść jej umizgów. Kiedy niedawno pojawili się policjanci z zapytaniem, czy zamieszkuje tu niejaka Wiktoria Malińska, utwierdziła się tylko w absolutnym przekonaniu o prawdomówności syna, skrzywdzonego przez jakąś dziwkę z domu dziecka, której wynajęła lokum na kilka dni.

Znajdowali się w obszernej, funkcjonalnie urządzonej kuchni, pełnej rondli, patelni i innych naczyń. Matka popijała zioła nasercowe, Roman raczył się malinowym sokiem.

- Na szczęście, Romeczku kochany ona jutro rano się stąd wyprowadza, zapowiedziała to podczas kolacji. Widać czuła pismo nosem. Ale skoro policja już ją przesłuchuje, to może się wynieść nawet na koniec świata. Mają ją!

- No właśnie, mamusiu. Gdybym nie zgłosił tego policji, niczego by nie było...

- Och, dobrze zrobiłeś!

- I to wszystko musi być jakoś związane z Beatą, z tym narkotykiem. Ta Wiktoria musiała się pomylić - skoro ja tego nie tknąłem - i zaniósła tę wodę Beacie.

- Masz rację, Romeczku, na pewno tak było - potakiwała zawzięcie. - Kogo ja tu przyjąłem?! A tak dobrze jej z oczu patrzyło! Taka była miła i uprzejma. Co za ludzie! A teraz powiem ci, skąd ona tak naprawdę jest!

- Skąd?

- Z domu dziecka!

- Co?! - Roman wyciągnął szyję i przez dłuższą chwilę pozostawał w takiej pozycji.

- Tak, tak. Ale nie z naszego. Niech tylko tata się zjawi, już on jej powie swoje. Bo ja chyba z tą dziwką nie będę rozmawiała, kiedy przyjdzie uregulować rachunek. To nie na moje nerwy.

Romanowi spocily się dłonie, wzrok miał rozbiegany jakoś nie potrafił spojrzeć matce w oczy dłużej niż na sekundę. I zaraz uciekał.

- Widzisz, co ona z tobą zrobiła?! Cały jesteś nerwowy! Romeczku, powiedz mi, ale tak szczerze, czy... czy... no wiesz, o co mi chodzi... No, czy...?

- Nie, mamusiu, nie doszło między nami do zbliżenia - zapewnił, w tym momencie wyjątkowo uczciwie.

- Chwała Bogu! - uniosła ręce.

- Zapewniam cię mamusiu, że ona jest jakaś podstępna... no, wiesz...

- I to jest możliwe, Romeczku. W telewizji co jakiś czas słyszy się o różnych pedofilach i innych zbrodniach, nawet z profesorskimi tytułami.

- Właśnie!

- Jak to dobrze, że się na niej poznałeś...! Ach, zapomniałam... Z Justynką coś nie tak, jak wróciła z tego spotkania z tą... Położyła się, jest osowiała, nie chce z nikim rozmawiać... No i popatrz, jak ta... ta panienka z bidulca śmie urządzać takie spotkania dla młodzieży! I te jej ankiety! To się nie mieści w głowie! O, już ja wiem, na pewno nie tylko ciebie próbowała molestować!

Z podwórza doszedł do nich odgłos samochodu.

- O, wreszcie! Tata przyjechał! - zawołała i, podniecona, prawie wybiegła z domu.

Roman wstał, uśmiechnął się pod nosem i zatarł ręce. Gdy usłyszał zbliżające się kroki ojca, natychmiast usiadł i przybrał poprzednią pozę. Mina jego ojca mogła porazić grozą. Żona nadawała mu niczym zausznik wszystko, co usłyszała od syna. Stankiewicz usiadł naprzeciwko niego, zaczął metodycznie gładzić swoją hiszpańską bródkę i twardo patrzeć mu w oczy, świdrował go na wylot - chłopak jakoś wytrzymał spojrzenie.

- Czy to wszystko prawda, co opowiada mama? - zapytał spokojnie, ale w jego słowach wyczuwało się groźbę.

- Tak, tatusiu.

- Widzisz, Marianku?! A ta dziwka...

- Iwonko, nie spiesz się z tą „dziwką”, co? - powiedział z delikatnym naciskiem.

- Ale... ona jest przecież z domu dziecka...

Stankiewicz wstał, założył ręce pod boki i podszedł do żony:

- Rozumiem, że to człowiek drugiej kategorii - wycodził.

- No... różni są ludzie...

- Oczywiście, Iwonko, ale są też w każdej sprawie przynajmniej dwie strony. Zgadzasz się?

- Tak...

- A zatem dwóch stron należy wysłuchać. I tym właśnie zajmuje się policja. Mam rację?

- Tak, Marianku.

- No! Więc spokojnie poczekajmy. A teraz jestem głodny jak wilk - dodał i stanąwszy nieco z boku, uważnie zerkał na syna, który rzeczywiście wyglądał niczym uosobienie nieszczęścia molestowanego nie przez jedną kobietę, ale przez kilka jednocześnie.

* * *

Dyrektor Turbanowski uważnie wpatrywał się w kilkoro swoich podopiecznych, którzy przyszedli do niego z rewelacją o Wiktorii - też była wychowanką domu dziecka. Po prostu uznali, że powinien o tym wiedzieć, tylko to nimi kierowało.

- A ja ją tak obraziłam - wybuchnęła znowu płaczem Paula.

- Obraziłaś? Czym?

- Nazwałam ją ślicznotką.

- A co w tym złego? Przecież jest bardzo piękna.

- I nawtykałam jej jeszcze parę innych rzeczy. Wszystko powiedziałam złośliwie, zgryźliwie i jak tylko najgorzej można. Ona to wyczuła.

- Myślę, że nie obraziła się na ciebie.

- Nie, dziś machnęła na to ręką i powiedziała, że kiedyś też taka była, ale wyrosła z tego.

- Więc nie myśl o tym. Ty też wyrośniesz - uśmiechnął się Turbanowski.

- Ale to mi jeszcze siedzi w głowie. Gdybym wiedziała, że jest taka jak my, to nigdy bym sobie na coś takiego nie pozwoliła, panie dyrektorze. Przenigdy!

- Paulo, postaraj się o tym nie myśleć.

Marcin poinformował dyrektora o tym, że ktoś nafaszerował Beatę owym sławetnym dyskotekowym narkotykiem i że on i Jacek domyślają się, kto to jest. Nie powiedzieli jedynie, jaką superniespodziankę mu szykują, jeśli to okaże się prawdą. Po spotkaniu w domu kultury chcieli dowiedzieć się czegoś więcej na temat wczorajszego wieczoru, ale kiedy Justyna przyleciała z rewelacją o Wiktorii - co było dla nich absolutnym zaskoczeniem - na razie odpuścili sobie tę sprawę. Nie ucieknie.

- Coś za wiele, jak na jeden dzień - westchnął dyrektor. - Dobrze, możecie iść. Ty zostań - zwrócił się do Marcina.

Gdy Paula i Jacek wyszli, zapytał go:

- Jak twoja sprawa - twoja i Beaty? Pani psycholog chwilowo choruje.

- Beata bardzo obawiała się reakcji rodziców, zwłaszcza ojca, ale już jest w porządku - wyjaśnił chłopak. - Jej rodzice pogodzili się z tym faktem. To jakoś ułatwi jej życie. Na razie

nie wiem, co dalej, ale chcemy być razem.

- No cóż... Mleko się rozlało. Dobrze, bądźmy w tej sprawie w kontakcie, jasne?

- Tak, panie dyrektorze.

Kiedy Marcin wyszedł, sięgnął po komórkę i w książce adresowej odszukał numer Wiktorii. Wymienili się numerami, gdy dziewczyna była u niego po raz pierwszy. Musiał z nią porozmawiać. Po chwili zastanowienia odłożył jednak rozmowę do jutra. Kiedy dziś przed południem zjawiała się po ankiety, w głowie mu nie powstało, że mogłaby być wychowanką takiej placówki, jaką on prowadził.

* * *

Oucili Wiktorię. Dość ciężko uniosła się na tapczanie i przez dłuższy czas siedziała, podpierając się rękoma. Oddychała ciężiej niż normalnie. Sierżant podał jej butelkę wody mineralnej, upiła ledwie dwa łyki i oddała mu ją, a ten odstawił ją na stolik.

- Proszę pani, proponuję przełożyć naszą dalszą rozmowę na jutro, proszę odpocząć - powiedział z troską aspirant Krasicki.

Spojrzała na niego nieco mętym wzrokiem, zdawała się nie mieć ochoty na cokolwiek. Usłyszała to okrutne słowo - molestowanie - i w ułamku sekundy przypomniał się jej koszmar dzieciństwa w domu dziecka. Powoli skinęła głową.

- O siódmej wieczorem proszę przyjechać do komisariatu. Wcześniej nie da rady, mam wyjazd.

- Dobrze, zgłoszę się - szepnęła.

Policjanci podziękowali za rozmowę i poszli. Wiktorcia straciła ochotę do pracy. Wolno przeszła na werandę, popatrzyła na stertę papierów, dyktafon i posprzątała wszystko. Nie bardzo wiedziała, co robić. Wsiąść do porsche i pojechać gdzieś przed siebie, żeby się przewietrzyć, poszukać ukojenia, bo zapomnienia na pewno nie... Odezwała się komórka. To była Justyna. Pytała, czy może przyjść.

- Tak, przyjdź, bo oszaleję! - rozpląkała się.

* * *

Kilka minut później dwaj policjanci dotarli do służbowego radiowozu. Wsiedli, zapalili papierosa, ale jeszcze nie odjeżdżali. Uporczywie wpatrywali się w dom właścicieli.

- Założę się, że ten gnojek stoi przy którymś z okien i przygląda się nam z tym swoim głupkowskim uśmieszkiem - powiedział zdenerwowany aspirant.

- Pewnie masz rację.

- Nie wierzę żadnemu słowu z tego jego zawiadomienia! Żal mi dziewczyny. Jak ona się obroni...?! Gdybym mógł, to tak bym skuł mordę temu szczeniakowi, że zapomniałby własnego nazwiska! Jego starzy są w porządku, siostra jest fajna, tylko ten palant... Cholera wie, w kogo się wdał! Nieraz mieli z nim problemy. Chyba jest lekko świrnięty, ale na tyle sprytny, że się umiejętnie kamufluje. Och, żeby potrafiła się wybronić...!

- Może coś wymyśli, jest inteligentna.

- Jedźmy, bo zaraz mnie tu diabli wezmą!

Sierżant włączył silnik i pojechali.

Piątek, 18 maja

Tej nocy Justyna nie spała najlepiej. Co chwila się budziła, a w jej umyśle przewijały się rozmowy z Wiktoria, których głównym tematem był Roman. Wierzyła jej bardziej niż sobie. I nie wiedziała, dlaczego miała do niej takie zaufanie. Czasami tak to już bywa, że wierzy się drugiemu człowiekowi na słowo. Rzecz nie da się wyjaśnić w sposób racjonalny, być może po prostu niektórzy ludzie nadają na tych samych falach.

Nie miała pojęcia, co brat nagadał wczoraj rodzicom, wiedziała jedynie, że jakaś rozmowa się odbyła, bo jej fragmenty dochodziły do niej z kuchni. Nie chciała podsłuchiwać, uważała to za brzydką rzecz. Zamknęła się w swoim pokoju i zdruzgotana leżała na tapczanie. Potem zadzwoniła do Wiktorii, już po wizycie policji. I po tej rozmowie jeszcze bardziej się przeraziła. Przecież jej brat był świrem! Porąbańcem! O tym, że potrafił być chamowaty wobec dziewczyn, wiedziała doskonale, czasem wstydziła się za niego. Lecz teraz miało się okazać, że absolutnie nie zna jego prawdziwego oblicza. To już przechodziło jej wyobrażenia.

Będąc na piętrze, w łazience, którą dzieliła z Romanem, zastanawiała się, co nowego przyniesie dzień. I dodała sobie - przykrego! Była tak zdruzgotana psychicznie, że nie miała ochoty iść do szkoły. Wyszorowała zęby, umyła się i wróciła do bajecznie kolorowego pokoju. Wyglądał tak pięknie, że aż chciało się w nim żyć. Ale akurat teraz na nią to nie działało.

Kiedy się ubrała, zadzwoniła do Beaty która czuła się już dobrze, nawet bardzo, szła do szkoły. Powiedziała jej o wizycie policji u Wiktorii, ale nic nie wspomniała o niechlubnym udziale Romana, o jego fałszywym oskarżeniu, aczkolwiek zdawała sobie sprawę, że to - prędzej czy później - wypłynie. Skończyła rozmowę, gdy weszła mama, zapukawszy uprzednio. Twarz miała zatroskaną. Przypatrzyła się uważnie córce i usiadła przy biurku.

- Justynko, chciałabym z tobą porozmawiać.

- O czym chcesz rozmawiać, mamusiu?

- O tym, co ci jest. Od wczoraj jesteś jakaś... nieswoja. Coś cię gryzie. Powiedz, z czym masz problem?

- Nie mam problemu, mam jedynie okres.

- Nic podobnego - mama niemal triumfująco uniosła wskazujący palec - dopiero za tydzień, Justynko! Tobie doskwiera coś innego...

- Każdemu raz po raz coś odbiega od normy.

- To prawda... Romeczek jest taki załamany, ale nie chcę ci o nim mówić, żebyś się i nim nie martwiła, bo widzę, że masz jakieś swoje tajemnicze problemy, o których nie opowiadasz... Boże, co ten Romeczek ostatnio przeżył...! A gdybym ci powiedziała, z kim... Boże drogi...! Wiesz, że ona jest z domu dziecka?!

Na te słowa Justyna wbiła w matkę zabójczy wzrok, jakiego ona nigdy u córki nie widziała. Ich wzajemne spojrzenia trwały kilka dobrych sekund.

- Idę... do... szkoły! - warknęła, cedząc słowa, wściekle chwyciła swój plecak i trzasnęła drzwiami, aż zadrżała ściana. Zostawiła osłupiałą matkę.

- Przecież dopiero siódma, Justynko! A śniadanie?!

Zbiegała po drewnianych schodach, a te jęczały jak maltretowane.

* * *

Wiktoria się spakowała. W mieście u wylotu drogi na Poznań znajdował się motel, do którego postanowiła się przenieść. Na koniec ogarnęła wzrokiem wnętrze, sprawdzając, czy wszystko zostawia w idealnym porządku, po czym chwyciła torbę i zamknęła domek na klucz. Najpierw zaniósła rzeczy do samochodu, następnie weszła do domu. W jadalni nie zastała nikogo. Nie miała zamiaru jeść śniadania, zresztą nie była głodna. Wreszcie z kuchni wyłonił się pan Stankiewicz. Od razu zauważyła, że jest jakiś inny niż zazwyczaj. Bynajmniej nie był pijany, nic podobnego. Jakby coś go trapiło, coś na kształt poczucia winy, tak to postrzegała. Wyraźnie starał się unikać jej spojrzenia.

- Dzień dobry poproszę o rachunek... Inaczej - nie potrzebuję rachunku. Po prostu, ile płacę za pobyt u państwa?

Wymienił sumę. Odliczyła pieniądze i położyła je na stole, przy którym tak smacznie się jej jadało.

- Proszę pani...

- Tak?

- To znaczy... - Stankiewicz nerwowo zacierał ręce, gorączkowo szukał słów - Proszę pani...

- Proszę pana... zostawmy to na razie tak, jak jest... Na razie, powtarzam. Do widzenia panu. Proszę pozdrowić żonę, jest bardzo sympatyczna i miła, pan zresztą też - dodała i wyszła.

Gdy wsiadała do wozu, odezwał się telefon. Turbanowski. Zdziwiła się. Po niedługiej rozmowie zmieniła zamiar. Zamiast do motelu pojechała do domu dziecka.

* * *

Dyrektor czekał na nią na schodach, a gdy wysiadała z porsche, podszedł do niej. Popatrzył na nią jak ojciec na córkę, podali sobie ręce i bez słowa skierowali się do jego gabinetu. Kilka chwil siedzieli w milczeniu.

- Pani Wiktorio, tak się złożyło, że wczoraj dowiedziałem się o pani kilku rzeczy...

- Pewnie już pół miasta o tym mówi - uśmiechnęła się z pewnym żalem.

- To mała miejscowość, plotki wyprzedzają fakty, mówiąc przewrotnie. Klimat takiej placówki jak ta nie jest pani obcy prawda?

Wiktorina spoważniała.

- Nie, panie dyrektorze. Ani rodzinnego domu dziecka, z którym wiąże o wiele miłsze wspomnienia niż z takim państwowym molochem.

Ze zrozumieniem pokiwał głową.

- To prawda. Różnice wychowawcze są znaczne, oczywiście na korzyść tych drugich placówek - przyznał z ubolewaniem. - To jest oczywiste także i dla mnie. Ale, niestety sytuacja jest taka, jaka jest, a my dyrektorzy, niewiele możemy zdziałać. Potrzeba nam odgórnych zmian systemowych, pani Wiktorio.

- Proszę mi mówić po imieniu.

- Mogę?

- Jasne.

- Wobec tego ty też mów mi po imieniu.

- Ale tylko prywatnie, nie w obecności wychowanków.

Turbanowski uśmiechnął się:

- Byłoby wskazane.

Przez dobry kwadrans rozmawiali o plusach i minusach zakładów wychowawczych,

państwowych i prywatnych. Zadziwiająco, ale zgadzali się niemal we wszystkich sprawach.

- Jutro o dziewiątej muszę być w Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu - zaczął - na spotkaniu przedstawicieli państwowych i rodzinnych domów dziecka. Organizuje je Wydział Polityki Społecznej urzędu. - Chciałabyś pojechać ze mną? Może mogłabyś wykorzystać coś do swojej pracy?

- Chyba nie - odparła po namyśle. - Jestem szczęśliwa, że mam za sobą ten długi okres mojego życia. A poza tym... Nie, już nic, przepraszam - urwała i umilkła.

- Chyba cię rozumiem - westchnął i zmienił temat. - Wiktorio, podobno wczoraj miałaś policję na karku... Skąd wiem?... Dziś Justyna zadzwoniła do Beaty, Beata do Marcina, a Marcin przyleciał zaraz do mnie. Reakcja łańcuchowa. Przypuszczam, że te osoby nie są ci obce.

- Nie są. Bardzo ich wszystkich polubiłam.

- Masz poważny problem?

- Niestety tak.

- Chciałabyś opowiedzieć mi o nim?

- A zechcesz wysłuchać?

Turbanowski rozłożył ręce w szerokim geście i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Opowiedziała mu wszystko ze szczegółami, kończąc opowieść retorycznym pytaniem, że jest ciekawa, co też synalek Stankiewiczów wypichcił w swoim zawiadomieniu o molestowaniu.

- Taaa... - westchnął dyrektor. - Ten młodzian to okropny typek, choć na takiego nie wygląda. Sprawia nawet miłe wrażenie. Ale wredna z niego bestia! Nieraz dawał się we znaki moim chłopakom, zwłaszcza Jackowi. Mam nadzieję, że z tego wybrniesz... Posłuchaj, mam wolne trzy pokoje gościnne, każdy z łazienką. Udostępnię ci jeden z nich na tak długo, jak będziesz potrzebowała, oczywiście dodam do tego całodzienne wyżywienie o stałych porach, wspólne z wychowankami. Po co masz mieszkać w motelu? Chyba że wybierasz motel. Ty decydujesz.

Wiktorina zastanowiła się.

- Mówisz poważnie?

- Jasne.

- Dobrze - uśmiechnęła się. - Nie zaszkodzi mi chwila... wspomnień - dodała nieco kwaśno.

Turbanowski spochmurniał, na długo zamilkł, aż wreszcie wstał.

- Zaprowadzę cię do pokoju, jest na parterze - rzekł cicho. - Będzie ci w nim wygodnie.

Wiktoria popatrzyła na niego ciepło.

- Pójdę po bagaż, mam tylko jedną torbę. Jest lekka.

* * *

Miała swoją kindersztubę i tyle. Czy to się komuś podobało, czy nie. Nie dbała o to. Taka już była, odkąd skończyła gimnazjum i miała za sobą przeczytane jakieś pół tony książek, których była miłośniczką. Od tego momentu nie pozwalała mówić do siebie inaczej, jak tylko Anna. Nawet Jacek miał szlaban na jakiegokolwiek zdrobnienia tego imienia, choćby w najbardziej intymnych sytuacjach. Raz za „Anię” zarobił tygodniową odstawkę od jej ust. I nie było, że boli. Męczyło go to jak diabli. Anna była konsekwentna. I charyzmatyczna. I odważna - na swój sposób. Niektóre jej przyjaciółki uważały, że jest wyniosła. Ale taka nie była. Miała w sobie wiele wrażliwości, starała się jednak jej nie okazywać - zamiast wylewać, wlewała w siebie. A poza tym była super! Jej niesamowicie zielone oczy wabiły swoim urokiem, wydawało się, że hipnotyzowały, kiedy je rozszerzała.

Takim właśnie wzrokiem wpatrywała się teraz w swoją przyjaciółkę ze szkolnej ławki, Krysę Krasicką, która z przejęciem opowiadała o tym, co mimowolnie podsłuchiwała z cichej rozmowy jej taty - aspiranta sztabowego policji - z mamą, a dotyczącej sprawy Wiktorii. Im dłużej Anna słuchała, tym bardziej szerzej otwierała oczy. Nie dowierzała relacji przyjaciółki.

Siedziały na skwerze pełnym płaczących wierzb, tuż przed blokiem, w którym mieszkały. Do pójścia do szkoły miały jeszcze prawie godzinę, ponieważ dziś lekcje zaczynały się dopiero o jedenastej. Kiedy Krysia - lekko pulchna blondynka o krótkich, ale mocno kręconych włosach - skończyła swój monolog, Anna nie zastanawiała się ani chwili. Zadzwoiła do Jacka i opowiedziała mu o usłyszanych rewelacjach. Ten również był kompletnie zaskoczony. Powiedziała mu, że w związku z tym ma pewien plan, ale muszą go obgadać osobiście. Potrzeba do tego jeszcze kilku dziewczyn i chłopaków, którzy nie darzą Romana sympatią, z czym nie powinno być żadnego problemu. Ani słówkiem nie zająknęła się na temat przewrotnego zamiaru, który zrodził się w jej umyśle. Machiavelli i Talleyrand razem wzięci nie uknuliby lepszego spisku.

Postanowiła się poświęcić, a co jej tam. Dodała jedynie, że nie wyobraża sobie, aby teraz mogli przejść obok tego obojętnie. Zgodził się i przekazał jej swoje nowiny - że Wiktoria chwilowo zamieszkała w domu dziecka i że od razu zrobiło się tam jakoś różnie. Umówili się na spotkanie, za kwadrans przed liceum.

* * *

Dzwonek na przerwę zabrzmiał hałaśliwie. W gimnazjum momentalnie zawrzało, drzwi klas otworzyły się, a uczniowie wypadli na korytarze niczym tabun rozhukanych koni.

Justyna i Beata poszły na boisko i usiadły w cieniu kasztanowca. Było przyjemnie, niezbyt ciepło. Beata odzyskała już w miarę dobry humor, psychicznie czuła się dobrze, wyjąwszy lukę w pamięci, którą jakoś zapełniły opowieści rodziców i Justyny. Fizycznie też było w porządku. Justyna jednak cały czas pozostawała markotna, co w końcu nie uszło uwagi przyjaciółki.

- Co jeszcze cię gryzie? - naciskała.

Justyna westchnęła i zaczęła skubać wypiełgnowane paznokcie. Milczała.

- No powiedz. Wyrzuć to z siebie! - objęła przyjaciółkę i wpatrzyła się w jej profil.

- Nie powiedziałam ci całej prawdy - odezwała się wreszcie Justyna. - A dłużej nie mogę tego dusić w sobie. Jest mi z tym ciężko, zresztą i tak cała sprawa wylezie na wierzch. Wolę, żebyś dowiedziała się o tym ode mnie.

- No to mów.

Opowiedziała jej o tym, co usłyszała od Wiktorii. Beata dość długo milczała, aż w końcu stwierdziła:

- To nie twoja wina, że masz takiego braciszka.

- No nie, pewnie! Ale przykro mi z tego powodu.

- Tylko się nie zadrećzaj! - pocieszyła ją przyjaciółka. - Dlaczego masz się męczyć przez takiego skubańca?! Olej go i tyle. Na twoim miejscu tak właśnie bym do niego podeszła. Nie istnieje, jest dla ciebie powietrzem. Świrnięty cynik! Ja już się do niego nie odezwę! Ilekroć do ciebie przyjdę, nawet nie spojrzę na gada!

Justyna potrząsnęła głową. Mimo wszystko było jej strasznie smutno.

* * *

Kilkuosobowa grupka uczniów liceum stała na murawie szkolnego boiska i zawzięcie coś omawiała. Bynajmniej nie chodziło o temat najbliższej lekcji, czyli języka angielskiego. Anna skupiała na sobie uwagę pozostałych. Była w dzinsach i rozpinanej bordowej bluzce. Kasztanowe włosy tym razem rozpuściła, nie zawiązując ich w kucyk, więc wyglądała jeszcze bardziej uroczo niż zwykle. Przedstawiła im swój plan i oczekiwała na jego akceptację. Gdy tylko skończyła, wszyscy osłupieli, a najbardziej Jacek.

- Ty oszalałaś! Nie możesz tego zrobić! - krzyknął. - Odbiło ci?!

- Dlatego chcę prosić cię o zgodę, Jacusiu - przymiliła się do niego, przykleiła i

cmoknęła go w policzek. - Proszę cię, zgódź się, kochanie. Załatwimy tego skubańca. Na początek dziś powiem mu grzecznie „Dzień dobry”, a jutro dokończymy resztę.

- Ale... to znaczy, tylko nie ty... Nie chcę, żebyś to była ty! - upierał się i spojrzał na trzy koleżanki, które bawiły się tą wymianą zdań coraz lepiej, koledzy też.

- Nie patrz na nas tak chciwie, nic z tego! - zaśmiały się, a Krysia dodała: - Ja już gram swoją rolę w tym przedstawieniu, choć nie tak ważną jak Anna.

- Cholerny zazdrośnik z ciebie - mruknęła Anna do swojego chłopaka. - To muszę być ja, przecież wszyscy wiecie dlaczego. Ten intelektualny brodzik chciał mnie wyrwać we wrześnie swoich kretyńskimi tekstami. Głupek!

Jacek wsadził ręce do kieszeni i ze zwieszoną głową zaczął krążyć wokół całej grupki.

- Proszę cię, zgódź się - nalegała, wodząc za nim wzrokiem. - Będziesz musiał mi wybaczyć, ale zgódź się, proszę.

- Nie.

- Rany... A jeśli cię nie posłucham i zrobię to?... Zerwiesz ze mną?

- Nie szarżuj, dobrze?

- Powiedz, zerwiesz ze mną?

Przystanął, wyrzucił z siebie chyba całe powietrze, jakie miał w płucach.

- Nie zgadzam się - rzucił stanowczo i znów spacerował dokoła.

Zacisnęła zęby.

- No przekonajcie go - zwróciła się do przyjaciół. - Marek, kopnij go w tyłek, to zaraz mu się odmieni na lepsze!

Parsknęli śmiechem. Anna nie ustawała, robiła się coraz bardziej zadziorna. Można by powiedzieć, że im bardziej się złościła, tym piękniej wyglądała.

- Jacusiu, czy coś mi od tego ubędzie, he? - podjęła atak. - Jest taka piękna piosenka Jerzego Połomskiego, stareńka, ale bardzo ją lubię, bo ma zajefajny tekst - „Daj”. Jeśli dobrze pamiętam, to zaczyna się ona tak: „Daj, czego ci nie ubędzie, choćbyś najwięcej dała”. No, może to nie jest akurat pierwszy wers, ale na pewno znam te słowa.

Na takie dictum Jacek nie wytrzymał - rozbrojony, wybuchnął salwą śmiechu i rozłożył ręce.

- Dobra, zgoda.

- No! - zacisnęła dłonie i potrząsnęła nimi energicznie, niczym siatkarka zadowolona ze zdobytego punktu w beznadziejnej sytuacji. - Nie mogłeś tak od razu? Ile energii niepotrzebnie straciliśmy. Więc do roboty, karty rozdane - chwyciła Jacka pod ramię i wszyscy rażno skierowali się do budynku.

* * *

Iwona Stankiewicz nie mogła zrozumieć dzisiejszego zachowania córki, jej agresji wyczuwalnej w spojrzeniu i w głosie. No i to wczesne wyjście do szkoły, bez śniadania. Coś takiego zdarzyło się jej po raz pierwszy. Na razie nie mówiła o tym mężowi, nie było ku temu okazji.

Weszła do domku, który wynajmowała Wiktoria, i zaczęła robić w nim porządki. Właściwie lokatorka zostawiła domek w idealnym stanie, więc jedynie odkurzyła dywan i przeciągnęła ścierką po stoliku.

Zmieniając pościel na tapczanie, zastanawiała się, czy ta dziwka wciągnęła jej syna pod koldrę, czy było tak, jak Roman jej powiedział - że do niczego nie doszło. Ostatecznie mógł jej skłamać, żeby niepotrzebnie jej nie denerwować. Jeśli tak było, to trudno. W końcu machnęła na to ręką - po kłopotcie! Zamknęła domek na klucz i z odkurzaczem i pościelą do prania wróciła do domu. W tym samym momencie wrócił z miasta jej mąż. Był z autem u mechanika, a po południu wyjeżdżał do Zielonej Góry w interesach. Gdy znaleźli się w kuchni, powiedziała mu o dziwnym zachowaniu ich córki. Stankiewicz usiadł przy stole i, skupiony, wpatrzył się w żonę:

- Powiem ci, Iwonko, że chyba się domyślam, czemu Justyna dziś tak się zachowywała, a nawet, jak powiadasz, trzasnęła drzwiami.

- Wy, mężczyźni, myślicie tylko o jednym! - ofuknęła go. - Ale robisz odkrycie! Że akurat miała okres, więc była... nie w sosie! Owszem, to się u nas zdarza, że jesteśmy humorzaste w tym czasie i potrafimy trzasnąć drzwiami, zresztą nie tylko drzwiami. Ale Justynka okres będzie miała dopiero za tydzień.

Stankiewicza zatkało, jakby dostał w mordę. Patrzył na żonę i patrzył, zastanawiając się, czy to ona, czy jakaś zupełnie inna baba, której kompletnie nie zna.

- Na co tak patrzysz, Marianku? Kochany, taka jest prawda, czy ci się to podoba, czy nie.

Stankiewicz był zdrowym, silnym mężczyzną. Nie można mu było również odmówić inteligencji, natomiast jego żonie - pod pewnymi względami - chyba sporo brakowało do jego poziomu IQ. Był też człowiekiem cierpliwym. Kiedy więc jakoś przetrwał jej słowa, wstał, podszedł do niej i odezwał się spokojnie:

- Posłuchaj, Iwonko. Justyna była taka, dlatego że chyba wie to, o czym my nie wiemy. Zna całą prawdę, od A do Z!

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Jak pomyślisz, to może uda ci się zgadnąć - rzekł uszczypliwie. - Ja spokojnie czekam na rozwój wypadków. Powiedzmy, że spokojnie... - dodał i wyszedł na zewnątrz, zostawiając zafrasowaną żonę. Na razie miał w głowie wyjazd do Zielonej Góry.

* * *

Kiedy Roman przyszedł do szkoły zachowywał się tak, jak gdyby nic się nie stało. Nawet nie próbował się zastanawiać nad doniesieniem złożonym wczoraj na policji. Zraniony byk musi się bronić, nieważne, jakimi metodami. Uważał sprawę za zamkniętą. Nie trawiły go choćby najmniejsze wyrzuty sumienia, na swój sposób był gruboskórny. Pozował na twardziela, aby się dowartościować. Niemniej jednak, mimo woli ciągle wracał do wczorajszej rozmowy z rodzicami, chociaż to raczej sama rozmowa do niego wracała, czemu w żaden sposób nie mógł zaradzić. Bo przecież najlepiej byłoby zapomnieć o wszystkim, mieć lukę w pamięci, tak jak po narkotyku, którym nafaszerował wodę mineralną Wiktorii.

Że z matką nie będzie miał żadnych problemów, wiedział od razu. Nawet nie musiał się specjalnie wysilać, żeby dała się naciągnąć na jego bajeczkę. Trochę inaczej patrzył na ojca - ten jego sondujący i podejrzliwy wzrok był naprawdę groźny. Wczoraj aż ciarki przeszły mu po plecach, ale wytrzymał spojrzenie ojca. Ostatnio patrzył tak na niego przed rokiem, kiedy Roman wrócił z dwudniowej balangi i próbował się z niej wyłgać. Teraz też ojciec mu nie uwierzył. Ale syn pocieszał się, że policja zrobi swoje, a to przekona największych niedowiarków, także jego. Ale jeśli mu nie dowierza, to jego sprawa.

Będąc w klasie, nie odczuwał, żeby atmosfera wokół niego się zagęszczała. Wszyscy zachowywali się wobec niego tak jak na co dzień. Ci, którzy od początku żywili do niego jakąś tam antypatię, nie zmienili zdania.

Lekcja anielskiego dobiegała końca. Młoda i całkiem ładna nauczycielka, Marianna Budziak-Scott, była w połowie Polką, w połowie Angielką. Język swego ojca znała perfekcyjnie, miała właściwy akcent i potrafiła uczyć. Polski także miała doskonale opanowany, w końcu tu mieszkała. Licealiści lubili jej przedmiot, w dużej mierze zapewne dzięki niej samej, gdyż zajęcia prowadziła w interesujący sposób, zupełnie inaczej niż jej nudnawa poprzedniczka, która odeszła na emeryturę.

Do końca zajęć pozostały dziś jeszcze dwie lekcje. Gdy rozległ się dzwonek na przerwę, Roman zapytał siedzącego z nim Zenka o plany na popołudnie. Ale chłopak nie miał pomysłu.

- A na dyskę jutro do Planety walisz?

- Pewnie. Może tym razem coś się wyrwie, a jeśli nie, to zawsze pozostaje browar. A ty?

Anglistka wyszła, siedzący przed nim Jacek też, a wraz z nim opuściła klasę połowa uczniów. Zadaniem Jacka było pilnowanie drzwi od strony korytarza, żeby przez kilka minut nikt nie wszedł do środka.

- Pewnie, że idę, a jak! - zaśmiał się i chciał wstać, kiedy podeszła do niego Krysia i usiadła na miejscu Jacka.

- Roman, słuchaj, ile kosztuje u was wynajęcie domku? Mój kuzyn z dziewczyną chcą przyjechać do mnie na wakacje na trochę dłużej, a u mnie w domu, wiesz, nie bardzo z miejscem. Pewnie musi być rezerwacja, co?

Nieco zaskoczony potarł swoje kruczoczarne włosy.

- Cholera, teraz ci nie powiem, bo nie wiem. Może jutro, dobrze? Muszę zapytać rodziców.

- Dobra.

Naraz Roman kątem oka dostrzegł, że z boku wolno zbliża się do nich Anna, jak zwykle czarująca. Spojrzał na nią. Co za dziewczyna! Nie jego, niestety! Patrzyła mu prosto w oczy, łagodnie się uśmiechała; nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek tak się wobec niego zachowywała. Kiedy we wrześnie próbował ją poderwać, to owszem, pojawił się jakiś uśmiešek, próba dotyku z jej strony, płonna nadzieja, iluzja, jakieś tam słowa. Wszystko tylko po to, żeby ostatecznie dać mu porządnego kopniaka, którego czuł do dziś. A teraz coś jej się stało. Zatrzymała się przy nich i dotknęła dolnego guzika swojej bluzki.

- O czym rozmawiacie, jeśli to nie tajemnica? - zapytała zalotnie i zaczęła wolno odpinąć guziki, cały czas uwodzicielsko patrząc Romanowi w oczy.

- No wiesz, kuzyn z dziewczyną chcą przyjechać do mnie na wakacje... - Krysia wymownie zatrzepotała rękami.

Gdy Anna odpięła ostatni guzik, rozchyliła bluzkę, ukazując wspaniałe, jędrne piersi, które nie potrzebowały wsparcia w postaci stanika.

- Romeczku - szepnęła - ładne mam piersi? Podobają ci się? Byłam dla ciebie taka niedobra we wrześnie, ale teraz zmieniłam zdanie.

Roman siedział z kamienną twarzą, zamurowany. Zenek tak mocno przetykał ślinę, że niewiele brakowało, a by się nią udusił.

- A może Wiktoria ma piękniejsze? - mówiła spokojnie dalej. - Ma piękniejsze? Ale powiedz, że moje są ładniejsze, tak mi na tym zależy. Dotknij ich, proszę... Popieść je... One potrzebują prawdziwej męskiej dłoni... Muszą być pieszczone przynajmniej raz w tygodniu,

długo, bardzo długo... A potem to już tylko raj...

Na czoło Romana wystąpiły krople potu. Nie potrafił wydusić z siebie słowa. Tylko ręce zaczęły mu nerwowo dygotać. Ci, którzy pozostali w klasie, w milczeniu, dusząc się prawie ze śmiechu, przyglądali się temu przedstawieniu.

- Romek, a może ja cię molestuję seksualnie, tak samo jak zrobiła to ta zła Wiktoria? Brzydka z niej dziewczyna, chciała wykorzystać grzecznego chłopca, podstępnie używając do tego tabletki gwałtu, prawda? Ja bym to zgłosiła policji. A co!

Wreszcie Roman nie wytrzymał. Żuchwa zaczęła mu drgać, gwałtownie wstał, prawie przewrócił krzesło i szybkim wściekłym krokiem wyszedł z klasy.

Anna odetchnęła z wielką ulgą.

- Zenek, nie gałuj tak na moje cycki, bo jeszcze ci oczy wypadną! - syknęła ostro, zapięła bluzkę i uśmiechnęła się do Krysi, która wybuchnęła niepohamowanym śmiechem, podobnie jak pozostali uczniowie obserwujący całe przedstawienie.

Zakłopotany i czerwony na twarzy Zenek wybiegł z klasy. Po chwili do sali wszedł Jacek. Podeszedł do Anny, która przykleiła się do niego.

- Żebyś widział jego minę! Mistrzostwo świata! - zaśmiała się.

- Ja się prawie posikałam - powiedziała Krysia. - Aha, Anno, pierwszy raz widziałam twoje cycki. Tak samo ładne jak moje.

- Ale nie będziemy się licytować, co? - parsknęła Anna.

- Pewnie, po co! Niech chłopaki się tym zajmują. Oni to uwielbiają i są w tym całkiem dobrzy. Założę się, że niektórzy prowadzą osobiste rankingi.

Tego dnia Roman nie pokazał się już w szkole.

* * *

Nie miałym zaskoczeniem dla wychowanków domu dziecka był nowy lokator placówki, który - co prawda - zagościł na krótko, ale zawsze. O drugiej po południu Wiktoria weszła do zapełnionej stołówki, aby zjeść obiad. Usiadła do stołu, przy którym znajdowali się wychowawcy. Na obiad była zupa pomidorowa i stek. Rozmawiano na temat wyników jej ankiet, a także przebiegu wczorajszego spotkania w domu kultury. Dziewczyna nie miała pojęcia, czy dyrektor powiedział podopiecznym, co jest powodem tego, że chwilowo tu mieszka. Ale jeśli tak, to młodzież była na tyle dyskretna, że nie poruszała tego tematu. Sama też go nie podjęła.

Wyszła ze stołówki, w holu czekali na nią Paula, Marcin i Jacek.

- Jak smakował ci obiad? - zapytała Paula.

- Smaczny. Co planujecie na popołudnie?

- Mamy parę ważnych rzeczy do załatwienia - rzekł Marcin z zagadkowym uśmiechem.

- Wyjątkowo ważnych, wyjątkowo - zapewniła Paula takim tonem, że Wiktoria, chcąc nie chcąc, przyjrzała się im uważniej. - A gdybyś wiedziała, jakie Anna zrobiła dziś przedstawienie w szko... - gwałtownie urwała pod naporem wściekłego spojrzenia Jacka, które zdawało się zmiatać ją z posadzki.

- Anna? Przedstawienie? O co chodzi? - Wiktoria wpatrzyła się pytająco w Jacka.

Wcześniej, podczas obiadu, chłopak zastanawiał się, czy powiedzieć Wiktorii o spektakularnym wyczynie Anny, ale się na to nie zdecydował. Pomyślał, że mogłoby to wpędzić ją w zakłopotanie, a nie chciał, żeby tak się poczuła. Oczywiście, Paula i Marcin, którym o tym powiedział, mieli zakaz informowania Wiktorii o tej sprawie. Jeśli się dowie od kogoś innego, to już inna sprawa. Niestety Paula, jak to mała pyskata papla, nie wytrzymała.

- Doczekam się wyjaśnienia? - nalegała Wiktoria. - Jak się mówi A, to trzeba wysilić się na cały alfabet.

Jacek nie miał innego wyjścia, jak tylko powiedzieć jej o tym, tyle że nie przytoczył słów Anny skierowanych do Romana, choć znał je dokładnie. Wiktoria najpierw się roześmiała, ale potem spoważniała. Nie była głupia, domyśliła się, że to w związku z nią zrobiono ów teatrzyk.

- Założę się, że kombinujecie coś więcej - ni to się uśmiechnęła, ni wykrzywiła twarz.

Nie odpowiedzieli.

* * *

Wiktoria wsiadła do wozu i pojechała w stronę rynku. Zaparkowała przy Irlandii, lecz nie weszła do niej, tylko skierowała się do kawiarni pod parasolami. Nie spieszyła się, nie miała do czego. Po drodze wstępowała do sklepów, właściwie bez powodu, gdyż nie zamierzała niczego kupować. Często tak robiła w Poznaniu. Marzenia nic nie kosztują, czego nie można powiedzieć o ambicjach - te niespełnione każą czasem za siebie słono płacić. Na betonowym słupie ogłoszeniowym dostrzegła plakat. Zapraszał na wernisaż wystawy malarstwa i rysunku Anny Jurczyk, który rozpoczynał się o szóstej. Widziała go też gdzieś w innym miejscu, ale wówczas nie zwróciła na niego uwagi. Było też inne ogłoszenie, informujące o wielkim festynie rodzinnym w najbliższą niedzielę.

* * *

Anna skończyła myć naczynia po pysznym obiedzie, który ugotowała - zupie owocowej z kluseczkami własnej roboty - i zniknęła w łazience. Umyła ręce, zdjęła fartuszek i weszła do pokoju, gdzie przy okrągłym stole, zasłanym białym koronkowym obrusem, siedziała starsza pani. Swojej schorowanej sąsiadce, Jadwidze Polkowskiej, pomagała bardzo często - robiła jej zakupy i sprzątała, znacznie rzadziej prała i gotowała. Staruszka była samotna.

- Aniu, bardzo ci dziękuję...

- Pani Jadziu, zawsze może pani na mnie liczyć, przecież pani wie.

- Wiem... Proszę, to za pomoc - wyciągnęła do niej rękę z dwudziestozłotowym banknotem.

- Nie, dziękuję. Może następnym razem, po zakupach i sprzątaniu, dobrze?

- A co? Za mało?

- Jezu, pani Jadziu! Za dużo!

- Aha, czyli w sam raz - uśmiechnęła się figlarnie starsza dama. - Bierz i nie denerwuj mnie. Przecież wiesz, że lekarz zabronił mi się denerwować. Ja nie potrzebuję tyle pieniędzy, a tobie one się przydadzą na różności i jakieś tam frykasy. Tylko piwa nie kupuj - bo się pogniewam! Wy, młodzi, lubicie piwo, co? Często o tym mówią w telewizji, a z takich rzeczy to tylko potem awantury i nieciekawe historie. To mi się stanowczo nie podoba.

- Nie chcę pani kłamać, pani Jadziu, piwo piję, ale bardzo rzadko, naprawdę. Nie twierdzę, że w ogóle tego nie robię, ale naprawdę tylko raz na dłuższy czas. I ograniczam się do jednego.

Starsza dama popatrzyła na nią przyjaźnie.

- Więc życzę ci, żebyś przy swoim „bardzo rzadko” pozostała.

- Postaram się - Anna uśmiechnęła się, wzięła banknot i pożegnała sąsiadkę. Do swego mieszkania, które znajdowało się naprzeciwko lokalu starszej pani, miała kilka kroków, przez klatkę. Rodzice jeszcze nie wrócili z pracy. Ponieważ było gorąco i duszno, wykapała się w letniej wodzie i zaraz poczuła się rześko. Kiedy wycierała się ręcznikiem, popatrzyła w lustrze na swoje piersi, którymi dziś czarowała Romana. Musiała się roześmiać.

- Pewnie miał orgazm! - parsknęła pod nosem.

Włosy związała w kucyk, ubrała się w przewiewną różową sukienkę, z dekoltem w karo, wzięła torebkę, założyła na nos ciemne okulary i wyszła. Do rynku miała niedaleko, ale wzięła ją ochota na lody. Skierowała się do kawiarenki pod parasolami. Już z oddali

dostrzegła Wiktorię, która właśnie delektowała się przepyszными mrożonymi kuleczkami. Przcisnęła się do niej, bo było dość tłoczno.

- Cześć! Mogę się przysiąść?

- Pytanie!

- Ale najpierw wezmę lody. Też z bakaliami.

Po chwili usiadła przy niej z kubkiem w ręce.

- Zarobiłam dziś trochę grosza, więc mogę sobie pozwolić na odrobinę rozpusty - powiedziała Anna.

- Jak zarobiłaś?

- Mam sąsiadkę, staruszkę. Jest schorowana, ale bardzo sympatyczna. Trochę jej pomagam, wiesz - zakupy, sprzątanie, niekiedy pranie, te sprawy. A dziś ugotowałam jej obiad, chociaż nic specjalnego - zupę owocową z kluseczkami, które sama zrobiłam. Wzięłam trochę mąki i wody, jedno jajko, potem rozbełtałam to jak na ciasto naleśnikowe, tyle że gęstsze, i łyżką wpuszczałam do gotującej się zupy. Nawet wyszło mi smaczne - uśmiechnęła się. - Staruszka jeszcze żyje. Ja zresztą też.

- Lubisz gotować?

- Uczę się. Zanim wyjdę za mąż, muszę przecież parę rzeczy umieć, żeby mój przyszły nie wywalił mnie z posady żony. Ale prasować koszul to na pewno nie będę. Beznadziejna robota! Raz próbowałam uprasować koszulę taty i wyszedł mi z tego gniot jeszcze gorszy niż przed prasowaniem.

Wiktorcia uważniej przyjrzała się Annie.

- Jeśli to nie tajemnica, twój przyszły to...?

- N. N.

- Kto?

- Imienia nie znam. To jest z...

- ... z łaciny - weszła jej w słowo. - Nomen nescio albo non notus, to mniej więcej znaczy to samo.

- Właśnie.

- Czyli Jacek...

- Na razie jest mi z nim dobrze. Ale czy ja wiem, co będzie za jakiś czas?

- Tak, przyszłość to wielka niewiadoma. Nie brzmi to oryginalnie, ale taka jest prawda.

Anna zerknęła w kierunku ratusza, z którego właśnie wychodziło kilka osób.

- Pewnie zakończyli sesję rady miejskiej - powiedziała. - Ten w jasnym garniturze to

ojciec Beaty.

Wiktoria wyostrzyła wzrok.

- Tak, widziałam go przed domem kultury.

- Facet z zasadami, ale dla córki jednak w końcu się ugiął. Wiesz, jakie on ma zdanie na temat państwowych domów dziecka? Jak najgorsze! Uważa, że te placówki to istna Sodomia i Gomora. Uwierzysz?

- Uwierzę. Bo w dużym stopniu ma rację.

Anna znieruchomiała i wpatrzyła się w Wiktorię.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście. Państwowe domy to molochy i, niestety, w wielu przypadkach siedliska zła. Nie twierdzę, że wasza placówka jest taka, bo jej nie znam, ale generalnie tak właśnie to wygląda.

- I ty to mówisz? - Anna nie dowierzała.

- Bo mam niejako prawo do wyrażenia swojej opinii.

- No tak...

- Wiesz, kiedy pierwszy raz zostałam zgwałcona?...

Anna odstawiła kubek z lodami, podparła dłonią podbródek i z lekko otwartymi ustami wpatrywała się w koleżankę.

- Zgwałcona?!

- Gdy miałam trzynaście lat. A wiesz przez kogo? Przez kobietę, moją wychowawczynię. Zresztą, nie tylko ona mnie gwałciła...

- Chłopcy też?

- Mnie na szczęście nie, ale takie zachowania są niemal na porządku dziennym. Wychowawcy nie wszystkiego dopilnują albo nie chcą czegoś widzieć, albo sami się w tym lubują. Mnie, poza tą starą jędzą, gwałciły starsze dziewczyny. Trwało to jakiś czas.

- Jezu, ja bym chyba zwariowała! Wiktorio... - Annie stanęły łzy w oczach.

- Ale jakoś się z tego otrząsnęłam i dzięki pomocy mojej cioci trafiłam do rodzinnego domu dziecka, w którym otrzymałam prawdziwą, szczerą miłość, od zupełnie obcych ludzi. I dziś jestem tym, kim jestem. Bo tam na pewno bym się zeszmaciła i chyba wpadła... nie wiem... w schizofrenię. Powiem ci, że w takich molochach tak naprawdę nikt nie panuje nad tym, co się dzieje. Zdarza się również, że wychowawcy znęcają się psychicznie i fizycznie nad dziećmi, pomijając mój przypadek. Przetrwają tylko najsilniejsze osobowości, mam na myśli to, że wyjdą na ludzi i rozpoczną normalne życie. Reszta to złom. Nie wiem, jaki jest twój Jacek, czy jest silny psychicznie...

- Wydaje mi się, że tak.
- Ale nie znasz jego wnętrza.
- Chyba nie...
- No właśnie...

- Wiktorio, ty jesteś szczerą, to i ja będę. Jeszcze z nim nie spałam, tylko się pieścimy całujemy, wiesz... Lubię to z nim robić... Podniecam się cholernie... Ale jakoś boję się, nie wiem... A w domu, w łóżku... no wiesz... masturbuję się. Może to śmiesznie brzmi w dzisiejszych czasach, ale jeszcze jestem dziewicą. Moje ciało to ciągle świątynia dla chłopaka.

Wiktoria spojrzała na nią ze spokojem.

- Dlaczego to ma być śmieszne? Ja dość późno miałam swój pierwszy raz z chłopakiem i wcale nie mam z tego powodu kompleksów. On ma rzadkie imię - Klaudiusz. Jest uroczy, no, może nie tyle w sensie cech fizycznych, co zresztą jest rzeczą gustu, ile cech charakteru. Poznaliśmy się półtora roku temu, potem zamieszkałam u niego. Na razie odkładamy ślub. Najpierw ja muszę skończyć studia, a on od miesiąca jest w Irlandii. Złapał dobrze płatną pracę, chce zarobić - jak mówi - na naszą wspólną długą i szczęśliwą drogę. Czasem jest trochę górnolotny, ale mnie się to podoba. Skończył studia techniczne, ale wiesz... te „skumbrie w tomacie”.

- Gałczyński.

- Właśnie. Ciągle aktualny, więc pojechał do Irlandii. Tęsknię za nim, jednak nasza rozłąka trochę potrwa.

- Masturbujesz się?

- Tak. Co pewien czas trzeba się rozładować. Brak mi kochanego mężczyzny, a masturbacja nie jest żadnym zboczeniem, tylko, hmm, zewem natury. Nie słyszałaś o tym? Przecież nie polecę do sąsiada, żeby mnie bzyknął, bo właśnie mam apetyt na seks. Na szczęście do takiego etapu rozwoju społecznego jeszcze nie doszliśmy. Wolę sama to zrobić. Ale ludzie wstydzą się mówić o tym, nie przyznają się do tego, co w gruncie rzeczy robią. Oczywiście, jest to normalne - przecież nikt nie będzie latał po ulicach i krzyczał: „Ludzie, słuchajcie, dziś w nocy się masturbowałem!”. No, po prostu kupa śmiechu! Zresztą - kogo to obchodzi? Wzięliby takiego za wariata, i słusznie. Mam się samowolnie rozgrzeszać z czegoś, co jest mi z natury przynależne w razie nagłej potrzeby? Czujesz bluesa?

Anna ze zrozumieniem i niejakim podziwem w oczach potrząsnęła głową.

- Jasne.

- No właśnie. Ludzka rzecz. I zwierzęca. Zwierzęta też to robią, jeśli nie mają

partnera. Tak natura urządziła ten świat. Albo Bóg, jak kto woli.

- Wspaniała z ciebie dziewczyna, bardzo cię polubiłam - uśmiechnęła się Anna, cmoknęła ją w policzek i sięgnęła po kubek.

Wiktoria zmieniła temat.

- Te plakaty na mieście reklamujące dzisiejszy wernisaż... Chodzi o ciebie?

- Tak. Wpadniesz o szóstej?

- Jasne. Obowiązkowo. Czyli artystka z ciebie!

- Dopiero zaczynam.

- No to powodzenia na drodze kariery.

- Nie dziękuję, żeby nie zapeszyć.

Wiktoria skrobnęła łyżeczką po lodach.

- A tak przy okazji sztuki... Słyszałam, że urządziłaś dziś w szkole jakieś przedstawienie.

- Jakie tam przedstawienie?! - parsknęła śmiechem dziewczyna. - To był teatr jednego aktora i jednego widza! Bez jupiterów, ale za to przy szeroko otwartej kurtynie - dodała, markując rozchylenie rozpiętej bluzki.

Wiktoria nie wytrzymała, prawie zakrzuszyła się lodami.

- No, był i drugi widz, gapowicz, bo skubany nie zapłacił za bilet. Ale niech mu będzie! Co mi tam szkodzi - ciągnęła Anna. - Musiałabyś widzieć minę Romeczka. Myślę, że dostał orgazmu za darmo, bez fizycznego wysiłku.

- Masz odwagę.

- Cóż... A wiesz, jak go bajerowałam?

- Nie wiem, czy chcę wiedzieć... No dobra, zaryzykuję. Mów.

Kiedy opowiedziała jej o całej scenie, Wiktoria nie dowierzała.

- Masz tupet, bez dwóch zdań! Potrafisz być wręcz demonicznie inteligentna.

- Na każdego chama trzeba znaleźć sposób. Ktoś musi się poświęcić, w końcu niczego mi nie ubyło.

- Nie obawiasz się żadnych kłopotów w szkole?

Anna prychnęła wargami.

- Najmniejszych.

- A jak w poniedziałek wezwie cię dyrektor?

- Spoko! Nikt mnie nie zakabluje, nikt też nie nagrywał mojego wystąpienia na komorę, żeby później jakoś to wykorzystać. Wiem, że czasem różni psychole w innych szkołach tak robią. Ale nie u mnie. Poza tym ten chamuś nie będzie chciał mnie zakablować,

bo najzwyczajniej w świecie by się ośmieszył. Zresztą on już się ośmieszył, jest zwykłym zerem. I takim pozostanie. A ma taką fajną siostrę! Ich rodzice też są w porządku.

- Wiem.

- A ty dałaś się na niego nabrać, co?

- Nabrać? W jakim sensie?

- No... Nie znałaś go, w pierwszej chwili mogłaś dać się złapać... Pewnie ścigał cię oczami.

- I na ściganiu się skończyło. A to, co się stało... Nie wiem, ile wiesz...

- Wszystko. No, raczej prawie. Nie tylko ja.

- Cóż... plotki szybko się roznoszą. Nie chcę tego wspominać.

- Rozumiem. Wiktorio... To, co ja zrobiłam, było tylko niewinnym przywitaniem...

Dopiero jutro gnojek dostanie do wiwatu, tak że zapomni, jak się nazywa.

Wiktoria spoważniała.

- Co zamierzacie zrobić?

- Lepiej, żebyś o tym nie wiedziała.

- Myślisz?

- Jestem nawet o tym przekonana. Na pewno dowiesz się po fakcie - na chwilę umilkła, po czym podjęła stanowczym, ostrym tonem, patrząc jej prosto w oczy: - Wiktorio, żaden zboczeniec czy inny dewiant nie będzie nas, dziewczyn, gwałcił - siłą ani jakimkolwiek podstępem. Ten psychol otrzyma taką nauczkę, że będzie chciał się zapaść pod ziemię. To stanie się jego wielkim marzeniem. I będzie lepsze od kary więzienia za próbę gwałtu.

Wiktoria zwiesiła wzrok i wsadziła łyżeczkę do kubka.

- Smaczne te lody prawda? - powiedziała cicho.

- Tak, przepyszne - uśmiechnęła się Anna i oblizwała wargi, zagłębiając łyżeczkę w swoim kubku. A po chwili dodała ze smutkiem: - Żal mi będzie jedynie Justyny. Nic tu nie zawiniła, jest taka sympatyczna...

* * *

Klub Planeta mieścił się w byłej hurtowni materiałów budowlanych, olbrzymiej hali ulokowanej na krańcu miasteczka, przy drodze na Poznań. Właściciel wpompował w modernizację obiektu sporo pieniędzy, ale przekształcił go w klub z prawdziwego zdarzenia - a jak mawiali niektórzy starsi mieszkańcy - także w siedlisko wszelkiej rozpusty. Miał aspiracje, aby klub stał się znany nie tylko w najbliższej okolicy co nastąpiło dość szybko. Do

prowadzenia sobotnich dyskotek, na których zjawiało się kilkaset osób, ściągał mniej lub bardziej znanych DJ-ów, a jak mu się udało, to także i jakąś gwiazdkę, która choćby zahaczyła o radiową listę przebojów. Klub był czynny codziennie od późnych godzin popołudniowych aż do ostatniego gościa.

Roman, Zenek i Żmija byli już mocno wstawieni. Najtrzeźwiejszy wydawał się Zenek, bo jeszcze kontaktował i wiedział, co się wokół niego dzieje. Właściwie to nie działo się nic specjalnego, panował błogosławiony spokój przy ostrej hardrockowej muzyce. Siedzieli w obszernym wydzielonym barze, prawie połowę stolików zajmowała sama młodzież, starsi w ogóle tu nie zaglądali. Chyba że przez pomyłkę. Dochodziła piąta.

W głowie Romana siedziało tylko jedno - poczucie wściekłego upokorzenia i ośmieszenia, którego doznał przez Annę. Inna sprawa, że chyba już wszyscy wiedzieli o jego wyczynie. Takiego rozwoju wypadków nie przewidywał. Do głowy nie przyszło mu coś podobnego! Nie miał pomysłu na wybrnięcie z sytuacji, w którą sam się wpakował. A wszystko przez Wiktorię. Gdyby nie zamieszkała u jego rodziców, nawet by o niej nie myślał. Spotkanie jej w niedzielę przed Irlandią dawno by mu wywietrzało z głowy, a już całkiem na pewno nie doszłoby do tego, co nastąpiło. Zaprzagnął ją mieć i tyle. Szykował się na śliczną Annę, a tu stanęło mu na drodze coś jeszcze wspanialszego. No nie mógł tego ominąć.

Że też tej cholерnej Beacie zachciało się przylazić do Justyny! Chociaż, niechby i przyszła. Tylko po diabła poszły na ławkę przy wolierze! Jeszcze dostała jakiś telefon i zaczęła ryczeć. Dopiero wtedy poszły. Ale pić jej się tam zachciało. A ta wredna zdzira musiała akurat jego butelkę chwycić! Głupia cipa! Ze stolika. Jakby nie mogła sięgnąć do lodówki! I takie rżnięcie przerznąć! Jak to się mogło stać? Absolutny przypadek. To się w pale nie mieści! Stało się. I co teraz? Uchlać się w sztok? Anna ma wspaniałe piersi - krągłe i jędrne. Prawdziwe cudo! I posuwa ją ten dupek z bidulca, to niewiarygodne. Pożałuj! Zapłacę mi za to! - myślał Roman, wlewając w siebie kolejne piwa.

- Romek, idziemy do domu, mam dość - mruknął pijackim głosem Żmija i próbował wstać, ale mu się nie udało. Stracił równowagę i bezwładnie zwałił się na posadzkę.

Roman uniósł głowę, rozejrzał się dokoła błędnym wzrokiem.

- Nigdzie nie dziemy... - zaczął. - Weś jeszcze piwo... mam kasę... - skupił zamglone oczy na Zenku. - Zeniu, a co sss tobą?...

- A co ma być?

- No widzę, że... że... siedzisz czy stoisz...

- No, siedzę... Romek, załatwię jakiś transport i spadamy do domu.

- Nidzie nie ide... A s nimi wszystkimi to sie jesz-cze policzę... Popamiętają mnie...

Zobaczy-ysz Zeniu... Weź piwo... nie, weź... czy piwa... A w jasną cholereę z nimi... - wybelkotal i walnął głową o blat stolika.

* * *

Na wernisazu w galerii Wyobraźnia Art zgromadziło się kilkadziesiąt osób, i to nie tylko miłośników malarstwa czy ludzi z kręgu kultury. Tak to już bywa na tego rodzaju imprezach, że znajdują się na nich osoby, które przychodzą jedynie po to, aby skorzystać z okazji do wypicia darmowego wina i zjedzenia słodczy. A ile tego wszystkiego jest i co konkretnie da się zjeść, to zależy już od samego artysty, ponieważ to on okazuje się fundatorem, jeśli galeria nie ma pieniędzy.

Oczywiście nie zabrakło rodziców Anny, jej przyjaciół i prawie całej klasy. No i Wiktorii. Był też Antoni Raczkiewicz, którego bardziej zdawała się interesować Wiktoria niż gwiazda dzisiejszego wieczoru. Młodą artystkę powitał prezes galerii, niespełna sześćdziesięcioletni Zygmunt Szot, zresztą świetny portrecista i pejzażysta.

Anna zrobiła się na bóstwo. Szczerze powiedziawszy, wyglądałaby równie atrakcyjnie, gdyby włożyła na siebie jutowy worek (patrzac na nią, śmiało można było stwierdzić, że nie szata zdobi człowieka). Teraz jednak ubrana była w czarną jedwabną suknię z dekoltem, w który wpięta była czerwona róża.

Szot przedstawił całkiem już dojrzały dorobek Anny, która tworzyła w rozmaitych technikach. Zaprezentowane na wystawie prace powstały w ciągu ostatniego roku. Obejmowały malarstwo olejne i rysunek, a zostały ujęte w cztery cykle. Były to pejzaże, martwa natura, ludzkie twarze i erotyki. Wcześniejszych obrazów Anna nie chciała pokazać, ponieważ uznała, że są niedopracowane.

- Nasza młoda i utalentowana artystka trzyma się realistycznej wizji świata. Wciela się w rolę wnikliwego obserwatora i analityka, a w swoich pracach przekazuje wynikające z własnych obserwacji subtelne wrażenia i odczucia - podsumował Zygmunt Szot i poprosił Annę o autoprezentację.

Bez najmniejszej tremy zaczęła opowiadać przybyłym o swojej pasji, o jej początkach, o obecnej sytuacji, a także o planach na przyszłość, a te były ambitne. Otrzymała brawa od gości, a od prezesa galerii piękne kwiaty. Teraz wszyscy mogli dokładnie zapoznać się z trzydziestoma pracami. Wiktorię zafascynowały obrazy i rysunki Anny, nie mogła wyjść z podziwu. Obejrzawszy wszystkie, podeszła do dziewczyny która rozmawiała z Jackiem, Beatą, Justyną.

- Szczerze ci gratuluje! - niemal wykrzyknęła. - Coś wspaniałego! Pokazałaś, że masz talent - ucałowała ją w policzek.

- Dzięki. Zapraszam do sali obok na kawę i ciasto. Za jakiś kwadrans, dobrze? Musisz koniecznie przyjść!

Wiktoria skinęła głową i dalej oglądała prace. Widząc, że Anna udziela wywiadu Raczkiewiczowi, mimo woli zaczęła się przysłuchiwać. Dziewczyna czuła się swobodnie, i to raczej nie dlatego, że dziennikarz wyraźnie starał się ją zbajerować i zadawał pytania, które sugerowały odpowiedź. Po prostu rozmawiała z wielką swadą, tak jak osoba, która wie, co pragnie osiągnąć i do czego zmierza.

- Słuchaj! Nie podpowiadaj mi, o czym mam mówić, bo napiszesz to tendencyjnie! Pochrzanisz wszystko, a tego sobie nie życzę - upomniała go nagle, co szczerze rozbawiło Wiktorię. Puściła oko do Anny i uniosła dłoń z kciukiem sterczącym jak maszt.

Raczkiewicz też zauważył jej gest i nieco się stropił, więc przegarnął swoje krótkie, sterczące włosy, obficie zaprawione żelem. Od tej chwili stał się ostrożniejszy.

W jakiś czas później rodzice, a także przyjaciele i znajomi Anny zasiedli do poczęstunku w pomieszczeniu obok sali wystawowej. Wśród szerokiej gamy napojów nie można było dostrzec choćby grama wina, o piwie nie wspominając. Wszystko bezalkoholowe.

Wiktoria siedziała obok Justyny, która nie miała najlepszego humoru. Zresztą, obie go nie miały, uśmiechy na ich twarzach niezbyt dokładnie maskowały narastający niepokój i smutek. Bezcelność brata tej dziewczyny, który złożył na policji zawiadomienie o molestowaniu, była dla Wiktorii tak porażająca, że nie wytrzymała. Coś puściło w jej psychice i wtedy zasłabła. Myśl o tym ciągle do niej powracała. Była ciekawa, co ten drań nałgał, żeby uchronić własny tyłek. Wkrótce się dowie.

W pewnej chwili musiała wyjść do toalety, która mieściła się w owalnym korytarzu biegnącym wokół zabezpieczonego solidną żelazną barierą wnętrza wieży. Gdyby ktoś mający kłopoty z błędnikiem spojrział w dół tego kotła, zakreśliłoby mu się w głowie. Kiedy wychodziła, zwróciła uwagę na nieznanego - rosnącego, króciutko ostrzyżonego blondyna z kolczykiem w lewym łuku brwiowym, który stał w wykuszu okiennym z Anną i Jackiem, kilka metrów za toaletą. Rozmawiali o czymś cicho, konspiracyjnie. W pewnej chwili Anna i Jacek zaczęli mocno gestykulować; mówili z ekspresją, ale cały czas po cichu, jakby odstawiali przed nim jakąś szopkę. Chłopak przyglądał się im z półuśmiechem i potakiwał głową. Tak byli sobą zaaferowani, że nie zauważyli Wiktorii, do której podszedł Raczkiewicz.

- Widzę, że lubi pani także malarstwo - zagadnął.

- Owszem, nawet bardzo, choć malować nie umiem - odparła i wróciła do gwarnej sali, a on natychmiast ruszył za nią.

- A które prace podobają się pani najbardziej?

- Erotyki. Są niezwykle zmysłowe.

- Mnie też! - błysnął snopem iskier z oczu. - Więc mamy coś ze sobą wspólnego.

- Oczywiście, tak jak człowiek z człowiekiem.

- Pani Wiktorio... czy później...

- Później już było, panie Antoni, a pan nie potrafił tego wykorzystać - uśmiechnęła się, usiadła przy stole i poczęstowała się kawałkiem smacznego jabłecznika. Wdała się w pogawędkę z rodzicami Anny i innymi osobami.

Raczkiewicz zdjął z szyi aparat cyfrowy schował go do torby i wyszedł z sali. Na korytarzu zatrzymał się przy Annie i Jacku, którzy właśnie kończyli rozmowę z chłopakiem z kolczykiem.

- Twój wernisaż i cała wystawa są wspaniałe! - powiedział do niej.

- Dzięki. Tylko dobrze o tym napisz i daj najładniejszą fotkę. Pamiętaj, że muszę być na niej w otoczeniu zwiedzających, samej siebie nie chcę.

- Masz to jak w banku! - zapewnił ją, po czym zniknął w toalecie.

Chłopak z kolczykiem zbiegł na dół, a Anna i Jacek wrócili do sali. Do Wiktorii podeszła Justyna.

- Chyba już pójdę - powiedziała.

- Ja też. Podwożę cię, a potem muszę jechać na policję.

Pożegnały się z Anną, jeszcze raz pogratulowały jej talentu, po czym wyszły.

- Ciągłe siedzi mi w głowie ten fałszywy donos mojego... Ech, brak mi słów na niego - mówiła Justyna, kiedy wsiadały do wozu. - Co on nabredził?! To się w głowie nie mieści! Co za porąbaniec!

- Za kilkanaście minut będę wiedziała, co nakłamał. Ale czuję, że przyjdzie mi się bronić. Nieprawdopodobne! Będę musiała udowadniać, że nie jestem wielbłądem.

- Wiesz, Wiktorio... Gdyby to ode mnie zależało, to wszelkiej maści gwałciciele dostawaliby tylko jedną karę: oderżnięcie fiuta razem z jajami.

- Dobrze sobie pomarzyć...

W kilka minut później dotarły do gospodarstwa. Ucałowały się, a Justyna wysiadła.

- Trzymaj się!

Wiktorcia uśmiechnęła się, skinęła głową i skierowała się w stronę komendy policji.

* * *

Jeszcze kilka dni temu Roman wybrałby się na wernisaż Anny. Udawałby znawcę malarstwa, podziwiałby jej obrazy, chwalił ją za talent i być może tym sposobem zarobiłby u niej kilka punktów. Do tej pory nie oglądał żadnego jej obrazu ani rysunku. Wiedział tylko, że coś maluje w piwnicy bloku, w którym mieszka, że ma tam swoją pracownię, którą urządził jej ojciec. Lecz w obecnej ponurej sytuacji pójście na wernisaż stało się niemożliwe.

Cały czas przesiadywał ze Żmiją w Planecie. Zenka nie było, wolał wrócić do domu o własnych siłach w miarę trzeźwy, żeby rodzice się nie połapali, a przynajmniej - żeby udawali, że niczego u syna nie zauważyli. Po przespaniu się - Roman z głową na blacie stolika, a Żmija na posadzce - wytrzeźwieli w sam raz na tyle, żeby zacząć pić od nowa. Ponieważ nie rozrabiali, młoda barmanka nie czepiała się ich, zresztą znała ich doskonale. Mieli tu opinię klientów spokojnych, chociaż niekiedy za bardzo wesołych i krzykliwych.

Z nieco jaśniejszym umysłem Roman wracał myślami do niefortunnej nocy z Wiktoria, co odbijało mu się przykrą czkawką. Tylko ta nieobliczalna Anna ze swoim upokarzającym cyrkiem...! Ośmieszenie ośmieszeniem, zakładał coś takiego, w momencie gdy zdecydował się pójść na policję, ale nie przewidywał takiego wyskoku dziewczyny. Sprawa się rozniosła. Kolejne piwo jakoś złagodziło te cierpiętnicze rozmyślania.

* * *

Czuła się nieswojo, wchodząc do komisariatu policji. Nigdy w życiu nie była w takim miejscu, a już na pewno nie szła na przesłuchanie w sprawie o molestowanie seksualne jakiegoś chłopaka. To przechodziło jej najśmielsze wyobrażenia, lecz było realną rzeczywistością, do której chwilowo musiała się jakoś przyzwyczaić. Zresztą, była przyzwyczajona do jeszcze gorszych rzeczy, o jakich nie śniło się chłopakom pokroju Romana.

Siedziba policji mieściła się w starym piętrowym budynku, naprzeciwko pięknego parku miejskiego, kilkaset metrów za rynkiem. Kiedy Wiktoria przedstawiła się oficerowi dyżurnemu, ten chwycił za telefon, a po chwili pojawił się przed nimi aspirant sztabowy Jerzy Krasicki.

- Jak się pani czuje? - przywitał się z nią.

- Dobrze. Po prostu przeżyłam szok i od tej chwili już nic nie będzie mnie w stanie zaskoczyć.

Uśmiechnął się do niej półgębkiem, po czym oboje przeszli do jego biura,

umeblowanego starym sprzętem, gdzieś sprzed ćwierć wieku. Wskazał jej krzesło przy biurku, na którym stała leciwa maszyna do pisania marki Olympia, i też usiadł. Mocno westchnął, sięgając po kartki ze zgłoszeniem i zeznaniami Romana Stankiewicza. Przez chwilę wpatrywał się w nie badawczo, po czym spojrzał na Wiktorię. Sprawiała wrażenie spokojnej.

- Przesłucham panią w charakterze świadka w sprawie o molestowanie seksualne Romana Stankiewicza - zaczął urzędowym tonem i wkręcił do maszyny druk protokołu, w którym miał już zapisane dane personalne dziewczyny, po czym pouczył ją o karze za składanie fałszywych zeznań oraz o prawie do uchylania się od odpowiedzi, jeśli mogłoby to narazić ją na odpowiedzialność karną. - Proszę przedstawić swoją wersję zdarzeń, poczynając od momentu poznania Romana Stankiewicza. Słucham - dodał i uniósł dłonie nad klawiaturą.

Wiktoria mówiła rzeczowo. Przedstawiała kolejno fakt po fakcie, wyjaśniając sprawę na tyle wolno, żeby policjant nadażył z zapisywaniem jej słów, gdyż było widać, że maszynopisanie nie jest jego mocną stroną. Zajęło im to niemal dwie godziny.

Potem odczytała swoje zeznania, skorygowała je w dwóch czy trzech miejscach, gdyż niektóre zdania brzmiały nieprecyzyjnie. Po naniesieniu przez niego poprawek podpisała protokół i zwróciła się do śledczego:

- Kiedy się dowiem o konkretnych zarzutach tego... Stankiewicza?

Aspirant chwycił leżący z boku dokument.

- Odczytam je, pomijając jego personalia - powiedział i zaczął:

W poniedziałek, 14 maja, wróciłem dość późno do domu, po jedenastej wieczorem. Pani Wiktoria Malińska, która dzień wcześniej wynajęła na kilka dni domek u moich rodziców, musiała czatować na mnie, gdyż stała przy swoim domku, w którym paliło się światło, i niegłośnym zawołaniem poprosiła, żebym do niej przyszedł. Poszedłem, zaintrygowany a ona zaprosiła mnie do środka. Miała na sobie męskie bokserki i T-shirt z napisem N. N. Poprosiła, żebym usiadł przy stoliku i zaczęła świdrować mnie spojrzeniem. Poczulem się nieswojo. Zapytała, czy mam w domu jakieś wino albo piwo. Odparłem, że nie. Wtedy pani Malińska wyjęła z lodówki małą butelkę wody mineralnej i zapytała, czy się czegoś nie napiję, bo jest gorąco. Nie miałem na nic ochoty, więc odmówiłem. Po chwili znowu powiedziała, że jest duszno, cały czas przewiercając mnie na wylot oczami. A ja odpowiedziałem jej, że niech sama się napije tej wody, żeby ugasić pragnienie. Ale ona tylko się powabnie uśmiechnęła i zaczęła powoli ściągać z siebie koszulkę przez głowę. Patrzyłem, patrzyłem, nie wierzyłem, a ona stanęła przede mną naga do połowy. Nagle chwyciła moją rękę i położyła ją na swojej piersi. I zaczęła ją pieścić. Byłem zszokowany jej zachowaniem.

Powiedziała, że nie jest dziwką - ani tanią, ani drogą, bo wcale nią nie jest, ale ja się jej spodobałem i chciałaby się ze mną... kochać... to znaczy... powiedziała bardzo wulgarnie, żebym ją przeleciał. Wtedy nie wytrzymałem, wyszarpnąłem jej rękę i wstałem, a ona zaraz zagroziła, że jeśli nie pójdę z nią do łóżka, to powie moim rodzicom, że chciałem ją brutalnie zgwałcić. Dorzuciła, że rozdmucha to wszystko w szkole i będę miał bardzo duże kłopoty. Aha, jeszcze dodała, że zgłosi się też na policję i powie, że chciałem ją podstępnie zgwałcić. I wtedy już będę załatwiony na cacy. Jednak nie bałem się jej gróźb i szybko wyszedłem. Nie mówiłem nikomu o tym incydencie, bo byłoby mi wstyd. Wydaje mi się, że w tej butelce wody mineralnej musiał się znajdować jakiś narkotyk, bo co by szkodziło, żeby pani Malińska się z niej napiła, jeśli było tak gorąco, a rzeczywiście tak było. Myślę, że ona ma jakieś narkotyki, a może i nimi handluje. W następnych dniach ponawiała dyskretnie - przy różnych przypadkowych okazjach - swoje propozycje seksualne, co już stało się dla mnie nie do zniesienia. Postanowiłem więc zgłosić to wszystko na policję.

Aspirant odłożył dokumenty i spojrzał pytająco na Wiktorię, która wzruszyła ramionami.

- Szkoda, że nie powiedział, iż zamierzam się ubiegać o urząd prezydenta Rzeczypospolitej w najbliższych wyborach - rzuciła spokojnie. - Pasowałoby to jak ulał do treści jego zawiadomienia - nawet się nie uśmiechnęła. - Mogę rzucić na to okiem?

Policjant podał jej papiery, które czytała z kamienną twarzą. Sekundę poświęciła na analizowanie całkiem czytelnego podpisu młodego Stankiewicza, po czym zwróciła dokument.

- Ale to nie wszystko, proszę pani.

- Jest coś jeszcze? - teraz się zdziwiła.

- Otóż... musimy zrobić rewizję w domku, w którym pani mieszka...

- Dziś rano wyprowadziłam się stamtąd.

- ... i w pani samochodzie.

Oparła się łokciem o blat biurka, podparła dłonią czoło i ciężko westchnęła.

- W zawiadomieniu Stankiewicza są sugestie o posiadaniu przez panią narkotyków, musimy to sprawdzić - odezwał się po długiej chwili aspirant Krasicki.

- A już myślałam, że chodzi o coś gorszego - rzekła z sarkazmem. Nagle wstała i przesadnie sztucznym gestem zaprosiła policjanta do drzwi. - Proszę bardzo, czym chata bogata i samochód też!

Wpatrywał się w nią spokojnie.

- Proszę usiąść - rzekł, a kiedy niemal bezwiednie opadła na krzesło, wyraz jego

twarzą zmienił się na nieco pobłażliwy. - Obowiązują mnie procedury przesłuchań.

- Oczywiście.

- A tak na marginesie, pani Wiktorio... Gdyby to pani zgłosiła nam próbę gwałtu, to nie pani by się teraz tłumaczyła, tylko ten szczeniak.

- Ale ja nie miałam i nie mam na to żadnych dowodów.

- A on ma? - uśmiechnął się aspirant. - Na razie to pani słowo przeciwko jego słowu.

- Słowa, słowa, słowa...

- Przyjechała pani do nas wozem?

- Tak, stoi na parkingu przed komisariatem.

- Więc zaczniemy od niego.

Przeszli do dyżurki. Sierżant Zbigniew Sołtysik rozmawiał tam właśnie z dyżurnym funkcjonariuszem. Krasicki wydał sierżantowi polecenie, aby wraz z Wiktorią sprowadzili porsche na dziedziniec na tyłach komisariatu. Zajęło im to kilka minut. Skrupulatnym przeszukaniem wnętrza wozu zajął się sierżant, który specjalnie w tym celu założył lateksowe rękawiczki. Wiktoria i Krasicki przypatrywali się rewizji - aspirant spokojnie, ona jakby z rezygnacją, w jej oczach nie było blasku. Obojętnie wpatrywała się w samochód, nigdzie nie błędziła wzrokiem. Po kwadransie sierżant dał za wygraną. Niczego nie znalazł.

- Wobec tego, pani Wiktorio, jedziemy do gospodarstwa Stankiewiczów.

Wzruszyła ramionami. Cała trójka pojechała radiowozem. Krasicki wszedł do jadalni, gdzie zastał Iwonę Stankiewicz i Justynę. Przedstawił im sprawę i poprosił, aby otworzono mu domek, który poprzednio zajmowała Wiktoria. Spotkał się z zaskoczeniem, zwłaszcza mamy Justyny.

- Idź, idź z tym panem, bo ja nie mam sił na coś takiego... - powiedziała nieco podenerwowana matka. - Doprawdy, panie Krasicki, kogo ja przyjąłem pod swój dach, no, kogo! Taką... niech pan sam powie...

- Pani Stankiewicz, sugeruję, żeby powstrzymała się pani od wyrażania jakichkolwiek opinii w tej sprawie, dobrze? - upomniał ją aspirant.

- No tak, oczywiście, panie Krasicki, ale przecież...

- Bardzo panią proszę - przerwał jej, tym razem stanowczo. - Będzie się pani mogła wypowiedzieć, jeśli o to poproszę. Ale na razie tego nie zrobiłem.

Wykrzywiła twarz i pokiwała głową. Justyna wzięła klucze i wyszła z policjantem. Przy domku czekali już na nich Wiktoria i sierżant. Nim Justyna otworzyła drzwi, podeszła do Wiktorii.

- Przykro mi - powiedziała.

- W porządku.

Otworzyła drzwi i zapaliła światło. Sierżant ponownie założył rękawiczki i przystąpił do metodycznego przeszukania całego pomieszczenia. Aspirant i Wiktoria przyglądali się mu w milczeniu, oparta o ścianę Justyna miała zwieszoną głowę.

Po kilku minutach sierżant wyciągnął z dolnej szuflady lodówki foliową torebkę z trzema bezbarwnymi tabletkami gwałtu oraz sześcioma tabletkami amfetaminy i czterema ecstazy. Ktoś przykleił ją kawałkiem taśmy do wewnętrznego boku szuflady.

- Cóż, nie wysiliłam się zbytnio! Ale to wina braku wyobraźni. Nigdy nie miałam jej w nadmiarze, a na dodatek muszę jeszcze mieć porządną sklerozę, że zapomniałam je zabrać dziś rano, kiedy się wyprowadzałam - skwitowała kwaśno Wiktoria i wyszła na werandę. Usiadła bez życia. Po chwili dosiadła się do niej Justyna i objęła ją.

- Wiktorio, ten łajdak ci je podrzucił, mój... brat... braciszek - powiedziała cicho i płacząco. - Co teraz będzie?

- Teraz będę się bronić - odparła beznamiętnie, lecz bez najmniejszego przekonania. - Pewnie zaraz mnie zamkną.

- Co takiego?! - Justyna odskoczyła od niej jak oparzona.

Wiktoria chwyciła ją za skórzaną bransoletę na prawej ręce i zaczęła opukiwać palcami obłe kolce.

- Posiadanie prochów jest u nas karalne.

- Ale przecież one nie należały do ciebie! Ja ci wierzę.

- Ty możesz mi wierzyć, dzięki za to. Ale wiara to za mało. Najpierw trzeba to udowodnić, a ja tego nie potrafię. Nie wiem... muszę się zastanowić.

Justyna pochyliła głowę, ukryła twarz w dłoniach i cicho załkała.

- Co za świr...! Porąbaniec...! Zboczeniec...

Gdy policjanci wyszli, Krasicki stanął przed Wiktoria.

- Czy to pani narkotyki?

- Nie.

- Niestety, muszę zatrzymać panią w policyjnej izbie zatrzymań, aż do czasu wyjaśnienia całej sprawy. Takie są procedury - powiedział spokojnie.

W milczeniu wstała i zeszła z kilkustopniowych drewnianych schodków. Justyna z niedowierzaniem w oczach patrzyła to na policjanta, to na przyjaciółkę. Zamknęła domek, podbiegła do niej i objęła ją.

- Jutro cię odwiedzę.

- Justyno, to niemożliwe - odezwał się aspirant Krasicki. - Żadnych odwiedzin.

- Dlaczego?

- Takie mamy przepisy.

- Rany!

- Powiedz mi, czy w domu jest twój... braciszek? - zaakcentował ostatnie słowo.

- Nie. Nie mam pojęcia, gdzie jest i kiedy wróci.

- Nie szkodzi... To znaczy w pewnym sensie szkodzi - westchnął, zerkając ze współczuciem na Wiktorię. - Postaram się jak najszybciej doprowadzić do konfrontacji was obydwójga. Powiedzmy że jutro, o godzinie dziesiątej.

Wiktoria skinęła głową. Zatrzymali się przed domem. Krasicki wszedł do środka, oni zaś pozostali na zewnątrz. Iwona Stankiewicz z napięciem wpatrzyła się w twarz policjanta, który z teczki wyciągnął bloczek druczków i długopis.

- Mogę na chwilę usiąść?

- Naturalnie. Czy może mi pan powiedzieć, co dała rewizja?

Krasicki usiadł. Zastanawiał się, ale nie widział powodu, dla którego miałby nie poinformować właścicielki gospodarstwa o wynikach oględzin.

- Znaleźliśmy niewielkie ilości narkotyków.

- A widzi pan! - podnieciła się. - Kogo ja tu przyjąłem, Boże drogi! Kogo ja przyjąłem...! Syna chciała mi zbałamucić! Na szczęście się nie dał. A tu jeszcze narkotyki! Ładne rzeczy.

Policjant mocno się starał, aby nie walnąć baby w gębę, bo aż się w nim zagotowało.

- Właśnie, a gdzie jest pani syn?

- Nie mam pojęcia. Pewnie gdzieś u kolegi.

- Zostawię dla niego wezwanie na komisariat, na jutro na godzinę dziesiątą - oświadczył i zaczął wypełniać druczek.

- Ale przecież on już złożył panu doniesienie, panie... Krasicki... panie aspirancie - stęknęła nieco roztrzęsiona i też usiadła naprzeciwko niego.

- Chodzi o konfrontację jego zawiadomienia z zeznaniami, które złożyła pani Malińska.

- Oho!... To ja już sobie wyobrażam, co ta... Malińska nakłamała panu, bo gadane to ona ma, takie, że ho, ho! Już ja się na niej poznałam!

Krasicki przerwał pisanie, wpatrzył się w nią zimno i przez kilka sekund nic nie mówił. Stankiewiczowa nie wytrzymała presji jego spojrzenia, zwiesiła wzrok.

- Umówmy się, że tego nie słyszałem, ale jeśli jeszcze raz zechce pani wyrazić swoją opinię...

- Najmocniej przepraszam, panie aspirancie.

Krasicki wrócił do pisania i zostawił wezwanie na stole.

- Radzę, żeby syn zjawił się u nas punktualnie. Pani Malińska wyprowadziła się dziś rano, tak?

- Tak, nawet nie chciało mi się z nią rozmawiać, nie miałam sił. Mąż załatwił wszystkie sprawy finansowe. Przyznaję, że uregulowała wszystko co do grosza, o to nie mogę mieć do niej pretensji.

- Proszę mi łaskawie powiedzieć, tak na zdrowy rozum... Jak pani myśli, dlaczego pani Malińska, wyprowadzając się, nie zabrała swoich - zaakcentował to ostatnie słowo - narkotyków?

Iwona Stankiewicz otworzyła usta i zastygła w zdumieniu.

- Do widzenia pani - dorzucił i wyszedł.

Justyna, przyklejona do pochmurnej Wiktorii, popłakiwała. Sierżant przyglądał się im ze współczuciem. Dziewczyny pożegnały się szybko.

Kwadrans później Wiktoria znalazła się w izbie zatrzymań. Było to nieduże pomieszczenie z betonową podłogą i pryczą zasłaną kocami. W ciężkich drzwiach widniał zasuwany od zewnątrz lufcik. Zakratowane okno wychodziło na dziedziniec. Pobrano od niej odciski palców i zabezpieczono jej telefon komórkowy, zabrano też sznurówki od jej sportowych butów. Ponieważ procedura tymczasowych zatrzymań wymagała przeprowadzenia rewizji osobistej, konieczne stało się ściągnięcie policjantki, która była już po służbie. Najchętniej aspirant Krasicki odstąpiłby od tego, bo absolutnie nie wierzył w winę Wiktorii, ale przepisy były przepisami i notatka na ten temat musiała się znaleźć w protokole.

Młodszy aspirant Jolanta Kmieciak zjawiła się dość szybko. Trzydziestoletnia, lekko rudowłosa dziewczyna nie miała na sobie munduru. Weszła do izby z miłym wyrazem twarzy, na rękach miała już lateksowe rękawiczki. Zamyślona Wiktoria siedziała na pryczy.

- Przykro mi, ale muszę panią zrewidować - powiedziała. - Proszę się rozebrać.

Wiktoria wstała, rozpięła i zdjęła bluzkę oraz stanik.

- Boże! - jęknęła policjantka, odruchowo zatykając dłonią usta i wpatrując się w jej nieduże, kształtne piersi i skórę na płaskim brzuchu. - Skąd pani to ma?

- Pamiątka po kochanej mamusi z dzieciństwa - odparła nie bez odrobiny ironicznego smutku.

Policjantce łyzy zakreśliły się w oczach.

- Proszę się ubrać, nie będzie żadnej rewizji - powiedziała. - I tak wiemy że jest pani niewinna. Ten szczeniak panią zrobił. Ale mam nadzieję, że mnie pani nie wyda...

Odstąpiłam od rewizji i miałabym duże kłopoty.

- Dobrze, dziękuję.

Wiktoria się ubrała.

* * *

Chyba już czwarty raz tej nocy zerwała się ze snu, co nie zdarzało się jej nigdy. Czyżby to była jakaś choroba? Na jej czole pojawiły się krople potu. I znowu wracała do przeżyć minionego dnia. Chyba było ich zbyt wiele. No i w jakiś sposób musiało się to uzewnętrznić fizycznie, widać akurat bezsennością. Ale, mimo że nie popełniła żadnego przestępstwa, czuła się w jakimś sensie winna zaistniałej sytuacji, miała wyrzuty sumienia. Jednak działało się to w sposób spontaniczny emocjonalny było chwilą, kiedy rozum na pewien czas wziął sobie wolne, nie uprzedzając o tym swojego właściciela, i był zdolny do irracjonalnych zachowań, także tych najbardziej nieprawdopodobnych. Diabelskie podszepty? Nie miała pojęcia.

Jednak problem istniał, skoro po raz któryś z kolei się budziła i tylko o tym rozmyślała. Próbowwała sama siebie rozgrzeszać, lecz po pewnym czasie uświadomiła sobie, że takie działanie nie ma żadnej siły oczyszczającej, a rozgrzeszyć może ją tylko ktoś inny, niekoniecznie duchowny.

Anna, przewracając się z boku na bok i łaknąc snu, który nie chciał powrócić, zapaliła w końcu lampkę przytwierdzoną do ściany nad tapczanem, po czym wstała i sięgnęła po książkę, pierwszą z brzegu. Po przeczytaniu kilku stron odłożyła ją. Nawet czytanie nie szło jej tak dobrze jak zwykle, kiedy potrafiła połykać dziesiątki stron jednego wieczoru. Przeżycia dnia powracały koszmarnym zgrzytem. Aż bolało.

Czy nie przeszarżowała z tym teatrykiem jednego aktora i jednego widza...? Ciągle przypominała sobie tę scenę. Co będzie, jeśli znienawidzony przez nią Roman zrobi z tego powodu jakieś głupstwo? Miałaby go na sumieniu. Jakoś nie potrafiła usprawiedliwić swojego działania. Dopiero, kiedy wróciła do rozmowy z Wiktoria, bardzo intymnej, wręcz masochistycznie szczerzej, to jednak doszła do przekonania, że postąpiła słusznie. A że był to akt spektakularny być może w żadnej szkole dotąd niestosowany... Cóż, czasem trzeba sięgnąć po drastyczne sposoby, aby kogoś czegoś nauczyć, aby dana osoba zapamiętała to na długo, a jeszcze lepiej na zawsze - pocieszyła się w duchu. I wreszcie spokojnie zasnęła. Może to dziwne, ale dopiero tuż przed zaśnięciem pomyślała o swoim debiutanckim wernisazu, podczas gdy to właśnie on powinien stanowić dla niej najważniejsze przeżycie

tego dnia - co tam dnia! - ostatnich kilkunastu miesięcy. Przecież Anna Jurczyk oficjalnie weszła do miejscowej cyganerii. Ale ten fakt zszedł na drugi plan.

Sobota, 19 maja

Justyna bez apetytu jadła w kuchni śniadanie - owsiankę, którą sama sobie ugotowała, i chleb z powidłami. Rozmyślała o kolejnym świństwie swojego brata, czyli o narkotykach podłożonych w domku Wiktorii. Ten człowiek przestał dla niej istnieć już po pierwszym swoim wyczynie, czyli po próbie gwałtu, ale wczorajsze wydarzenie definitywnie przepełniło czarę goryczy. Chciał ją jeszcze bardziej pogryźć. Postanowiła porozmawiać z nim o sprawie Wiktorii - otwarcie i zdecydowanie. Chciała też oznajmić mu coś ważnego, coś, co przemyślała na wszelkie możliwe sposoby.

Lecz najpierw ten drań musi wytrzeźwieć i wyleczyć kaca. Kota nie ma, więc myszy harczą. A raczej jedna młoda mysz w tym domu. Pani Iwona od jakiegoś czasu brała proszki nasenne i sypiała kamiennym snem, więc nie usłyszała, kiedy wrócił syn. Justyna wręcz przeciwnie - wskutek ostatnich wydarzeń miała kłopoty ze snem. Romek przyszedł około drugiej. Słyszała, jak zdejmował ciuchy, które fruwały po ścianach, i jak zwałił się na tapczan, nawet nie wchodząc do łazienki, żeby się choć trochę ochłapać.

Mamusię miał Romeczek owiniętą wokół palca, co od dawna było dla Justyny oczywiste. Potrafił wcisnąć jej najgorszy kit, umiał tak nią zakręcić, że gdyby przyłożył się do tego nieco bardziej, naiwna kobieta byłaby gotowa chodzić za niego do szkoły. Justyna zaś nie czuła się ukochaną pupilką tatusia. Traktował ją zwyczajnie - miłość to miłość, złość to złość - niczym w bezdusznej matematyce. I wszystko to ujęte we właściwe proporcje, żadna nutka nie brzmiała fałszywie. Tata grał, a Justyna słuchała. Rodzeństwo nie walczyło między sobą o miłość rodziców, coś podobnego nigdy nie było tematem ich licznych sprzeczek, nie zazdrościła bratu, że jest pieszczoszkiem mamy.

Rozmyślała o wczorajszym spektakularnym wyczynie Anny, o którym dowiedziała się dopiero dziś rano, od przyjaciółki z ogólniaka, która zadzwoniła do niej z takim newsem. Nie bardzo wiedziała, jak do tego podejść. Znały się z Anną bardzo dobrze, ale o jakiejś serdecznej przyjaźni nie było mowy. Ot, zwykłe koleżeństwo - niezobowiązujące, choć szczere. Oczywiście, doskonale wiedziała, co kierowało Anną, że zdobyła się na taki widowiskowy, niesłychanie odważny, by nie powiedzieć desperacki, czyn - ona po prostu dowiedziała się prawdy o podłości Romana wobec Wiktorii. Pewnie wszyscy już o tym trąbili. Niemniej stała przed dylematem - z jednej strony biła jej brawo za odwagę i swego

rodzaju brawurę, z drugiej zaś strony było jej przykro, ponieważ sprawa dotyczyła jej brata.

Zastanawiała się, czy to wszystko nie wpłynie w jakiś negatywny sposób na postrzeganie jej samej przez przyjaciół i znajomych, czy nie spowoduje, że zaczną o niej mówić z uszczypliwością, iż jest siostrą tego niedoszłego gwałciciela, którego skompromitowano i ośmieszono w szkole. Nie podobała się jej taka wizja przyszłości, niestety, niczego już nie można było cofnąć. Czy miała o to pretensje do Anny?... Doszła do wniosku, że pretensji mieć nie może. Draniowi należała się nauczka.

Kończyła jeść, gdy weszła mama, jeszcze w szlafroku. Nie wyglądała najlepiej, coś ją trapiło i było to dla Justyny oczywiste. Usiadła przy stole i wpatrzyła się w córkę.

- Justynko, ty coś przede mną ukrywasz - zaczęła ostrożnie.

- Nie rozumiem, mamusiu, do czego zmierzasz.

- No... to twoje wczorajsze poranne zachowanie...

- Zachowanie?...

- Tak trzasnęłaś drzwiami, że...

- Trzasnęłam? Drzwi przecież nie wyleciały z futryny. Klamka była śliska i wyslizgnęła mi się z ręki. Dlatego same trzasnęły.

- Już nie opowiadaj! Klamka była sucha! Przecież dotykałam jej przed tobą.

- Mamusiu, musiałaś mieć spocone dłonie.

- Mnie dłonie się nie pocą, nigdy! - ofuknęła ją.

- Jasne! Podobnie jak Romeczkowi, nawet gdy kłamie jak najęty! - mruknęła i przełknęła ostatnią łyżkę smacznej owsianki. - Jemu nawet czoło się nie spoci, taki jest wyszkolony w kłamstwach.

Kłaśnięcie rąk pani Iwony.

- Właśnie, czemu Romeczek jeszcze śpi? - zastanowiła się, zerkając na sufit. - Nawet nie wiem, o której wrócił.

- Skoro ma kaca większego niż stodoła, to trudno się dziwić, że jeszcze śpi.

Matka przybrała minę zgorszzonej dewotki.

- Justynko, nie używaj mi tu takich słów!

- Uważasz, że on pija wyłącznie mleko i herbatę malinową?

- No... Chłopaki raz po raz... Owszem, i piwo zdarzy się im wypić, tak to już jest.

Justyna pochyliła się nad stołem.

- Mamusiu, piwo to mnie się zdarza wypić! - wykrzyknęła z zacięciem. - Mnie! Rozumiesz? Mnie! Na każdej dysce piję!

- Ty... pijesz piwo? Dziecko!

- Mleka tam nie dają. Ale na jednym piwie kończę, mogę cię zapewnić. Lecz jak się wleje w siebie pół browaru, to trudno nie mieć potem kaca.

- Wiesz, Justynko, doprawdy ciężko mi się z tobą ostatnio rozmawia... Te twoje... jakieś fanaberie... Martwię się tym.

- Zły adres!

- Romeczek o dziesiątej musi być na policji, żeby, coś tam... skonfrontować z tą... z tą... Sama widziałaś, narkotyki u niej znaleźli, bo zapomniała je zabrać, ta... mądra ślicznotka. Krasicki dał mi wczoraj do myślenia na temat tych narkotyków... Ze zdenerwowania musiała o nich zapomnieć, kiedy nie udało się jej uwieść Romeczka, mimo tylu prób. Musiało się jej w głowie coś przewracać.

W Justynie wszystko drgało, pulsowało jej w skroniach, ciśnienie w niej rosło, z trudem hamowała się, aby nie wybuchnąć.

- Ty tak blisko się z nią trzymałaś - ciągnęła matka - to może i tobie próbowała podsunąć jakiś narkotyk, co? A może ona jest z jakiejś sekty?... Niedługo wakacje. Czytałam wczoraj w gazecie, że wtedy one najbardziej się ożywiają i szukają naiwnych, żeby przyciągnąć młodych do siebie i deprawować. Kto wie, Justynko...

- To prawda...

- A więc jednak! Przeczuwałam!

- To prawda, że są takie sekty mamusiu, ale nie mieszaj do nich Wiktorii! - wycodziła córka.

- Wiesz, Justynko, ty ciągle jesteś pod jakimś tajemniczym wpływem tej... tej kobiety. Po niedzieli wybiorę się z tobą do poradni psychologicznej, muszę się tylko dowiedzieć, w jakie dni jest czynna.

Justyna trzasnęła otwartą dłonią w stół.

- Mamusiu, przepraszam, ale może sama byś się do niej wybrała? - syknęła i wyszła szybkim krokiem.

Nim weszła do swego pokoju, zajrzała do brata. Ten chrapał w najlepsze, pewnie szczęśliwy jak niemowlę, nie mając pojęcia o życiu. Podeszła do rozwalonego na tapczanie braciszka i spojrzała na niego z jakimś politowaniem.

- Coś ty nam zrobił, ty popaprańcu - szepnęła z żalem i powlokła się do swego pokoju.

Sięgnęła po komórkę i zadzwoniła do Beaty. Musiała to z siebie wyrzucić, przecież jej przyjaciółka też w jakimś sensie w tym tkwiła, była nieświadomą ofiarą jej brata.

* * *

Kilkadziesiąt osób z całej Wielkopolski zjawilo się w sali konferencyjnej Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu. Właśnie odbywał się zjazd przedstawicieli państwowych i rodzinnych domów dziecka i innych placówek opiekuńczych, który zorganizował Wydział Polityki Społecznej poznańskiego urzędu. Problemów było wiele, zdawały się przygniatać zarówno samych zainteresowanych, jak i prowadzących spotkanie. Wśród gości znaleźli się też reprezentanci Centrum Pomocy Rodzinie, Komitetu Ochrony Praw Dziecka, Towarzystwa Profilaktyki Psychologicznej i towarzystwa Nasz Dom.

Kolejny raz zasadniczym tematem spotkania miała być przymiarka do likwidacji państwowych domów dziecka na korzyść placówek rodzinnych i rodzin zastępczych, jak to od lat było praktykowane na Zachodzie. Niestety, w Polsce ciągle istniały wielkie opory co do wprowadzenia zasadniczych zmian w całym systemie opiekuńczo-wychowawczym. Oczywiście, zgadzano się z tym, że państwowe moloche są przynajmniej trzy razy droższe w utrzymaniu, a ponadto nie zapewniają należytego wychowania dzieci. Nie dość na tym, buduje się nowe placówki. W państwowych domach przebywa ponad dwudziestokrotnie więcej dzieci niż w rodzinnych.

- I tak znowu góra urodzi mysz - rzekł z przekąsem Mariusz Turbanowski do swego sąsiada.

- Istnieje potrzeba wprowadzenia drastycznych zmian systemowych, ale w polskiej rzeczywistości to równie realne jak gruszki na wierzbie - odparł Leon Danielski. - Niestety to nam zarzuca się opór w tej materii, że niby bronimy się przed utratą pracy, a w sumie jest nas mała armia.

- A czy to nie jest prawda?

- Owszem, jest. Na początku roku zaprotestowaliśmy przeciwko zakusom likwidacji naszej placówki. I wiesz, co się stało? Wciągnęliśmy w to dzieciaki. Postąpiliśmy nieładnie, wiem, ale większość wychowawców opowiadała się za taką manipulacją, za najprymitywniejszą obroną, jaką można sobie w naszych społecznościach wyobrazić.

- Bo to była manipulacja dziećmi, Leonie. Powiem ci coś: nie ma trudnych dzieci, są trudni dorośli!

- Zgadzam się z tobą.

Turbanowski i Danielski siedzieli w holu przed salą konferencyjną. Znali się doskonale od dawna, w końcu pracowali w takich samych placówkach i w swojej pracy stykali się z podobnymi problemami. Leon Danielski, starszy brat Beaty, był wysokim, szczupłym i przystojnym blondynem. Miał spojrzenie jak jego siostra.

Zmienili temat, zajęli się problemem Beaty i Marcina, który w jakimś sensie też ich

dotyczył. Danielski opowiadał o charakterze i poglądach swego ojca, także na państwowe domy dziecka.

- Znam je bardzo dobrze, kilkakrotnie miałem okazję z nim rozmawiać - przyznał Turbanowski. - Cóż... Ma rację, niestety.

- Na szczęście, gdy idzie o Beatę, pogodził się z faktem, że jest w ciąży, ale nie przyszło mu to łatwo.

- To dobrze, że rozumiał. A to, że ci młodzi poważnie utrudnili sobie życie, już na starcie, jest wyłącznie ich zasługą.

Leon Danielski pokiwał głową i przeskoczył na inny temat:

- Jak sprawuje się Wiktoria? - uśmiechnął się zagadkowo.

- Wiktoria? - zdumiał się Turbanowski. - Wiktoria?... Skąd wiesz, że...?

- Bo powiedziała mi, że wybiera się do W, aby zebrać materiał do swojej pracy dyplomowej, także w twojej placówce.

- Czemu mnie nie uprzedziłeś?

- Chciała zachować anonimowość.

- Cóż... Wiktoria... Ma poważny problem... - westchnął Turbanowski i opowiedział Danielskiemu o jej kłopotach. Leon nie mógł w to uwierzyć.

- Co za drań!

- To zbyt delikatne określenie na tego chłopaka, wręcz pieszczotliwe.

- I co teraz będzie?

- Mam nadzieję, że się jakoś wybroni. Jest inteligentna.

- Bardzo inteligentna.

Naraz odezwał się telefon komórkowy Turbanowskiego. Dzwonił Janusz Tomczyński, jeden z wychowawców, opiekun gromady, w której między innymi znajdował się Jacek. Twarz Turbanowskiego z każdą chwilą szarzała. Kiedy skończył rozmowę, przez chwilę milczał.

- Wczoraj wieczorem policja aresztowała Wiktorię za posiadanie narkotyków - powiedział minorowym tonem.

- Ona i narkotyki?... To mi do niej nie pasuje, Mariuszu - Danielski potrząsnął przecząco głową. - Dość dobrze ją znam: ją samą i jej życie. To niemożliwe.

- Ten łajdak podrzucił jej prochy do domku.

- No to zrobiło się nieciekawie...

* * *

Wiktoria niewiele spała tej nocy. Zapadała właściwie w lekkie drzemki, śniąc różne sceny z dzieciństwa, nieprzyjemne sytuacje, o których pragnęła zapomnieć. Wiedziała jednak, że jest to nierealne, że będzie przywoływała je z pamięci do końca życia. Bardzo tęskniła za swoim chłopakiem, za rozmową z nim, za wyżaleniem się. Tak chciała, żeby ją pocieszył. Ale siedziała w policyjnej celi i nie miała telefonu.

Był kwadrans po dziewiątej, kiedy aspirant Jerzy Krasicki zaprosił ją do swego biura na pachnącą, gorącą kawę i ciastka.

- Jak smakowało śniadanie? Mam nadzieję, że...

- Dziękuję, było pyszne, a ja nie jestem wybredna. Zresztą, nigdy taka nie byłam - uśmiechnęła się i usiadła we wskazanym przez niego fotelu.

- Całe szczęście, bo nie ma tu Ritza, ale w naszym motelu jest naprawdę porządna restauracja, w której świetnie gotują. I niedrogo. Raz po raz wpadamy do niej na rodzinny obiad, kiedy żonę złapie kuchenny leń, zwłaszcza w niedzielę.

- W końcu kobieta też ma prawo do odrobiny lenistwa.

- Oczywiście, pani Wiktorio, i do szaleństwa.

- Popieram.

Krasicki spojrzął na zegar ścienny.

- Mam nadzieję, że nasz niedoszły kochaś będzie punktualny, bo chciałbym panią jak najszybciej stąd wypuścić.

Wiktoria westchnęła i sięgnęła po ciastko. Krasicki poinformował ją teraz oficjalnie, że na foliowej torebce z narkotykami nie było żadnych odcisków palców, torebka została starannie wytarta. Podobnie jak kawałek taśmy klejącej, którą przymocowano całą zawartość do szuflady lodówki.

- Gdyby ten... chłopak był sprytny, to postarałby się o moje odciski palców, a ja nawet bym się nie zorientowała. Podałby mi jakiś woreczek foliowy... nie wiem... z czymkolwiek, i już by mnie miał.

- Oczywiście. Spryt nie jest jego mocną stroną. Za to chamstwa ma w nadmiarze. Gdyby obdzielić nim kilku chłopaków, to każdy z nich byłby całkiem przyzwoitym chamusiem.

- Różni bywają ludzie.

- Tyle że on od razu nie daje się poznać ze złej strony, najpierw stara się wysondować swojego, nazwijmy to... przeciwnika.

- Chyba ma pan rację - powiedziała Wiktoria z zastanowieniem.

* * *

Justyna przyszła do pokoju brata, kiedy ten wrócił wykąpany z łazienki. Po wczorajszym wyżłopaniu hektolitrów piwa nie wyglądał na człowieka będącego u szczytu formy. Zalatywało od niego jak z browaru.

- Czego? - mruknął, gdy bezceremonialnie usiadła przy biurku, na którym - podobnie jak u niej - stał komputer. Był w slipkach, więc zaczął się niemrawo ubierać, wyraźnie sprawiało mu to kłopot.

- Lepiej się pospiesz, niedługo dziesiąta.

- I co z tego?

- Masz się zgłosić na policję.

Zdębiał, przerywając ubieranie się. Powiedziała mu o wczorajszej rewizji i o wezwaniu, jakie zostawił dla niego policjant. Roman potar mosił ręką włosy i potrząsnął głową.

- Jaka konfrontacja, do diabła?! - rzucił podenerwowany. - Po cholere im to potrzebne?! Powiedziałem swoje i tyle, niech się wał!

Justyna przypatrywała mu się z pogardą.

- Co tak świdrujesz gałami? - warknął. - Coś ci nie pasuje?

- Walić to ty się powinieneś w ten swój pusty łeb. Zadawaj się dalej z tym pochrzanionym Żmiją, to będziesz jeszcze lepiej wyglądał. Kiedy go widzę, to mi się niedobrze robi.

- Co takiego?

- Musimy pogadać - powiedziała spokojnym, ale stanowczym tonem.

Brat popatrzył na siostrę z rosnącym niepokojem w oczach. Założył czyste skarpetki, wciągnął dzinsy i sięgnął do szafy po koszulę.

- Gadamy przecież codziennie.

- Jasne, ale nie o wszystkim.

- A co? Zakabłujesz tacie, że wróciłem nawalony?

- Jeszcze nigdy cię nie zakablowałam. A poza tym, guzik mnie to obchodzi, czy wróciłeś nawalony czy zawalony. To zresztą byłby mniejszy kłopot. Mam to gdzieś!

Roman przez chwilę skupił spojrzenie na siostrze.

- Więc nie wtrącaj się w nie swoje sprawy, dobra? - warknął.

Ściągnęła usta w kwaśnym uśmiechu i założyła nogę na nogę.

- Posłuchaj, kochaniutki - odezwała się z zacięciem w głosie - jeśli tobie się wydaje,

że jestem idiotką, to jesteś w błędzie. Możesz nadal wyśmiewać się ze mnie, że pozuję na punka, zwisa mi to. A teraz otwórz zawory w uszach, żebyś nie uronił ani słowa z tego, co ci powiem, bo każde z nich będzie na wagę naszej wspólnej przyszłości.

Roman zapiął guziki u koszuli i spoważniał. Przysiadł na tapczanie tak ostrożnie, jakby się obawiał, że siada na igłach.

- Naszej przyszłości? - mruknął, siląc się na lekceważenie.

- Tak, naszej przyszłości. Choć czasem jesteś głupi jak te skarpetki, które przed chwilą założyłeś, to w gruncie rzeczy jesteś inteligentny więc na pewno jarzysz, do czego zmierzam. Kumasz moją nawijkę, prawda? Wiem wszystko o sprawie związanej z tobą i Wiktoria. O tym, że podrzuciłeś jej narkotyki, nawet nie wspomnę. Możesz mi wierzyć, nie jestem naszą mamusią, która wszystko od ciebie przyjmuje na wiarę. Więc nie będę wdawała się w szczegóły, bo chyba bym się porzygała. Jesteś chamem, podłą świnią i świrem! A fiuta ktoś powinien ci odciąć razem z jajami - dorzuciła wściekle i umilkła, wpatrując się w brata hipnotyzującym wzrokiem. Roman zbladł, a ona ciągnęła wojowniczo: - Przez ciebie i ja w jakiś sposób obrywam. Będą wytykali mnie palcami! I jest mi z tego powodu bardzo przykro. Otóż oświadczam ci teraz, że od tej chwili nie jesteś już moim bratem. Dopóki będziemy tu mieszkać, będę musiała jakoś cię znosić. Ale pewnego dnia wyjdę za mąż, może się wyprowadzę... Potem już nigdy się do ciebie nie odezwę. Dla mnie przestałeś istnieć. Trafiło do twojego mózdzku? - spojrzała na niego z goryczą i wstała. - Kiedy tylko spotkam Annę, to pogratuluję jej wczorajszego występu. Szkoda, że nie odważyła się na pełny striptiz. Roman, jak mogłeś coś takiego zrobić Wiktorii? I mnie! A teraz zapierdalaj na policję, bo dziewczyna tam przez ciebie kibluje! - dodała agresywnie i wyszła.

Wróciła do swego pokoju, rzuciła się na tapczan i rozplakała. Przed chwilą oznajmiła bratu decyzję swego życia, wybór przemyślany do samego końca. Po paru sekundach doszedł ją odgłos kroków matki idącej korytarzem i jej wołanie „Romeczku, Romeczku!”, i skrzypienie drzwi do jego pokoju.

Żeby cię pokręciło z tym Romeczkiem! Niedługo dowiesz się, co z niego za ziółko! - sarknęła w duchu. I naraz się uniosła, usiadła. Popatrzyła na swoją wytłaczaną kolcami skórzaną bransoletę. Oglądała ją z dziwnym namaszczeniem, w końcu ją zdjęła i cisnęła przez otwarte okno.

* * *

Po telefonie od Jacka Anna nie miała najmniejszych wątpliwości. Roman był ostatnią

kanalią. Zresztą już sama próba gwałtu zaliczała go do ludzi tego pokroju. A teraz jeszcze te podrzycone narkotyki... Wiktoria zatrzymana na policji. Chciało jej się płakać, ale jakoś się powstrzymała. Teraz dodatkowo zdopingowani, ustalili, że na pewno przeprowadzą swój plan. Tylko po to, aby dać Romanowi porządną nauczkę. O ile ta kanalia zjawi się na dyskotece. Ale raczej powinna. Wszystko mieli dopracowane do ostatniego szczegółu. Wprost nie mogła się doczekać wieczoru.

Weszła do księgarni na rynku, aby kupić dwie publikacje o malarstwie, bo wreszcie uciulała trochę grosza, a książki nie były tanie. Po kilku minutach wyszła z portmonetką chudsza, ale i z przekonaniem, że wzbogaci się o wiedzę, którą zaraz zamierzała pochłoniąć. Wzięła „Techniki wielkich mistrzów malarstwa” i „Zrozumieć malarstwo”. Ostatecznie dopiero stała u progu wielkiej kariery. W każdym razie rodzice nakłaniali ją do pracy nad doskonaleniem talentu, skoro ten niespodziewanie się objawił.

Pogoda zrobiła się wspaniała, a kawiarenka pod parasolami zapraszała nie tylko na lody. Ona jednak znowu kupiła mrożone kulki, tym razem malinowe. Piwo piła tylko wieczorem. Zauważyła, że nieopodal sklepu monopolowego mieszczącego się obok księgarni zatrzymała się taksówka. Wysiadł z niej Żmija. Skierował się do monopolu. Kiedy przyjrzała się lepiej, dostrzegła, że z tyłu samochodu siedzi Roman. Po chwili ich spojrzenia się spotkały. Chciała się uśmiechnąć, ale pomyślała, że nie jest to najlepszy pomysł. On natomiast, jeśli dobrze oceniła, patrzył na nią zabójczym wzrokiem, cokolwiek by to znaczyło. On pierwszy umknął spojrzeniem w bok. W końcu ze sklepu wyszedł Żmija, trzymał w ręce dużą reklamówkę wypełnioną puszkami. Taksówka odjechała. *Pij, Romeczku, pij... Wieczorem będziesz łatwiejszy* - pomyślała Anna z przekąsem.

* * *

Jerzy Krasicki nerwowo bębnił po blacie biurka i raz po raz zerkał - to na niespokojną Wiktoria, to na zegar, który wskazywał już kwadrans po dziesiątej. Wreszcie chwycił za telefon i zadzwonił do Stankiewiczów. Odebrała matka Romana. Głos miała roztrzęsiony, kiedy mówiła, że syn bardzo źle się czuje, wrócił nad ranem i zjawi się na policji, kiedy tylko wydobrzeje. Nawet nie musiał mówić Wiktorii, że na razie nici z konfrontacji. Widziała to po wyrazie jego twarzy.

- Innymi słowy, wrócił urznięty jak bela, co u niego nie jest żadną nowością - wyjaśnił z ubolewaniem po odłożeniu słuchawki. - Leczy kaca, więc na razie trudno o sensowną rozmowę - rozłożył bezradnie ręce.

- A jeśli będzie zwlekał? - zapytała zrezygnowana Wiktoria.
- Będziemy go mieli na oku - Krasicki uspokoił ją gestem ręki. - Pali pani?
- Nie.
- To ja sobie zapalę.
- Jest pan u siebie.

Sięgnął do szuflady biurka po paczkę papierosów i zapalił. Szczerze powiedziawszy najchętniej zwolniłby Wiktorię i poprosił, aby do czasu konfrontacji nie opuszczała miasta. Lecz nie mógł tak postąpić. Byłoby to wbrew przepisom, a nie zamierzał nadstawić karku, nawet jeśli przeczuwał, że zatrzymana jest niewinna jak niemowlę.

- Cóż mogę pani zaproponować... książki, czasopisma...

- Nie, dziękuję, jakoś wytrzymam. Jestem przyzwyczajona do czekania. Od czasu do czasu dobrze jest po prostu nic nie robić i oczyścić umysł z wszelkich śmieci, jakie się w nim nagromadziły, kiedy intensywnie pracował.

- Ładnie to pani ujęła - uśmiechnął się.
- Nic oryginalnego.
- No nie wiem...

* * *

Roman był niemal przerażony. Konfrontacja z Wiktorią na policji! Czegoś podobnego nie przewidywał, ba, w ogóle nie miał pojęcia, że coś takiego istnieje w policyjnych paragrafach. W tej sytuacji nie mógł zjawić się w komisariacie o wyznaczonej porze, najpierw musiał wszystko dogłębnie przemyśleć, obrać jakąś strategię, a głowę miał coś za ciężką do takiej umysłowej orki.

Siedzieli we trójkę na leśnej polanie, pod drewnianą wiatą, gdzie latem różne grupki zjeżdżały się na piknik. Roman z niejaką zazdrością zerkał na swoich kumpli - Żmiję i Zenka. Oni nie mieli takich problemów, mogli bez żadnych stresów żłopać browarek i żartować na wszystkie tematy. Dopiero, kiedy Roman wlał w siebie dwa piwa, jego szare komórki się ożywiły i były gotowe do roboty. Więc zaczął myśleć, a przynajmniej udawać, że myśli.

Sprawa trochę się skomplikowała, czego nie przewidywał. Liczył na to, że policja już w czwartek znajdzie podrzucone przez niego narkotyki, ale nic z tego nie wyszło. Wiktoria zasłała, a na dodatek w piątek rano się wyprowadziła i dopiero tego dnia wieczorem odkryto te prochy. Oczywiście, zadbał o to, żeby na foliowej torebce nie było jego odcisków palców. Po czwartym piwie znalazł wyjście z tej nieciekawej dla niego sytuacji. Kombinował sobie,

jak to będzie wyglądać podczas konfrontacji: Wiktoria oczywiście ponownie zaprzeczy posiadaniu narkotyków - bo już musiała to zrobić podczas przesłuchania - co będzie wskazywało, że to on je podrzucił. Kiedy policjant zapyta go, czy podrzucił je do jej domku, zdecydowanie temu zaprzeczy i wytoczy swoje armatnie pociski - że widocznie nie zabrała ich celowo i usunęła swoje odciski palców, aby skierować podejrzenie na niego i tym samym zemścić się za to, że nie dał się jej zaciągnąć do łóżka. Jakkolwiek głupio by to brzmiało, wiedział jedno: musi się wybronić za wszelką cenę! Śmieszność to najniższy koszt!

Postanowił pójść na policję dopiero w poniedziałek. Jakoś się wytłumaczy ze spóźnienia, nic się nie stanie, jak piękna Wiktoria pobędzie sobie dłużej na policyjnym wikcie, a potem niech z nią zrobią, co chcą.

Pozostawała jeszcze Justyna, od której rano dostał takiego kopniaka, jakiego by się w życiu nie spodziewał. Wiedział, że nie żartowała. Znał jej charakter jak nikt inny. Jednak co będzie, jeśli ona powie o wszystkim rodzicom? Zwłaszcza ojcu? Na tę myśl robiło mu się słabo. Nic tylko pić na takie smutki!

- Żmija, muszę ci coś powiedzieć - rzekł półgłosem.

- Co takiego? - mruknął Żmija, otwierając kolejną puszkę.

Zenek niczego nie słyszał, gdyż już spał rozwalony na drewnianej długiej ławce.

* * *

Od popołudnia Justyna siedziała na działce u Beaty, która pomagała mamie przy pielęgnacji grządek. Ona sama też nie bała się pracy, więc schylała się nad rabatami, razem z nimi usuwając chwasty. Wszystkie założyły rękawiczki. Zygmunt Danielski zajmował się rozpalaniem grilla. Na półmisku leżały już przyszykowane kawałki soczystej karkówki.

Beacie dopisywał humor, w każdym razie znajdowała się już w dobrym stanie psychicznym - odkąd wyszła ze szpitala, rodzice stali się dla niej bardzo serdeczni, kochający, zwłaszcza ojciec. Zaakceptowali też Marcina, a przynajmniej zapewnili o tym córkę, mimo że on jeszcze nie przekroczył progu ich domu. Beata umówiła się z nim, że dziś zjawi się na działce. Uznała bowiem, że to będzie lepsze od spotkania w domu - większa swoboda, jakby mniej skrupowania. Choć uprzedziła o tym rodziców, to jednak czuła się nieco podenerwowana. Nie miała pojęcia, jak to wypadnie. Czy nie zdarzy się coś nieprzewidzianego, jakiś zgrzyt, który sprawi, że wszystko się zawali? Bo najważniejszy i najgorszy jest zawsze ten pierwszy raz, żeby dobrze wypaść; zresztą, tak bywa ze wszystkim. Tu chodziło o przełamanie lodów. Dlatego na wszelki wypadek zaprosiła również Justynę.

Chciała, aby ta była czymś w rodzaju zaworu bezpieczeństwa, mimo że przyjaciółka nie była w najlepszym humorze z powodu kolejnej sensacji związanej z jej bratem.

Kiedy zapach dochodzący z grilla stał się intensywniejszy i zaczął drażnić ich nosy, przerwali pracę i usiedli pod parasolem. Pogoda była wspaniała, ciepła i bezwietrzna, z wolna zachodzące słońce raziło oczy pomarańczową barwą. Beata raz po raz spoglądała na zegarek, Marcin nie nadchodził, zaczynała się niecierpliwić. Pierwsza wypatrzyła go mama i uspokajająco dotknęła ramienia córki. Chłopak szedł alejką od strony bramy.

- Może powinnaś podejść do furtki, żeby nie czuł się skrępowany - odpowiedziała.

Beata zerwała się z krzesła. Rodzice i Justyna spojrzeli w stronę furtki, którą otwierała.

- Ciekawe, czy się chociaż cmokną? - rzucił Danielski do żony i stłumił śmiech.

- Co ty przestań!

- Co za: przestań? Justyno, powinni się cmoknąć czy nie?

- Nawet porządnie pocałować.

- No właśnie, Renatko! W jakich czasach ty żyjesz?

Danielska westchnęła, ale widać było, że tylko udaje zgorzoną, bo tak naprawdę to cieszy się z takiego zachowania męża. Istotnie, tylko się cmoknęli przy furtce. Beata wzięła chłopaka za rękę i przyprowadziła go do nich.

- To jest Marcin - powiedziała krótko.

- Dzień dobry - uśmiechnął się nieco sztucznie; widać było, że czuje się niepewnie, jakby wstąpił na grząski grunt.

- Dzień dobry - odpowiedzieli niemal jednocześnie rodzice Beaty. - Siadaj - dodała od razu Danielska. - Przyszedłeś w samą porę, karkówka już dochodzi na grillu - wstała, aby zająć się podawaniem mięsa.

- Jak idzie ci w szkole? - zapytał pan domu.

- Radzę sobie, proszę pana, bez problemów.

- To ważne. Bardzo ważne.

- Bardzo nam się spodobałeś na tych waszych konfrontacjach - pochwaliła go mama Beaty - Masz talent...

- Czy ja wiem? Po prostu wykułem tekst na blachę i tyle. Większy talent ma Paula, bo go napisała.

- Chodzi mi o to, że... nie każdy umie tak swobodnie i z taką swadą przedstawić coś na scenie, wciągnąć widzów.

- Nie wiem... W mojej... hm... rodzinie nie ma nikogo z artystycznym zacięciem, więc

nie mam pojęcia, skąd to się we mnie wzięło - zwiesił głowę i zerknął na Beatę, której nie uszło uwagi, że jej rodzice wymienili szybkie spojrzenia. Beata ujęła Marcina za rękę i uścisnęła ją.

Justyna tylko sprawiała wrażenie, że interesuje się tą rozmową. Tak naprawdę rozmyślała o Romanie. Dziś to było dla niej ważniejsze.

* * *

Klub Planeta tętnił ciężką dyskotekową jazdą we wszystkich kierunkach, jakby średniowieczna polska husaria szalała na polu walki. Głośna muzyka zdawała się rozsadzać mury, zakręcony DJ z krótkimi dreadami mocno się gimnastykował przy konsolce, aby zadowolić kilkaset młodych osób, które tańczyły na ogromnym parkiecie w kolorowym świetle bijących po oczach stroboskopowych lamp, a także w całym mnóstwie innych wymyślnych efektów świetlnych. Pośrodku sali stała okrągła scena o średnicy trzech metrów - prezentowali się na niej zapraszani artyści albo striptizerki, właściciel klubu często fundował gościom tego rodzaju atrakcje. Naturalnie wtedy bilety były droższe.

Wśród tych, którzy akurat się nie bawili, a jedynie okupowali bar i wszelkie możliwe kąty, piwo lało się strumieniami, nieco rzadziej podawano drinki. I, oczywiście, wielu paliło dzointy, brało amfetaminę, ecstazy i inne zamulające świadomość środki. Normalka. Co bardziej doświadczeni wkraplali sobie wcześniej do oczu coś, co miało sprawić, aby w domu rodzice nie poznali, że palili trawkę. Żeby nie dostać szczękościsku od mieszaniny prochów i alkoholu, żuto gumę. Zdobycie jakichkolwiek narkotyków było rzeczą łatwiejszą niż kupno chleba w sklepie, bo do sklepu trzeba jednak pójść. Po klubie krążyło kilku dealerów. Byli na tyle znani wśród ludzi łaknących mocnych wrażeń, że wystarczyło mrugnąć okiem i odejść na chwilę w zaciszne miejsce. Wymiana kasy na towar następowała błyskawicznie. Mimo że ochroniarze doskonale wiedzieli o tym procederze, nie zdarzyło się jeszcze, żeby złapali dealera na gorącym uczynku. A tak naprawdę, to guzik ich obchodziło, czy handluje się tu prochami, czy nie. To nie była ich działka. Zresztą niejeden z nich po pracy też lubił sobie dać zdrowego kopa.

Dziewczyny pilnowały swoich drinków i piwa, żeby jakiś chłopak dyskretnie nie potraktował którejś z nich tabletką gwałtu, ponieważ doskonale wiedziały, co nastąpiłoby potem i jak przykre mogłyby być tego konsekwencje. A niestety zdarzały się i takie przypadki.

Anna z grupką przyjaciół bawiła się w najlepsze, ale bez Jacka. Dziś nie była ubrana

tak wystrzałowo, jak na wczorajszym wernisażu. Miała na sobie džinsy i tę samą bluzkę, która wczoraj w szkole odgrywała rolę, można powiedzieć, kurtyny w teatrzyku jednego aktora. Celowo tak się ubrała. Wypatrywała Romana, lecz na razie nie mogła nigdzie go dostrzec, a powoli dochodziła północ. Inna sprawa, że w takim tłoku i przy mocno migających światłach trudno było kogokolwiek znaleźć. Wiedziała, że po sali krążą gdzieś Jacek i Marcin, którzy dostali przepustki - gdyby ich nie otrzymali, musieliby przełożyć całą operację, nazwaną przez nich „Wiktoria”. Był jeszcze ktoś, chłopak z kolczykiem w łuku brwiowym, który zjawił się wczoraj na wernisażu, a z którym ona i Jacek też się spotkali. On również wypatrywał Romana. Kto pierwszy go zobaczy, daje znać komórką pozostałym - tak się wcześniej umówili.

Niedziela, 20 maja

Było kilka minut po północy. Roman, Żmija i Zenek wysiedli z taksówki przed Planetą. Wszyscy byli już wstawieni. Tym razem najpewniej na nogach trzymał się Roman.

Oświetlenie wokół klubu pozostawiało sporo do życzenia, to jednak bardzo odpowiadało jego bywalcom. Wieczorami wiele miejsc „świeciło ciemnością”, w sam raz na załatwianie różnych szemranych interesików, które w ciągu dnia wymagałyby posiadania oczu dookoła głowy. Przy głównym wejściu, gdzie stało dwóch roślących ochroniarzy, Roman i reszta kupili bilety, na nadgarstkach dali sobie przybić fioletowe pieczątki na dowód, że tak było, po czym z niemałym trudem weszli do zatłoczonego i hałaśliwego środka. Najpierw przedarli się do baru, przy którym musieli czekać dobry kwadrans, żeby kupić piwo, potem wmieszali się w tłum.

* * *

Pierwszy wypatrył ich chłopak z kolczykiem. Sięgnął po komórkę i powiadomił pozostałych. Roman i jego dwaj koledzy stali pod ścianą naprzeciwko baru, popijali piwo i rozmawiali. Wyglądali na zadowolonych. Nie znali go, on znał z widzenia tylko Romana. Na razie jego zadaniem było obserwowanie go i czekanie na dogodny moment, aby przystąpić do starannie zaplanowanej akcji. Pozostała trójka miała trzymać się na uboczu i czekać na sygnał do akcji. Czasu mieli sporo. Dyskoteka była na półmetku. Chłopak z kolczykiem stanął w cieniu i uważnie przyglądał się Romanowi, na którego akurat padało migotliwe jasne światło. Jego kumple go nie interesowali.

* * *

Marian Stankiewicz wrócił z Zielonej Góry dopiero około pierwszej. Nie był w najlepszym humorze, bo interesy nie poszły po jego myśli. Na dodatek w drodze powrotnej spotkała go ulewa i dobre sto kilometrów jechał żółwim tempem. Jego żona jeszcze nie spała, oczekiwała go podenerwowana, nawet nieco się obawiała rozmowy z mężem. Kiedy on się kąpał, ona ciągle siedziała w kuchni i udawała, że czyta jakieś kobiece czasopismo.

- Czemu jeszcze nie śpisz? - zapytał, zawiązując szlafrok; usiadł przy stole i dociekliwie się w nią wpatrzył.

- No... bo mamy same kłopoty odkąd... przyjechała tu ta...

- Daruj sobie określenia z twojego katalogu... Jakie nowe kłopoty? Bo rozumiem, że coś nowego wyskoczyło, tak?

- W piątek wieczorem przyszła tu policja. Krasicki i jeszcze jeden zrobili rewizję w domku, który wynajmowała, i znaleźli narkotyki, zapomniała je zabrać, kiedy się wyprowadzała... Na szczęście ją zamknęli.

- Zaraz, zaraz!... - zdenerwował się Stankiewicz. - Opowiedz mi wszystko od początku, dokładnie i powoli, dobrze? Wszyściutko, Iwonko!

Zaczęła opowiadać ze zdenerwowaniem, a on słuchał uważnie, pukając palcami w stół. Kiedy skończyła, zapadła cisza tak wielka, że słyhać było jedynie tykanie ściennego zegara z kukułką.

- Nie wiem, czym ty myślisz, Iwonko, ale - nie obraż się - mam poważne wątpliwości, czy głową. Skoro na koniec Krasicki zadał ci pytanie, dlaczego ona nie zabrała narkotyków, to jak uważasz, skąd one się tam wzięły?

- No, zapomniała, Marianku... pewnie z nerwów...

- Chryste Panie, kobieto! - nie wytrzymał. Gwałtownie wstał, wsadził ręce do kieszeni szlafroka, tak że omal dziur w nich nie zrobił, po czym zaczął krążyć po kuchni. - A Roman olał to wezwanie na policję, tak?

- No... źle się czuł...

- Źle się czuł?! - warknął z ironią. - Jak długo można leczyć kaca?! Brak mi już słów na tego chłopaka!

- Chciał iść, ale później... chyba poszedł...

Stankiewicz przystanął i pochylił się nad żoną.

- Więc od chwili, kiedy wyszedł, to dotąd się nie pojawił w domu, tak?

- Hm... jakoś nie...

- Więc gdzie on się włóczy przez cały dzień? Jestem zmęczony, nie chce mi się już jechać do tej Planety, bo na pewno tam jest teraz. Niech tylko ten skubaniec się rano zjawi! - dorzucił wściekle i wyszedł z kuchni, zostawiając żonę jeszcze bardziej zdenerwowaną niż przedtem.

* * *

Anna rozmawiała z koleżankami i kolegami obok parkietu, gdy poczuła, jak w kieszeni dzinsów wibruje komórka. Wyciągnęła ją, spojrzała na ekranik - operacja „Wiktoria” rozpoczęła. Powiadomiła Jacka i Marcina, którzy - jak się okazało - znajdowali się na zewnątrz klubu, po czym zaczęła się przeciskać na drugi koniec sali. Jakiś wstawiony chłopak chciał niemal siłą wciągnąć ją do tańca - a raczej do topornej gimnastyki, przy której taniec świętego Wita wygląda niczym hiszpańskie bolero - ale wywinęła mu się sprytnie, wspomagając się dosadnym słówkiem, i uparcie przeciskała się dalej. Z każdym krokiem czuła jak wzrasta jej poziom adrenaliny. Owszem, trochę się bała, ale nie zamierzała odstąpić od ustalonego planu.

* * *

Wiktoria ponownie mocowała się ze snem, ale ten nie nadchodził. Różne nieprzyjemne myśli krążyły jej po głowie. Najbardziej przykra była ta, że pewnie wielu uczniów i nauczycieli wiedziało - a niektórzy są nadzwyczaj dobrze poinformowani - iż policja zatrzymała ją za posiadanie narkotyków. Ją, studentkę, która zjawiała się tu po to, aby zebrać materiał do pracy o problemach młodzieży, także tych związanych z narkotykami. Zakładała, że oczyści się z zarzutów, ale na razie siedziała na policji i całe odium spływało na nią. A z oczyszczeniem najczęściej bywa jak ze sprostowaniami w gazetach. Najpierw jakiś pismak obsmaruje kogoś na pół strony w dziale „Hit numeru”, a potem w ramach przeprosin zamieści linijkę z przeprosinami gdzieś na dole strony w środku gazety. Kto to przeczyta? Smrodek będzie się za nią ciągnąć, tyle że - na szczęście - jej już wtedy tutaj nie będzie.

Wróciła myślami do ostatniej rozmowy z Anną. Przypomniała sobie jej słowa: „Ten psychol otrzyma taką nauczkę, że będzie chciał się zapaść pod ziemię. To stanie się jego wielkim marzeniem. I będzie lepsze od kary więzienia za próbę gwałtu”. Spojrzała na zegarek. Dochodziła druga. Dyskoteka w Planecie. Zapewne tam będą chcieli to zrobić. Mimo woli zastanowiła się, czy już to zrobili, czy dopiero się przymierzają. No i co to niby miało być? Anna sprawiała wrażenie bardzo tajemniczej. Wiktoria nie miała najmniejszego

pojęcia, co wykombinowali, a sama zastanawiała się nad różnymi formami zemsty, bo w takich kategoriach to postrzegała. Czy pochwalała takie postępowanie? Mimo że wiele przecierpiała w swoim niedługim życiu, to jednak nigdy nie była zwolenniczką takiego załatwiania spraw. Przybrani rodzice nie wychowywali jej w takim duchu, ale teraz, gdy stanęła oko w oko ze złem, którego doświadczyła, ogarnęły ją wątpliwości. W głębi duszy chyba cieszyła się, że ten łajdak otrzyma porządną nauczkę, choć nie od niej samej. Dostanie właśnie za nią, za to, co próbował jej zrobić, a także za to, co zrobił Beacie. I z tymi myślami wreszcie zasnęła.

* * *

Roman niedługo szalał na parkiecie, na dobrą sprawę zatańczył tylko raz, ponieważ bardziej nastawił się na picie. I to było widać coraz wyraźniej. Od dłuższego czasu rozmawiał z jakąś dziewczyną z technikum ogrodniczego, na upartego dość sympatyczną, przynajmniej tak ją postrzegał po kilku wypitych piwach. Popijali z plastikowych kubków, stojąc blisko stanowiska DJ-a, który bez ustanku podsyczał i tak już gorącą klubową atmosferę. Żmija i Zenek, pijani, drzemali gdzieś w kącie.

Do świadomości Romana z trudem docierało, że od pewnego czasu kręci się w jego pobliżu jakiś nieznanemu chłopak z kolczykiem w łuku brwiowym. Palił papierosy raz po raz rozmawiał z jakimiś dziewczynami czy chłopakami, ale się nie bawił. Gdyby nie ten kolczyk, Stankiewicz pomyślałby, że jest jakimś policyjnym tajniakiem i wypatruje dealerów. Nie przestając rozmawiać z dziewczyną, spostrzegł nagle, że w jego stronę przeciska się Anna, ubrana identycznie jak wczoraj, kiedy go tak ośmieszyła i upokorzyła. Tak zawsze piękna, niebywale atrakcyjna. Tylko wzdychać. Poczul się nieswojo. Do niego zmierzała? Po co? Żeby znowu go ośmieszyć? Ale w takim tłumie?

Chciał ją dzisiejszej nocy wyrwać stąd przy pomocy tabletki, unieszkodliwiając wcześniej - także pigułką - tego pajacowatego biduła, Jacka. Taki plan podsunął mu Żmija. Miał zamiar zabrać Annę na resztę nocy do któregoś z domków w gospodarstwie, jednak cała ta historia z Wiktorią sprawiła, że psychicznie czuł się mocno poturbowany i na razie musiał odstąpić od tego pomysłu. Ale co się odwlecze... A po jej wczorajszym przedstawieniu to już absolutnie sobie poprzysiągł, że nie popuści.

Wpatrując się w nadchodzącą dziewczynę, zastanawiał się, dlaczego jest sama, a nie z Jackiem. Naraz zdziwił się mocno. Był przekonany że zmierzała do niego, a gdy znalazła się o kilka kroków, uśmiechnęła się powłóczyście, puściła do niego oko i skręciła w bok,

zatrzymując się przed chłopakiem z kolczykiem w brwiach.

- Zabawisz się ze mną? - zagadnęła go głośno i uwodzicielsko, a w Romana jakby piorun strzelił.

- Podobasz mi się - atakowała wręcz bezczelnie. - Zatańczymy?

Roman nie dowierzał własnym oczom i uszom. Znieruchomiał z lekko otwartymi ustami, wpatrując się w tych dwoje. Jego rozmówczyni momentalnie przestała go interesować. Chłopak z kolczykiem wydawał się kompletnie zaskoczony.

- Odczep się! - warknął wreszcie.

- Co?!... - Anna wojowniczo wzięła się pod boki. - Nie podobam ci się?! Nie podobam? A czego mi brakuje?

Chłopak zwiesił głowę.

- Odejdź, co? - syknął tym razem.

- Wszystko mam na swoim miejscu, chcesz zobaczyć? - powiedziała zachęcająco i demonstracyjnie dotknęła górnego guzika bluzki, którą zaczęła rozpinać.

Zdumienie Romana wzrastało w galopującym tempie.

- Wal się, dziewczyno! - odpierał jej zaloty chłopak z kolczykiem. - Dociera?

Naraz uwagę Romana rozproszyło nagle pojawienie się Jacka, który doskoczył do Anny - Co ty wyprawiasz! - próbował chwycić ją za ramię, ale go odtrąciła. - Oszalałaś?! Co ci odważyło?!

- Chrzań się, Jacusiu! - syknęła i zwróciła się do chłopaka z kolczykiem. - No jak, zabawisz się ze mną? Proszę, zrobię dla ciebie wszystko, co tylko zechcesz...

Coś podobnego! Romanowi nie mieściło się w głowie. A to dziwka! Był tak zaaferowany tym, co działo się kilka kroków od niego - wyglądało bowiem na to, że zanoszą się na większą awanturę - iż w ogóle nie zauważył, jak za jego plecami cicho jak cień przesunął się Marcin i dyskretnie wrzucił mu do kubka z piwem tabletkę, po czym wtopił się w tłum. Ale po krótkim czasie, ku zdumieniu Romana, Anna dała się udobruchać Jackowi, nawet - jakby przepraszająco - cmoknęła go w policzek, a on objął ją i razem poszli na parkiet. Ciągłe nie dowierzając własnym oczom, dopił piwo i postanowił pójść po następne. Nie mógł pojąć zachowania Anny, po prostu nie mógł. Coś musiało jej odbić, pewnie pożarła się ze swoim bidulem, lecz widać na krótko. Chłopak z kolczykiem w brwiach ostrożnie ruszył w pewnej odległości za Romanem.

* * *

Był jednak ktoś, kto zauważył, że piwo Romana zostało ochrzczone jakimś narkotykiem, tylko nie wiedział jakim. Nie miał jednak wątpliwości, że chodziło o prochy. Widział też całą scenkę w wykonaniu Anny jej chłopaka i tego trzeciego, z kolczykiem w brwiach. Był absolutnie przekonany że scenka ta, choć wyglądała bardzo realistycznie i przekonująco, została sprytnie upozorowana.

Kiedy Antoni Raczkiewicz był w piątek na wernisażu, w korytarzu natknął się na całą trójkę, sprawiali wrażenie spiskowców. Coś się święciło. Tak mówił mu jego dziennikarski nos, a bywało, że w taki sposób zdobywał materiały do swoich artykułów.

Raczkiewicz, niczym śledczy podążył dyskretnie za nimi. Roman poszedł do baru, gdzie zrobiło się już tłoczno. Chłopak z kolczykiem trzymał się blisko niego, ale nie wpychał mu się przed oczy. Dziennikarz nie znał go, nieznajomy na pewno nie należał do grupy miejscowych, może pochodził z okolicznej wsi.

Kiedy wreszcie Roman kupił piwo i odszedł, Raczkiewicz zauważył, że coś się z nim dzieje, zaczął chwytać się za czoło, jakby nagle poczuł się słabo. Wtedy podszedł do niego chłopak z kolczykiem, objął go mocno, powiedział coś wesoło i obaj skierowali się do wyjścia. Dziennikarz odczekał chwilę i ruszył za nimi. Na słabo oświetlonym parkingu przy szarym oplu czekali już Anna, Jacek i Marcin, a tamten chłopak doprowadził do nich potulnego Romana. Po jakiejś minucie wszyscy już znaleźli się w wozie, za kierownicą zaś usiadł chłopak z kolczykiem. Ruszyli w stronę miasta.

Raczkiewicz zaklął i patrzył za oplem, dopóki auto nie zniknęło mu z oczu. Nie mógł za nimi pojechać, ponieważ nie przyjechał tu samochodem, tylko zabrał się z kolegami. W końcu też chciał się trochę zabawić i wypić. W każdym razie mocno zaintrygowała go ta sprawa.

* * *

Atmosfera podczas niedzielnego śniadania w domu Stankiewiczów panowała niezbyt miła, podczas gdy zwykle bywało pogodnie, a nawet wesoło. Roman jeszcze nie wrócił z dyskoteki, chociaż dochodziła ósma. Coś takiego zdarzyło mu się po raz pierwszy. Nie odpowiadał na komórkę, mimo wielu telefonów zirytowanej matki i czerwonego z wściekłości ojca, który swoje wzburzenie okazywał mocno zaciśniętymi ustami albo cichym beznamiętnym głosem podczas rozmowy. Justyna doskonale wiedziała, że to jest najwyższe stadium wściekłości ojca, tuż przed wielkim bum. Nawet nie próbowała wydzwaniać do brata, swoje już mu powiedziała. Tak się wkurzyła, że nie miała ochoty iść na dyskotekę, co

normalnie by się jej nie zdarzyło. Nie wyszła też z domu, wieczór spędziła przy komputerze i książkach. Matka była tym wręcz zdziwiona, a kiedy zapytała córkę o przyczynę, usłyszała, że boli ją noga w kostce. W to już uwierzyła.

Justynę męczyły wątpliwości, czy powinna powiedzieć rodzicom o wyczynie brata i zrzucić wreszcie z siebie ten ciężar (choć i tak by jej nie ulżyło), ale jakoś nie mogła się na to zdobyć. Na szczęście mama już nie nagabywała jej na temat rzekomo dziwnej postawy, no, może i rzeczywiście dziwnej, ponieważ wcześniej nigdy się tak nie zachowywała. Była jednak pewna, że niebawem wszystko się wyda i rodzice doznają szoku, gdy dowiedzą się prawdy tak jak wcześniej ona, kiedy rozryczała się w wozie Wiktorii. Dała więc sobie na razie spokój, nie chciała przynosić hiobowej wieści.

Skończyła śniadanie i wróciła do swego pokoju. Powoli zbliżał się czas pójścia do kościoła na mszę świętą o dziewiątej, a był to spory kawałek drogi. Zawsze chodziła sama. Ładna pogoda sprzyjała spacerom.

Kiedy nie miała żadnych innych zmartwień, to najczęściej podczas wędrowki do kościoła zastanawiała się nad sensem istnienia. Wierzyła w Boga, była praktykującą katoliczką, w życiu kierowała się przykazaniami dekalogu, który wydawał się jej całkiem do rzeczy. Nie miała pojęcia, jak będzie go postrzegać za ileś tam lat, kiedy lepiej pozna świat i będzie z niego czerpać pełnymi garściami. Lecz tego ranka w jej głowie siedziała wyłącznie sprawa Romana, z którym wzięła rozbrat na zawsze.

* * *

Siedzieli na ławce w parku, dokąd poszli prosto po śniadaniu. Jacek i Marcin zdawali Pauli relację z operacji „Wiktorii”. Wiedziała, co zamierzają, i była ciekawa, jak przebiegła akcja. Opowiedzieli jej o tym z najdrobniejszymi szczegółami. Wszystko poszło jak z płatka, a nawet lepiej, niż oczekiwali. Uśmieła się.

- Ale zrobiliście z Romeczka osła! - chichotała. - Szkoda, że nie widziałam jego głupawej miny, kiedy patrzył na to przedstawienie. Anna się spisała, co?

- Żałuj, Paula, bo było na co popatrzeć! - powiedział Marcin i poklepał Jacka po ramieniu. - Jacek też dał dobry koncert. Zazdrośnik z niego niemożliwy.

Paula wychyliła się do przodu i figlarnie zajrzała mu w oczy.

- Jacuś, chyba zmienię o tobie zdanie.

- Jakie zdanie?

- Że jesteś głąbem aktorskim. Tak było dotąd.

Jacek potarł się po włosach.

- Tak jakoś spontanicznie mi wyszło, sam nie wiem...

- Słuchaj, kochasiu, jak trochę nad tobą popracuję, to kto wie... Może się nadasz na scenę?

- Co to, to nie! - zachnął się Jacek. - To była potrzeba wyższego rzędu, więc się spałem i postarałem.

- Potrzebą wyższego rzędu w pierwszym rzędzie jest sztuka, kochasiu. Zapytaj o to swojego polonistę - jak mu tam, Leksykon? - powie ci to samo.

- Żaden majster z nieba nie spadł - odezwał się Marcin.

Na chwilę umilkli, spojrzeli po sobie, jak gdyby nagle pomyśleli o tym samym.

- Cholera, powiem wam, że teraz będzie mi żal Justyny. Przecież to nie jej wina - westchnęła Paula z zadumą.

- Annie też będzie przykro - mruknął ponuro Jacek. - Kiedy wpakowaliśmy skubańca do samochodu, zaczęły ją nachodzić, wiesz, takie różne...

- Tylko mi nie mów, że choćby łezkę uroniła! - parsknęła Paula.

- Coś ty! - zachnął się Jacek. - W końcu machnęła na niego ręką.

- Kto mieczem wojuje, od miecza ginie! - rzekł stanowczo Marcin i wstał. - Jakie mamy plany na dziś?... A właściwie to, czy my w ogóle mamy jakieś plany?

- Oczywiście - mruknął Jacek. - Żadnych.

- To też są plany, tylko tak supertajne, że jeszcze sami o nich nie wiemy - zachichotała Paula. - A mimo tego - jakby niechcący - uczestniczymy w tym całym pochrzanionym wyścigu szczurów.

- Dlaczego niechcący? - zdziwił się Marcin.

- Bo uczciwie.

- Uczciwie? - Teraz zdumieli się obaj. - Po jakiemu ty rozumujesz? - dorzucił Jacek.

Paula ujęła się pod boki i prychnęła na nich kpiarsko.

- Po normalnemu, głębki kapuściane! - wysyczała. - Pomyślcie, jeśli was na to stać, że wszyscy poza nami uczestniczą w tym szczurzym wyścigu zupełnie świadomie, bo żyją w - nazwijmy to - porządnym rodzinach, które ich nakłaniają, mobilizują do parcia naprzód. Niektórzy mają nawet koneksje rodzinne, a takim to jest najłatwiej. A my? Co mamy, oprócz samych siebie? Chyba nie nasz bidulec? To coś, co tu widzimy przed sobą, nie ma ani serca, ani duszy, ani miłości. To nie jest uczciwe wobec nas - gwałtownie wskazała ręką na budynek, wstała z ławki, a potem równie nagle rozrzuciła szeroko ręce i zaczęła tańczyć w miejscu, wirować, zgrabnie poruszając biodrami. - Rany co to za zwariowany świat! Czy już

nigdy nie będzie lepiej? Bo ja cienko to widzę.

Spojrzeni na siebie zdezorientowani.

- Z nią się nie ujedzie, mówię ci - westchnął Marcin, a Jacek tylko machnął ręką.

- Ujedzie, ujedzie, tylko trzeba wiedzieć, jak do mnie podejść, a wtedy będę jak do rany przyłoż; jestem uczuciowa, wrażliwa i potrzebuję wielkiej miłości! - wykrzyczała Paula na jednym oddechu i na cały głos, jakby chciała obwieścić swoje uczucia całemu światu.

W kilku oknach domu pojawiły się głowy dziewczyn i chłopaków, zaintrygowane jej krzykiem.

- Brawo, Paula, jesteśmy z tobą! - doleciał do niej chór głosów z góry.

* * *

Justyna weszła do miejskiego parku, tędy miała bliżej do kościoła. Szła żwirową alejką. Kiedy minęła amfiteatr, gdzie na popołudnie i wieczór dom kultury zaplanował festyn rodzinny dla mieszkańców, zobaczyła z pewnego oddalenia grupkę ludzi w różnym wieku, którzy przyglądali się czemuś, rozmawiali ze sobą i gestykulowali. To coś chyba znajdowało się na trawie przy krzewach bzu. Niektórzy się podśmiewali. Tknęło ją złe przeczucie. Mimo tego szła dalej, ale z każdym krokiem czuła wzbierające w sobie napięcie. Gdy w pewnym momencie kilka osób odwróciło głowę w jej stronę, w ich oczach dostrzegła coś na kształt zdziwienia, serce zaczęło jej bić szybciej i oblała się zimnym potem. Zaciśnęła usta i zwolniła, z każdym kolejnym krokiem skupiała na sobie coraz więcej ciekawskich spojrzeń. Prawie wszystkich tych ludzi знаła, choć niektórych tylko z widzenia, w końcu to nieduża miejscowość. Jej rodzinę zaś znali wszyscy - jedyne gospodarstwo agroturystyczne w gminie było bardzo popularne, figurowało także w folderze wydawanym corocznie przez miejski ratusz. Zobaczyła też Antoniego Raczkiewicza z aparatem cyfrowym w rękę.

Wreszcie dostrzegła to coś leżące przy krzewach. Przystanęła i zamarła. Zrobiło się jej słabo. Chciała uciec, ale jakoś się przemogła, wzięła kilka długich, głębokich oddechów. Ludzie obserwowali ją w milczeniu, już się nie uśmiechali, jakby nagle zawiązali jakieś tajne sprzysiężenie. Ich spojrzenia odbierała jako nieme oskarżenie.

Nie dam się, muszę to przetrzymać - pomyślała z zacięciem, zdobywając się na odwagę. Podeszła do ludzi, którzy nieco się rozstąpili, i spojrzała na swojego nagiego brata, który spał niespokojnie, przekręcał się z boku na bok, nie mając pojęcia o świecie. Niezupenie nagiego. Oszczędzili sobie zdjęcia mu slipów, pewnie z przyzwyczajenia, aby jeszcze bardziej go nie poniżać, no i na nogach miał skarpetki. Za to na klatce piersiowej i

plecach wymalowano mu czarną farbą napis: „Nie będę gwałcił”.

Z trudem zachowując zimną krew i powstrzymując łzy które ściekały jej do gardła, odeszła na bok, wyciągnęła z torebki telefon i zadzwoniła do domu. Mieszkańcy miasteczka bez słowa zaczęli się rozchodzić, nawet nie szemrali między sobą, przynajmniej nie na jej oczach. Wszyscy poza dziennikarzem, który nie omieszkał narobić jej zdjęć, kiedy rozmawiała z ojcem, prosząc go, aby jak najszybciej przyjechał. Po chwili Raczkiewicz podszedł do dziewczyny.

- Przykra sprawa, co? - zagadnął. - Możesz mi powiedzieć, o co dokładnie tu chodzi?

Justyna patrzyła na niego zimnym, wrogim wzrokiem, najchętniej wdeptałaby wścibskiego pismaka w ziemię.

- Byłem wczoraj na dyskotecie i wiem co nieco na ten temat, ale... brak mi szczegółów - ciągnął, niezrażony chłodem gimnazjalistki.

- Spadówa! - warknęła. - Nie życzę sobie żadnych zdjęć w waszej gazecie, kumasz? A jeśli już chcesz coś naskrobać, to lepiej pamiętaj, aby nie chlapnąć imienia i nazwiska mojego brata. Jasne?

- Czy to groźba?

- Tłumacz to sobie, jak chcesz! Żegnam! - dodała i usiadła na pobliskiej ławce.

Antoni Raczkiewicz uśmiechnął się kwaśno i poszedł do zaparkowanego przy parku malucha. Wsiadł do niego, ale nie odjeżdżał.

* * *

Kiedy Wiktoria dowiedziała się od dyżurnego policjanta, gdzie i w jakim stanie znaleziono Romana, to najpierw zatkało ją z wrażenia, a później zaczęła się śmiać. Była wściekła, że tak długo musi siedzieć tu beczynn timer, bo ten gnojek nie przychodzi na konfrontację, ale po takiej wiadomości odpuściła sobie całą złość. Oczywiście, zdawała sobie sprawę, że w tej sytuacji przyjdzie jej tu czekać do jutra, zanim chłopak nie dojdzie do siebie po narkotyku. Tak samo jak Beata. A jeszcze później - nieoczekiwanie dla samej siebie - popadła w przygnębienie. Oni upokorzyli go do cna, odarli ze wszystkiego, zniszczyli, a ona nie bardzo wiedziała, jak ma na to spojrzeć. Wylali dziecko z kąpielą? Co zrobi Justyna, kiedy się o tym dowie? A może już wie? Zapewne wie. Bardzo było jej żal tej dziewczyny, którą serdecznie polubiła, podobnie jak Annę i Paulę. Ogarnęły ją mieszane uczucia. Z ponurych rozmyślań wyrwało ją skrzypienie drzwi, w których stanął aspirant Krasicki. Wyglądał na pogodnego.

- Ma pani gościa - rzekł zagadkowo.
- Gościa? Przecież powiedział pan, że żadnych odwiedzin tutaj mieć nie mogę.
- Czekaj u mnie. To taki drobny wyjątek, o którym nikt nie musi wiedzieć. Zapraszam. Wyszła, mocno zaintrygowana. Krasicki wprowadził ją do swego biura.
- Dzień dobry, Wiktorio - powitał ją Mariusz Turbanowski, wstając z fotela.
- A to niespodzianka! - uśmiechnęła się; uściśniła sobie dłonie.
- Proszę, siadajcie, zaparzę wam kawę - rzekł aspirant.
- Jeśli chodzi o mnie, Jurku, to dziękuję. Ale Wiktor z pewnością nie odmówi.
- Dobrze, będzie dla pani i dla mnie - odparł i wyszedł.

Turbanowski mimo woli obrzucił dziewczynę wzrokiem od stóp do głów. Wyglądała na nieco przybitą. Brak sznurówek w sportowych butach sprawiał, że można było ją wziąć za pospolitą złodziejkę.

- Wróciłem dziś z Poznania - powiedział. - Masz serdeczne pozdrowienia i uściski od Leona, który też był na zjeździe, zamiast swojej szefowej.

- O, dzięki! - ucieszyła się.

- Byłem zaskoczony, gdy się wczoraj dowiedziałem, że aresztowano cię za posiadanie narkotyków. Oczywiście nie wierzę w twoją winę, Leon też. Mam nadzieję, że się nie pogniewasz, iż powiedziałem mu o twoich problemach.

- W porządku.

- Już całe miasto huczy o pewnym znalezisku w parku - uśmiechnął się kwaśno pod nosem. - Ktoś cię pomścił... Nawet nie próbuję się domyślać, kto to zrobił. Nie moja sprawa.

- Ja też nie mam pojęcia - Wiktorio potrząsnęła głową, westchnęła. - I co w tym Poznaniu? - zmieniła temat. - Jesteś zadowolony z debaty? Pewnie było burzliwie, jak znam życie?

- Doskonale wiesz, że to prawdziwy węzeł gordyjski naszego systemu placówek wychowawczych. Te państwowe są źle postrzegane, źle się kojarzą, są za drogie. Mocno odstajemy od Zachodu, gdzie kładzie się nacisk na domy przypominające wielodzietne rodziny.

- Myślę, że przede wszystkim chodzi tu o opór żywej materii, która tkwi w państwowych domach. Zresztą, popiera was dość silne lobby Związku Nauczycielstwa - przerwała mu Wiktorio. - Boicie się tych zmian, utraty pracy... Przyznaj się, bądź ze mną szczerzy.

- No cóż... To też prawda...

- A poza tym, Mariuszu, nie we wszystkich państwowych placówkach jest tak, jak być

powinno. Ujmując rzecz delikatnie, nie dzieje się tak, jak by tego oczekiwali wychowankowie. I doskonale o tym wiesz. Ja niemile wspominam tamte lata, a mówiąc całkiem szczerze, jak najgorzej.

- Wierzę.

- Czy nie ma u nas mądrych, odpowiedzialnych ludzi, którzy doprowadziliby do takich zmian, żeby dziecko z patologicznej rodziny nie musiało po raz trzeci - po rodzicach biologicznych i po państwowych molochach - próbować się przystosowywać do normalności? I jeszcze coś ci powiem, Mariuszu. To nic osobistego, ale między wami a rodzinnymi domami dziecka i rodzinami zastępczymi nie ma dobroczynnej symbiozy tylko trwa wojna. Wy cieszycie się, jeśli w tamtych placówkach coś nie wypali, bo macie argument na to, że zastępczy rodzice to żadni dobrze przeszkoleni zawodowcy, za jakich wy się uważacie. Sądźcie, że właśnie wam nadal należy się priorytet w tej dziedzinie, zwłaszcza gdy chodzi o pieniądze, które dostajecie praktycznie bez zbędnych zabiegów, czego nie mogą powiedzieć tamci. Im również należy się fachowa pomoc, mają serce do dzieciaków, którego wam brakuje. I jeszcze coś. Ta bezdusność przepisów w stosunku do rodzinnych placówek. Nie miej mi za złe, jeśli moje słowa pobrzmiwają moralizatorsko albo pachną jakimś tam podskórnym dydaktyzmem, ale ja wiem, o czym mówię. Ja to przeżyłam i nikomu tego nie życzę. Nawet własnemu wrogowi.

Turbanowski zwiesił głowę i nic nie odpowiedział. Wiktoria też umilkła, rozsiadła się wygodniej w fotelu, czuła się trochę zmęczona swoją oskarżycielską tyradą. Drzwi się otworzyły i wszedł Krasicki z tacą z dwiema kawami i ciasteczkami.

- Przepraszam, że to trwało tak długo, miałem pilną sprawę - tłumaczył się i postawił tacę na stoliku. Zauważył, że między jego gośćmi zaszło coś niedobrego, bo siedzieli pochmurni.

- Ależ nic się nie stało - powiedziała Wiktoria.

- Właśnie - zgodził się Turbanowski.

- Pani Wiktorio - westchnął aspirant, siadając. - Nie mogę pani wypuścić, musimy czekać, aż ten drań dojdzie do siebie, co pewnie potrwa do jutra, najdalej do przedpołudnia. Osobiście dopilnuję, żeby go tu ściągnąć, zapewniam panią.

- Rozumiem. Wytrzymam.

Krasicki uniósł palec wskazujący.

- Wiem, kto tego cwaniaczka tak ładnie załatwił i - mniej więcej - w jaki sposób. Zaangażowały się w to cztery osoby, to znaczy... Dowiedziałem się prywatnie, bo oficjalnie o niczym mi niewiadomo. Dobrze przemyślana akcja. Majstersztyk! Ale w związku z tą sprawą

nie mam zamiaru niczego robić. Absolutnie! Chyba że pani niedoszły gwałcieł sam to zgłosi, w co bardzo wątpię. Musiałby nie mieć wstydu! A wiecie, co ja bym wtedy zrobił? Wsadziłbym jego zawiadomienie na samo dno szuflady i wyjął je ostatniego dnia, wymaganego - zgodnie z przepisami - dla załatwienia sprawy, oczywiście umorzonej.

- Masz rację - poparł go nieco mentorskim tonem Turbanowski. - Niekiedy tego rodzaju nauczki odnoszą lepszy skutek, niż gdyby zastosować cały kodeks karny - i zaraz obaj wdali się w rozmowę o problemach młodzieży, o przestępczości w tym środowisku oraz - do pewnego stopnia - o bezradności policji. Na koniec Turbanowski dodał: - Nie pamiętam, gdzie wyczytałem sentencję, która brzmi mniej więcej tak: „Prawa powinny być łagodne, ale obyczaje surowe”.

- Jednak ten był chyba trochę za surowy - dorzuciła zamyślona Wiktoria.

- O ile to był obyczaj - powiedział Krasicki.

- Nie jest powiedziane, że kiedyś się nim nie stanie - rzekł Turbanowski.

- Byłoby dobrze, to znacznie ulżyłoby nam w pracy - skonkludował z ironią Krasicki i zerknął na biurko, na którym w tej samej chwili rozdzwonił się telefon. Wstał, chwycił słuchawkę i po krótkiej rozmowie odłożył. - Zjawił się ten dziennikarz, Raczkiewicz. Chce dowiedzieć się czegoś o zawiadomieniu Stankiewicza. Szybko go spławię, w końcu nie my znaleźliśmy chłopaka w parku - oznajmił i wyszedł, aby wrócić po kilku minutach. - Załatwione.

- Czy on już wie, że ja tutaj przebywam? - zapytała Wiktoria.

- Jeśli tak, to na pewno nie od nas. Zresztą, na podstawie naszej krótkiej rozmowy trudno mi było to wywnioskować. Byłby z tym jakiś problem?

- Jest dość namolny - westchnęła.

- Niestety, oni wszyscy są tacy - uśmiechnął się aspirant. - Jedyne rady to być sprytniejszym od nich. Wydaje się im, że mają patent na prawdę, a potem wyczytujemy w gazetach rozmaite bzdury.

Wiktoria potrząsnęła głową.

- Mam do pana prośbę, panie aspirancie... Skoro będę tu przebywała do jutra... Czekam na mnie mnóstwo ankiet do przeanalizowania, tracę czas, a mam je w domu dziecka...

- Załatwimy to, nie ma problemu. Prawda, Mariuszu?

Turbanowski skwapliwie potaknął.

- I poprosiłabym o dyktafon - dorzuciła. - Mam na nim zapis spotkania z młodzieżą.

* * *

W domu Stankiewiczów zapanował kompletny zamęt. Było tak, jakby wszystkie meble się poprzestawiały. Przywieziony przez ojca Roman ciężko dochodził do siebie w swoim pokoju. Ojciec rzucił go na tapczan tak, jak przywiózł - w slipkach i wymalowanego farbą. Potem wyszedł na podwórze i chodził tam i z powrotem, ze zwieszoną głową i rękoma w kieszeniach dżinsów, aby wreszcie, nieopodał furtki, trafić na czarny foliowy worek. W środku były wszystkie rzeczy Romana. Kiedy wrócił z nim, żona i córka siedziały w jadalni przy stole - obie milczące i pochmurne. Wyrzucił całą zawartość worka na podłogę. Z kieszeni dżinsów wypadła komórka, na podłodze znalazł się też zegarek i trochę bilonu. Na koniec Stankiewicz zmiął folię i cisnął ją na podłogę. Wpatrzył się w żonę, w jej nieruchomy profil, bo wzrokiem uciekała gdzieś przez okno na podwórze.

- Oto, co zostało z naszego syna, Iwonko - wycedził przez zęby, po czym usiadł u szczytu stołu i skierował pytające spojrzenie na Justynę.

Nie mogła milczeć, za wiele to ją dotąd kosztowało. Opowiedziała im więc o wszystkim, czego dowiedziała się na temat Romana i Wiktorii. Matka nie chciała jej słuchać. Twierdziła ze złością, że to są jakieś nedorzeczne pomówienia, że jacyś bandyci skrzywdzili jej Romeczka i powinno się to zgłosić policji. Zamierzała nawet wyjść, lecz niewiarygodnie spokojny wzrok jej męża tak przyszpilił ją do krzesła, że pochmurniejąc z każdym słowem córki, wysłuchiwała wszystkiego do końca. Justyna nie wspomniała im tylko o swej rozmowie z Romanem, podczas której oświadczyła mu, że przestał być dla niej bratem. O tym nie musieli wiedzieć, uznała, że to jest sprawa tylko między nimi. Na pytanie ojca, czy domyśla się, kto tak urządził jej brata, odparła, że nie ma pojęcia. Matka zdawała się wcale tym nie interesować. Siedziała, ale tak jakby jej nie było, patrzyła gdzieś przed siebie.

Justyna mogła tylko podejrzewać, kto załatwił pupila matki. I nie miała o to pretensji ani do Anny, ani do Marcina, ani do Jacka. Braciszek dostał to, na co sobie solidnie zasłużył. Robiło się jej tylko strasznie przykro na myśl, że każdy skojarzy ją z wybrykiem brata i publicznym ośmieszeniem go przez anonimowych sprawców. Postanowiła jednak trzymać się dzielnie, nie upadać na duchu, a w szkole i w towarzystwie zachowywać się tak, jak gdyby nic się nie stało. Nikt jej przecież nie będzie wypominał brata. Te myśli mocno ją podbudowały.

- Zapytałem o to, Justynko, bo chętnie pogratulowałbym im tego pomysłu, mimo że nasza rodzina w jakiś sposób straci szacunek w ludzkich oczach. Zawsze cieszyliśmy się dobrą opinią - powiedział ojciec z absolutną powagą.

Justyna wiedziała, że tata nie bredzi od rzeczy, że jest szczery. Dobrze znała każdy jego gest, spojrzenie, tembr głosu - ich znaczenie i siłę. Matka nawet nie zareagowała na te

słowa, ale po chwili wstała i wyszła. Justynie zrobiło się żal ojca. Najchętniej podeszłaby do niego, przytuliła się, ale wiedziała, że obydwójce mogliby się na dobre rozkleić. Ojciec stanowił typ twardziela, któremu Roman bezskutecznie próbował dorównać, i momentami jej imponował, więc wołała oszczędzić mu okazania słabości. A nawet sama nie chciałaby tego oglądać, aby nie zmienić o nim zdania.

* * *

Nikt nie przysyłał e-maili, nie odzywało się gadu-gadu, a i komórka też milczała. Ona sama zresztą też nie paliła się do nawiązania jakiegokolwiek kontaktu z przyjaciółmi. Prawie całe niedzielne przedpołudnie Anna przesiedziała w domu przy komputerze, słuchając muzyki Pink Floydów, przeważnie z płyty „The Wall”, i buszując w internecie. Robiła to właściwie bez celu, nie miała ochoty na malowanie, choć kilka pomysłów po udanym wernisażu wpadło jej do głowy; naszkicowała je ołówkiem na papierze i teraz leżały na stoliku. W ogóle ten debiutancki wieczór pokazał jej przedsmak tego, czego może się spodziewać, jeśli będzie rozwijać swój artystyczny talent. Ale to wydarzyło się w piątek.

Teraz jakoś nie mogła znaleźć sobie miejsca. Czyżby był to skutek udanej nocnej akcji? Przecież powinna być zadowolona, a tu czuła się trochę nieswojo. Moralny kac? Zastanawiała się, czy aby na pewno nie przeholowali w swym amatorskim posłannictwie Temidy. Romanowi należała się porządna nauczka, to wydawało się im oczywiste, ale może powinni inaczej załatwić jego sprawę. Lecz niby jak? Wcześniej rozmawiali o tym trochę i nic sensownego, a równie spektakularnego, nie wpadło im do głowy. W końcu machnęła na to ręką, a szalę przeważyla świadomość, że ich wariant okazał się lepszy aniżeli zwykłe skucie chłopakowi gęby. A kiedy przypomniała sobie, jak pisała na jego ciele czarnym akrylem słowa, które niewątpliwie on zapamięta do końca życia, to odczuwała jakieś sadystyczne zadowolenie. Kiedy rozbierali go, zgodzili się co do tego, że nie należy zdejmować całego ubrania, że powinni zostawić mu slipy, tylko o skarpetkach jakoś zapomnieli. Jego ciuchy, buty, komórkę i dość drogi zegarek zapakowali do foliowego worka i podrzucili za bramę posesji Stankiewiczów.

Na mieście pewnie już huczało. Anna zastanawiała się, jak to przyjęła Justyna. Było jej żal przyjaciółki. Przypuszczała, że ona się domyśla, kto stoi za tą akcją, poza chłopakiem z kolczykiem, którego raczej nie mogła znać. Po prostu oni przede wszystkim potrzebowali samochodu, a następnie musieli mieć jakąś obcą twarz do odegrania roli w zainscenizowanej szopce na dyskotece. I Anna pomyślała o swoim starszym kuzynie z sąsiedniej gminy. Kiedy

zadzwońiła do niego i wyłuszczyła mu sprawę, szybko się zgodził. Bez niego by to nie wypaliło. Gdy pomyślała o Wiktorii, która ciągle siedziała w policyjnym areszcie za niewinność i czekała na konfrontację z tym gadem, to rozgrzeszyła samą siebie i wszystkich, którzy brali udział w akcji. Wstała od komputera i wyszła na korytarz, akurat wtedy, gdy z kościoła wróciła mama.

- Słyszałaś nowinę, Aniu? - zawołała od drzwi podekscytowana Magdalena Jurczyk. Była bardzo podobna do córki, choć lekko pulchniejsza niż dwadzieścia lat temu, figurę ciągle miała zgrabną. - W parku znaleziono Romana Stankiewicza... - i rozgadała się o tym, co usłyszała na ten temat. - Wyobrażam sobie, co ta biedna Justyna musiała przeżywać, gdy natknęła się na niego w parku.

- Justyna? - Anna uważniej wpatrzyła się w mamę.

- Tak słyszałam. Podobno zbladła, nic nie mówiła, ludzie zresztą też się do niej nie odzywali, i zadzwoniła po tatę. Chyba napiszą o tym w naszej gazecie, bo ten dziennikarz, jak mu tam... Raczkiewicz, też tam był. Ciekawe, kto tak załatwił Romana, no i za co - zakończyła.

- A o tym nie plotkowali?

- Nic konkretnego. Tylko... niby kogo on miał zgwałcić? Tak mu coś napisali na klatce piersiowej i na plecach. Nie podejrzewałabym go o takie brzydkie rzeczy. Trudno mi uwierzyć. Przecież znam go trochę.

- Trochę za mało, chciałaś powiedzieć.

- Cicha woda brzegi rwie, tak? No, to chłopak ma problem.

- Jak diabli! Gdybym powiedziała ci, mamó, że w zeszłym roku próbował mnie poderwać?

- A próbował?

- Bez powodzenia, choć mocno się starał. To podły typek, a jak teraz się okazało, po prostu kanalia!

Mama przyjrzała się córce, pokiwała głową.

- Za to dałaś się poderwać Jackowi - powiedziała z bardzo delikatną przyganą.

- Jest fajnym chłopakiem, ma poukładane w głowie - inteligentny, ambitny, wesoły, spokojny, delikatny - na tyle to ja potrafię oceniać chłopaków. A że dzieciństwa nie miał sielskiego, jak choćby ja, to przecież nie jego wina. Na razie mi odpowiada. - Na razie...

- Na razie, mamó, bo nie wiem, co będzie dalej. I mogę cię zapewnić, że między nami niczego jeszcze nie było.

- Ale może się zdarzyć...

Anna zwiesiła głowę i podeszła do dużego lustra w korytarzu. Wpatrzyła się w nie i przejechała ręką po rozpuszczonych włosach.

- Inaczej życie nie miałoby sensu, mamo.

- Wiesz, że nie musisz się spieszyć, to nie wyścigi.

- Wiem. A ty? Kiedy zaczęłaś?

Mama uśmiechnęła się pod nosem.

- Cztery dni po mojej osiemnastce.

Anna spojrzała na nią z niejakim podziwem, a może i zazdrością.

- Co?!

- Tak wyszło.

- Jak dokładnie to pamiętasz!

- Ten pierwszy raz zawsze jest przeżyciem. Dla ciebie też będzie.

- To było z tatą?

- Tak. I nadal się kochamy. Trafiliśmy na siebie, ot co!

- Rzadkość w przyrodzie.

- Nie powiedziałabym, Aniu.

- Zdradziłaś kiedyś tatę?

- Nigdy, choć okazji do tego nie brakowało. Zwłaszcza kiedy wyjeżdżał w delegacje.

Miałam adoratorów na pęczki. I chyba nadal mam.

- No, to już mistrzostwo świata! - parsknęła zabawnie. - Powiedz mi... Czy zawsze osiągasz orgazm?

- Skąd takie pytanie?

- Trochę się naczytałam o tym i... wygląda mi na to, że u kobiet nie za dobrze z tym bywa.

- To prawda. Dojrzały seks to nie jest rutyna, a już tym bardziej zwierzęca chuć. To misterium, podczas którego partnerzy muszą się zaangażować. Gdybyś... hm... potrzebowała jakichś konkretnych rad, to nie zaglądaj do książek, tylko przyjdź do mnie. Pogadamy sobie o seksie bez rumieńców na twarzy, jak kobieta z kobietą. Powiem ci o różnych sztuczkach w łóżku, no wiesz... żeby być jak najbardziej usatysfakcjonowaną. Bo to bardzo ważne. Będiesz to wszystko miała z pierwszej ręki.

- Fajnie.

- A co do orgazmu... Tak, prawie zawsze go osiągam, twój tata bardzo się o to stara. Ja zresztą też - dodała, cmoknęła ją w czoło i przeszła do kuchni. - Jak myślisz, odrobiłam lekcję? - zawołała.

- Jasne, mammo, bardzo porządnie! Moje koleżanki mogą mi zazdrościć takiego wykładu.

- Tylko nie licz, że i z tatą o tym porozmawiasz.

- Nawet bym nie chciała, bo nie wiedziałabym jak z nim gadać. Do licha, co ty opowiadasz?!

- Spokojnie, tata tym bardziej nie chciałby o tym rozmawiać! - z kuchni doszedł ją wesoły śmiech.

- Choć nie, mammo, do końca jeszcze lekcji nie odrobiłaś!

- A o czym zapomniałam?

Anna przeszła do kuchni, ale zatrzymała się w drzwiach. Mama nalewała sobie wody mineralnej do szklanki i oparła się o stół.

- Skoro tak wspaniale spędzacie czas w łóżku, to dlaczego jestem jedynaczką?

- Dobre pytanie... Cóż... potem miałam dwukrotnie wczesne poronienie. Długo się leczyłam.

- O rany! Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

- Nie widziałam powodu. Ale... teraz mogę ci powiedzieć. Co byś wolała? Braciszka czy siostrzyczkę?

- Co?!

- Jestem w ciąży, to koniec drugiego miesiąca. Nie wiedziałam, kiedy ci o tym powiedzieć...

- Rany ale fajnie, mammo! Wiesz co? Zafunduj nam parkę! - Anna podeszła do niej i dotknęła ręką jej brzucha. - Da się coś załatwić w tej sprawie?

- Nie. Spokojnie, jeszcze nie ma żadnego kopania - roześmiała się i przytuliła córkę.

- Jesteś wspaniałą mamą.

- A ty wspaniałą córką. A... tata?

- Też jest do rzeczy.

- Tylko?

- Nie. Jest najwspanialszy, i też go kocham. Tylko nie pytaj, kogo z was mocniej...

- Wiem, wiem, to jedno z tych kretyńskich pytań, które są pierwszym stopniem do zniszczenia więzi między rodzicami a dziećmi.

- Zgadza się, mammo.

- No dobrze, więc pomyślmy o obiedzie. Ojciec wróci za pół godziny.

W pokoju Anny odezwała się komórka. Tylko sygnał. Wiedziała, że dzwonił Jacek. Zawsze odzywał się w ten sposób, tak się umówili. Odkleiła się od mamy, przeszła do siebie i

podniosła telefon, który leżał na stoliku, na jednym ze szkiców. Jacek właściwie nie miał jej nic do powiedzenia w sprawie ich akcji, wiedział jedynie, że sprawa już się rozniosła po mieście i mnożą się spekulacje. Kiedy spytała go, czy nie czuje się choćby trochę zniesmaczony tym, co zrobili, to się zawahał, ale odparł, że nie. Jednak jej wystarczyło jego wahanie. Też musiał rozważać to w głębi duszy. Trudno. Mleko się rozlało. Umówili się na spotkanie na trzecią na rynku, stamtąd zamierzali pójść na festyn w amfiteatrze.

* * *

Antoniego Raczkiewicza mocno intrygował widok czerwonego porsche, które mogło należeć tylko do Wiktorii Malińskiej, a stało sobie spokojnie na dziedzińcu komisariatu. Brama była uchylona, więc zauważył wóz, kiedy po krótkiej rozmowie z aspirantem Krasickim - od którego nie dowiedział się zresztą niczego nowego - opuszczał siedzibę policji. No i zaczął łączyć wątki. Wiedział, kto jest w to zamieszany. Było jasne, dlaczego tak postąpili z Romanem, szprycując go najpierw jakimś prochem. Napis na jego klatce piersiowej i plecach był jednoznaczny, nie pozostawiał miejsca na domysły: „Nie będę gwałcił”. Bo mała luka istniała - zgwałcił już kogoś czy nie zdążył? Tak czy owak, Anna i spółka wykonali wyrok na swoim koledze, bo to był wyrok, a nie jakaś zemsta. Wyglądało też na to, że Justyna o niczym nie miała pojęcia, bo przecież, kiedy zobaczył ją w parku, wyczytał z jej oczu zaskoczenie i przerażenie. Marian Stankiewicz przyjechał po syna samochodem, wpakowali go szybko z Justyną do środka i odjechali. No ale jaką rolę odegrała w tym wszystkim Wiktoria? Porsche w siedzibie komisariatu mówiło samo za siebie. Zważywszy na to, że przez kilka dni wynajmowała domek u Stankiewiczów, to ona mogła być łakomym kąskiem młodego Stankiewicza... W sumie jednak Raczkiewicz dysponował zbyt małą liczbą faktów, aby móc poskładać wszystko w konkretną całość. Zresztą, rysowała się ona zbyt sensacyjnie jak na to senne miasteczko.

* * *

Popołudnie było przyjemne, ciepłe, wiał lekki wiatr. Dziennikarz - po smacznym obiedzie zjedzonym, jak zwykle w niedzielę, u siostry - siedział w pustawej kawiarence na rynku, popijał piwo i zastanawiał się, jak rozgryźć tę sprawę. Wątpił, aby Anna i spółka zechcieli się wdać z nim w szczerą rozmowę na ten temat, nie mówiąc już o młodym Stankiewiczu, który zapewne wolał jak najszybciej zapomnieć o sobotniej dyskotecie. Pozostawała Wiktoria, lecz i tu nie robił sobie nawet najmniejszych nadziei, mając w pamięci

jej oschłość w dotychczasowych kontaktach. Zwyczajnie nie lubiła go i tyle, tłumaczył sobie z jakimś żalem.

Właśnie dopijał swoje piwo, gdy spostrzegł, że od strony wieży ciśnień zbliżali się Anna i Jacek. Szli objęci wół, rozmawiali, uśmiechali się do siebie. Najwyraźniej zmierzali do kawiarenki. Istotnie, usiedli dwa stoliki dalej od niego. Przywitali się grymasem uśmiechu, ale żadnego innego zachęcającego gestu z ich strony Raczkiewicz się nie dopatrzył. Jacek kupił dwa napoje i lody owocowe. Nie uszło uwagi dziennikarza, iż pieniądze wsunęła mu dyskretnie do ręki Anna. Dobrze mieć taką dziewczynę, na dodatek śliczną, westchnął tęsknie, wspominając swoje młodsze lata, i postanowił wziąć drugie piwo, choć, gdyby nie oni, to poszedłby już do domu. Zdecydował, że trochę odczeka i przysiądzie się do nich. Może jakimś podstępem uda mu się coś z nich wyciągnąć. Nie zdążył dobrze o tym pomyśleć, gdy od drugiej strony rynku nadeszła kolejna parka, Beata i Marcin, była z nimi także Paula - znał ich jedynie z widzenia. Przysiedli się do Anny i Jacka.

Cholera, takie laski - pomyślał z przekąsem o Annie i Beacie - a chłopaków przygruchały sobie z bidulca, jakby mało im było miejscowych, jakby chciały zrobić im na złość.

* * *

Roman doszedł już w miarę do siebie. Kąpał się w łazience. Niewiele pamiętał z samej dyskoteki i z tego, co działo się z nim później, za to wiedział doskonale, co było wcześniej. Domyślał się, kto go tak załatwił. Z niemałym trudem zmywał z klatki piersiowej czarną farbę. Gorzej z napisem na plecach, którego nie udawało mu się zetrzeć, choć próbował dosięgnąć tam długą szczotką. Postanowił, że na policji będzie się bronił do upadłego, szedł w zaparte, kurczowo trzymał się swojej wersji. Zamierzał zgłosić się tam dopiero jutro. Bał się jak diabli. Chociaż... Liczył na jakąś wyrozumiałość aspiranta Krasickiego, którego przecież znał. Poza tym sądził, że Wiktorcia mu nie udowodni, iż się do niej podstępnie dobierał - to będzie słowo przeciwko słowu. Najważniejsze, żeby się jakoś z tego wyłgać.

Najgorsze jednak, że powinien całą tę historię wyjaśnić rodzicom. Jak miał ich przekonać, że jest niewinny i że draka na dyskotecę to czyjaś zemsta? Justyną nie zawracał sobie głowy, mimo że ona wiedziała o wszystkim - doskonale pamiętał ich rozmowę.

Wreszcie wyszedł z łazienki. W pokoju rozejrzył się za swoimi rzeczami - komórką, zegarkiem. Nie miał pojęcia, gdzie one się podziały. Chwycił za klamkę, ale szybko ją puścił. I usiadł na brzegu tapczanu. Z głębi domu nie dochodził go żaden odgłos - rozmowy, radia,

telewizora - jakby nikogo nie było. Panowała złowieszcza cisza, czuł jednak, że rodzice są na dole i czekają na niego. Przelknął ślinę. Bał się zejść. Bał się nawiązania z nimi tego pierwszego wzrokowego kontaktu, wypowiedzenia pierwszych słów, zwłaszcza w rozmowie z ojcem. A jeśli Justyna wszystko im powiedziała...? Najchętniej by uciekł. Nie byłoby trudno, już nieraz wymykał się w nocy przez okno po rynnie, szedł na jakąś imprezę i tą samą drogą wracał. I nikt z domowników nie miał o tym bladego pojęcia. Ale ile można tak się wymykać?! Wiedział, że teraz musi się przemóc i stawić czoła rodzicom. Wziął kilka głębokich oddechów, otworzył drzwi i z duszą na ramieniu ruszył na parter niczym na sąd kapturowy. Nie wiedział, skąd właśnie to porównanie wpadło mu do głowy. Pewnie było z jakiegoś filmu, bo w odróżnieniu od siostry przedkładał film nad książkę - oglądało się szybciej, ciekawiej i bez najmniejszego wysilania wyobraźni. Kiedy pierwszy stopień drewnianych schodów zaskrzypiał pod jego nogą, momentalnie poczuł krople potu na czole. Przystanął, otarł pot, przelknął ślinę. Naraz znowu zapragnął wrócić do pokoju i zwać z domu po rynnie. W życiu tak się nie bał rozmowy z rodzicami.

* * *

Pod ich parasolem nie wyczuwało się atmosfery euforii po minionej nocy. Było to w jakimś stopniu zasługą samej Anny, która stonowała drapieżny entuzjazm wychowanków domu dziecka. Musieli przyznać jej rację, że mimo słusznego celu, jaki im przyświecał, nie powinni się tą sprawą zachwycać. Zrobili to, co zrobili, i koniec! Lepiej jak najszybciej zapomnieć o tej paskudnej historii. Także Beata, od której to wszystko pośrednio się zaczęło, zgodziła się z Anną.

- I co teraz z nim będzie? - zapytała.

- To jest już domena policji - odparła Anna.

- Czeką go konfrontacja z Wiktoria, bo w sobotę z jakiegoś powodu pokpił sprawę i ona cały czas siedzi w areszcie - wyjaśniał Jacek. - Wiemy, że nasz dyrcio pojechał przed południem na policję, więc mógł jechać tylko do niej.

- Jak wygląda taka konfrontacja? - zacięła się Beata.

- Słowo przeciw słowu, gdy brak dowodów - wyjaśnił Marcin. - Tu trzeba być naprawdę silnym psychicznie, żeby z tego wybrnąć.

- Czyli że Roman może się z tego wyłgać? - dociekała.

- Jeśli będzie cwany i mocny to pewnie tak - westchnęła Anna. - Jutro się dowiemy. Ale on jest w gruncie rzeczy mięczakiem - dodała.

Umilkli, rozejrzeli się i skupili wzrok na dziennikarzu, który z niewielkiego oddalenia przyglądał się im, tak jakby starał się łowić ich słowa.

- Pewnie zainteresował się, o czym gadamy - mruknął Jacek. - Widziałem go w klubie. Kto wie, może on nas widział, kiedy robiliśmy ten numer z zazdrością w tle?! - zaśmiał się do Anny.

- Raczej tak i założę się, że właśnie nas kojarzy z tą akcją - przytaknęła. - A poza tym był rano w parku i zrobił Romanowi zdjęcia. Widać ktoś dał mu cynk.

- Coś czuję, że chętnie chciałby z nami pogadać - rzekł Marcin.

- Wykluczone, ma na to szlaban - orzekła zdecydowanie Anna, a reszta się zgodziła. - Mimo że osobiście nic do niego nie mam, to go nie lubię - dodała.

Ledwie to powiedziała, spostrzegli, jak Raczkiewicz pociąga dwa spore łyki piwa, po czym wstaje, wrzuca pusty kubek do pojemnika na śmieci i podchodzi do nich z chytrym uśmiechem.

- Cześć! Mogę się przysiąść?

- A nie gryziesz? - mruknęła lekko złośliwie Paula i wyszczerzyła zęby.

- Wszystkich pogryźć nie dałbym rady! - rzucił wesoło i usiadł. - No to się narobiło waszemu kumpłowi, co? Miał pecha na dyskotecę.

- Tak? - zdziwiła się Anna. - A co mu się przydarzyło?

- Nie udawajcie, że o niczym nie wiecie.

- Co to ma być? Przesłuchanie? - warknęła Paula.

- W żadnym razie, nie jestem gliną. Ale co nieco wiem o tej sprawie i chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej. Na przykład, co ma z tym wspólnego Wiktoria Malińska...

- Słuchaj, kochasiu - zadziorność Pauli wzrastała. - My tu sobie spokojnie omawiamy nasze wakacyjne plany, chcemy odpocząć od trudów nauki - nie wspomnę o jutrzejszej klasówce z matmy - zastanawiamy się, czy przetrwają nasze nowe przyjaźnie, które zawarliśmy w mijającym roku, marzymy jeszcze o tym i owym, a ty tak na bezczelnego pakujesz się do nas z jakimś gównianym kitem...

- To żaden kit, przecież dobrze wiecie...

- Mało nas to obchodzi - przerwała mu. - Dociera?

- Owszem, ale...

- No to... powiem delikatnie... co jeszcze panu... szczeka w głowie, panie dziennikarzu?

Raczkiewicz skrzywił się:

- Szczeka? Nie bardzo rozumiem...

Paula lekceważąco machnęła ręką.

- Nie jest pan na bieżąco. Tak czy owak, chcemy zostać sami. Kumamy?

Raczkiewicz mógł tylko odchrząknąć i zmyć się jak niepyszny. Towarzystwo pod parasolem mocno się powstrzymywało, aby nie parsknąć śmiechem. Dziennikarz nawet się nie obejrzał w lewo, gdy z płyty rynku wkraczał na jezdnię i niewiele brakowało, a stuknąłby go zbyt szybko jadący peugeot.

- I takim prostym sposobem mielibyśmy go na sumieniu - powiedział poważnie Jacek do Anny, która jedynie wzruszyła ramionami i przytuliła się do niego. Starał się nie okazywać zadowolenia, jakby mu to spowszedniało.

Paula zwiesiła głowę. Nagle zrobiło się jej bardzo przykro. Zazdrościła im tej miłości, ale była to zazdrość nie bardziej szkodliwa niż bąbelek po ukąszeniu przez komara. Marzyła o czymś takim, lecz Jacek nie był jej przeznaczony. Pogodziła się z tym faktem, bo niby co miała zrobić. Od pewnego czasu niemal każdego wieczoru marzyła o księciu z bajki, który przyjeżdża na białym rumaku. Na duchu podtrzymywało ją przeświadczenie, że w jej życiu jeszcze się zjawi taki rycerz, prędzej czy później, bo przecież inaczej być nie może. *Każdy ma swoje pięć minut, które powinien wykorzystać* - przypomniawszy sobie słowa Jacka wypowiedziane kilka dni temu.

* * *

- Nie musisz stapać tak ostrożnie! Schody jeszcze nie są zaminowane! - z dołu dotarł do niego wściekły wrzask Justyny. Struchlał.

Kiedy po sekundzie rozległ się przeraźliwy dźwięk patelni, która uderzyła o posadzkę w kuchni, wystraszył się tak mocno, że poślizgnął się na wyokrąglonym stopniu, na plecach zjechał na półpiętro i z impetem uderzył głową w drewnianą barierkę. Teraz już nie było odwrotu. Pozbierał się. Na czole zapowiadał mu się ładny guz. Zszedł do kuchni, masując obolałe miejsce. Przystanął na progu i patrzył dokoła błędnym wzrokiem.

- Gdyby tylko takie historie ci się przydarzały co? - powiedziała Justyna bardzo spokojnie, wręcz słodko, ledwie na niego zerknąwszy. Zbierała z posadzki dwa nieduże przypalone steki, które próbowała usmażyć sobie na obiad, ale nie miała talentu do gotowania, podobnie jak matka. Nie pamiętała niedzieli, żeby nie było obiadu. Wreszcie uporała się z oczyszczeniem posadzki, bo i tłuszcz się rozlał, a to już była tragedia. Wszystko wrzuciła do śmieci.

Roman zrobił kilka ostrożnych kroków. Ciągle trzymał się za czoło. Z szuflady wyjął

duży nóż i przyłożył sobie do guza, po czym usiadł przy stole.

- Gdzie starzy?

- Poszukują cię.

- Co? Przecież... przecież...

- Przecież co?

- Tu jestem.

- Niemożliwe. Czy to na pewno ty? Jeśli rozum przegrywa z wyobraźnią, to znaczy że nadaje się tylko do machania łopata, a nie do sprawiania, żeby ona sama machała - wycedziła złowieszczo i zajęła się szorowaniem patelni, co robiła wyjątkowo mściwie.

- Słuchaj, Justyno...

- Jesteś pewien, że tak mi na imię? A może Wiktoria? Albo Anna?

- Anna?!

Justyna przerwała czyszczenie patelni.

- Też mam oczy i umiem patrzeć, a nawet słyszeć co nieco. Założę się w ciemno o wszystko, co mam, że te cholerne piguły skombinowałeś właśnie na Annę, popaprańcu, bo ci się mocno podoba, a tu jakiś... dupek z bidulca - używając twojego języka - ma śliczną Annę... Ale z nieba nieoczekiwanie spadła jeszcze śliczniejsza Wiktoria, raptem na kilka dni... Więc czemu by nie skorzystać, nie poduczyć się tego i owego niczym z... dmuchaną lalą... Bez konsekwencji, prawda? Uprzedzam cię, że starszankowie znają prawdę, powiedziałam im o wszystkim. Dociera do twojego rozchmielonego mózdzku, braciszku?

Roman odjął nóż od czoła i popatrzył na siostrę, ale jakby jej nie widział. Po chwili ponownie przyłożył ostrze, tylko drugą stroną.

- Powiedziałaś im...

- A na co liczyłeś? Tobie się wydaje, że kim ty jesteś? Klejnotem rodowym? - wróciła do czyszczenia patelni.

- Nie wiem... już sam nie wiem...

- Lepiej nie zwalaj winy na hormony, bo to nie one kozaczą, a potem pokutują. Im to normalnie zwisa jak twój penis pod prysznicem. Pamiętasz, że masz się zgłosić na policję?

Odruchowo potrząsnął głową.

- Kiedy to zrobisz?

- Nie wiem jeszcze...

- Jeszcze nie wie! - Justyna zawiesiła patelnię na haku na ścianie, pośród kilku innych różnej wielkości, po czym wyrzuciła ręce w górę. - To jak długo, do cholery, Wiktoria ma przez ciebie kiblować w areszcie, co?! Jak długo?!

- Nie wiem...

- A co zamierzasz powiedzieć podczas konfrontacji?

- Nie wiem...

- No to wiesz sporo, bo ja nawet nie wiem, że czegoś nie wiem - zakpiła. - Jesteś żaloszny! A co do mnie, to jestem właśnie po spóźnionym obiedzie - dodała, obrzuciwszy tęsknym spojrzeniem lśniące garnki i patelnie, które tylko się prosiły, aby wziąć je do ręki, zapelnąć mięsivem, warzywami i podgrzać tak mocno, żeby aż w nosie drażniło od przyjemnego zapachu. - Przez ciebie przypaliłam steki. Jestem głodna, ty popaprańcu! - dorzuciła i wyszła, wściekle trzaskając drzwiami, znad których spadł drewniany krucyfiks.

Mimo swądu spalenizny, Roman poczuł przyjemny zapach perfum siostry, choć nie były to przereklamowane Chanel N° 5.

- Justyna, gdzie oni są?! - zawołał, ale zamiast odpowiedzi doczekał się jedynie drugiego łoskotu drzwi - do łazienki, a po minucie trzeciego - drzwi wyjściowych.

* * *

Zenek siedział w Irlandii, sączył colę i palił papierosa. Po minionej nocy jakoś nie miał ochoty na piwo. Za wiele go wyzłopali ze Żmiją, a wcześniej także z Romanem. Od rana Roman nie dzwonił do niego, co mocno go dziwiło, ale przestało przed godziną, kiedy dowiedział się od kumpla o zagadkowej szopce Anny i Jacka, na dyskotecę, a potem o znalezieniu kompletnie otumanionego i prawie nagiego Romana w parku. Tyle że nie potrafił tego poskładać w sensowną całość, na razie miał przed sobą porozrzucane puzzle. Domyślał się, że ktoś potraktował Romana tabletką gwałtu - ale dlaczego wymalowano na jego ciele ten kretyński napis? Czyżby kogoś zgwałcił?

Zenek snuł domysły. W końcu to Żmija załatwił mu prochy. Zresztą, był jego nadwornym dostawcą. Wiedział, że Roman od dawna czaił się na Annę, po to potrzebował piguły. W gruncie rzeczy Zenek tego nie pochwalał. Kombinując dalej, doszedł do wniosku, że Romanowi nie chodziło o Annę, przynajmniej na razie, tylko o Wiktorię. Kiedy przypomniał sobie przedstawienie Anny w szkole, wszystko stało się dla niego jasne.

- Wiktor! To ją zgwałcił - mruknął z błyskiem w oczach, w chwili gdy w barze przysiadł się do niego Żmija.

- Dobry pomysł z tą colą - uśmiechnął się kumpel i strzelił palcami na barmana, wskazując drugą ręką na butelkę coli.

Zenek podzielił się z nim swoimi domysłami, które ten uznał za całkiem dorzeczne.

- Cholera! - zaklął Zenek. - Co z niego za głupi fiut! Kretyn! Skubaniec!
- Głupi fiut! Kretyn! Skubaniec! - zgodził się Żmija i podszedł do barmana po colę.

* * *

Roman wreszcie ruszył się z kuchni i wszedł do jadalni. W drzwiach go замуrowało. Przystanął. Sąd kapturowy - mimowolnie przypomniał sobie skojarzenie sprzed paru chwil. Rodzice najwidoczniej cały czas byli w domu, w milczeniu siedzieli w jadalni przy dużym stole, który już niejedno widział i słyszał. Ręce mieli wyciągnięte na błyszczącym blacie, miny posępne. Zapewne słyszeli wszystko, o czym była mowa w kuchni. Obojętnie patrzyli na jego rozszerzające się oczy. Ich spojrzenia i milczenie były dla niego bardziej wymowne od najostrzejszej tyrady gniewu i wściekłości. Z trudem przełknął ślinę, nieśmiało zrobił krok do przodu. Zatrzymał się ponownie, tym razem jak zahipnotyzowany - lewa ręka matki wolno, wręcz demonstracyjnie spoczęła na prawej dłoni ojca. To było niczym wielka pieczęć. Ten gest powiedział mu wszystko.

* * *

Ruszyli na festyn całą paczką, spod kawiarnianego parasola, aż do miejskiego parku, do którego zmierzało coraz więcej ludzi. Pogoda była wymarzona na plenerową imprezę. W pewnym momencie spostrzegli idącego w ich kierunku aspiranta Jerzego Krasickiego. Był po cywilnemu - w beżowych spodniach i kolorowej koszuli z krótkimi rękawami, na oczach miał ciemne okulary. Na smyczy prowadził swego trzyletniego labradora o biszkoptowej sierści. Wszyscy znali doskonale Krasickiego, zwłaszcza Anna i Jacek, którzy byli w jednej klasie z Krysią, córką policjanta.

Anna uświadomiła sobie dziwną rzecz. Odległość między nimi wprawdzie się zmniejszała, ale z każdym krokiem nieco wolniej, tak jakby zarówno oni, jak i on mieli za moment stanąć do pojedynku. Wreszcie zatrzymali się o dwa kroki od siebie. Labrador spokojnie przysiadł przy nodze swego pana.

- Dzień dobry - ukłonili się gremialnie.
- Dzień dobry - uśmiechnął się Krasicki i przesunął ciemne okulary na łysiejące czoło.

Dłuższą chwilę patrzyli na siebie nawzajem, sondując zamierzenia drugiej strony. Annie wydawało się, że spojrzenie policjanta jest cokolwiek za badawcze i jakby podszyte figlarnością.

- Pewnie wybieracie się na festyn, co?

Potrząsnęli twierdząco głowami.

- Pogoda wymarzona na taką imprezę - ciągnął spokojnie.

- Yhm... - odmruknęli.

- Będzie można się dobrze zabawić, prawda?

Ponownie potrząsnęli głowami.

- Coś konkretnego macie w planie?

Tym razem pokręcili głowami przecząco.

- Na wczorajszej dyskotekce dobrze się bawiliście?

Wzruszyli ramionami.

- Bywało lepiej?

- Yhm...

- Ale zawsze sobie poradzicie, co?

- Yhm...

- Nie powiem, zagadalibyście człowieka na śmierć!

Parsknęli śmiechem. Krasicki też się roześmiał i wpatrzył się uważniej w Annę, która momentalnie spięła się wewnątrz.

- Żałuję, że nie byłem w piątek na twoim wernisażu. Krysia tak mnie zachęcała, ale musiałem pójść do pracy.

- Wystawa jest czynna do końca maja, więc nie ma problemu ze zwiedzaniem - wyjaśniła uprzejmie. - Jeszcze pan zdąży.

- Na pewno zajrzę. No to życzę miłego popołudnia.

- Wzajemnie.

Rozeszli się.

- On wie, że to nasza robota - powiedział Jacek.

- Jak amen w pacierzu - zgodził się Marcin.

- Zobaczmy czy coś z tego wyniknie, ale pewnie nic - uśmiechnęła się beztrąsko Anna i nagle spostrzegła idących od strony Irlandii Żmiję i Zenka. Żmija coś mówił z zacięciem, bo żywo gestykulował, a Zenek służalczo mu potakiwał. Wskazała ich Jackowi, który tylko wzruszył ramionami.

Zenek i Żmija szybko się z nimi zrównali. Zenek mruknął bezpłciowo ledwie słyszalne „Hej”, a Żmija obrzucił ich zimnym, nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Nie cierpię go, czasem samo jego spojrzenie zwyczajnie odpycha - powiedziała ponuro Anna, gdy tamci ich wyprzedzili.

- Spokojnie - ostrzegł ją Marcin.

* * *

Rodzinny festyn trwał w najlepsze. Zapelniony ludźmi amfiteatr tętnił wesołym gwarem. O tej popołudniowej porze przyszło też mnóstwo dzieci. Ich ubiory mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Na parkowych skwerkach i w alejkach rozlokowały się rozmaite stoiska, a do wszystkich ustawiły się długie kolejki. Gwiazdą wieczoru miał być młody szczeciński zespół Lord z coverami nieistniejącej już brytyjskiej grupy Queen.

Na scenie prezentował się właśnie dziewczęcy zespół taneczny Bailamos z domu kultury. Dziewczyny tańczyły w rytm ognistej hiszpańskiej muzyki puszczanej z playbacku, jak to najczęściej bywa na tego rodzaju imprezach. W czarno-czerwonych strojach wyglądały uroczo. Widzom podobał się ich występ, bo co jakiś czas - gdy zachwycił ich jakiś układ choreograficzny, idealnie zgrany z muzyczną frazą - rozlegały się brawa.

Justyna siedziała na koronie amfiteatru, który zamykał się niewysokim ceglany murem. Dalej za nim ciągnął się park. Zajmowała ławkę z jakimś młodym małżeństwem z chłopczykiem, który zanurzał twarz w cukrowej wacie. Ona sama jadła zapiekankę, popijając ją sokiem pomarańczowym, aby oszukać żołądek po „syтым i smacznym obiedzie”, który spalony, wylądował w koszu. Ze smutkiem, a może i z nutką zazdrości przyglądała się zadowolonym ludziom, którzy zdawali się nie mieć żadnych problemów, podczas gdy ona je miała. Choć, na dobrą sprawę, nie musiała ich mieć, przecież raz na zawsze wyrzekła się brata i mogła o nim nie myśleć. Ale to nie było takie proste. Cała ta sprawa tkwiła w jej umyśle, bolała ją mocniej, niż się spodziewała. No i ona sama czekała tylko na to, kiedy dyskretnie zaczną wskazywać ją palcami i szeptać, że jest siostrą tego drania, który... Właśnie owo „który” było dla Justyny dojmująco przykre.

W pewnym momencie skupiła wzrok na Beacie, Annie i reszcie znajomych. Siedzieli kilka metrów niżej, pośrodku prawej strony amfiteatru. W tym mrowiu ludzi udało się jej dostrzec ich dopiero teraz. Ciekawiło ją, czy oni zobaczyli ją wcześniej. Ale pewnie nie, bo daliby o sobie znać. Zastanowiła się, czy nie podejść do nich - mogłaby się gdzieś wcisnąć albo usiąść Beacie na kolanach. Ale, czy miałyby odwagę spojrzeć im w oczy? Przecież wiedzieli, że ona się domyśla, kto załatwił Romana. I właśnie świadomość tego faktu nie ułatwiała jej podjęcia decyzji.

Dziewczyny na scenie zakończyły swój program, otrzymały zasłużone brawa, a konferansjerka Michalina Janicka, szefowa domu kultury, zapowiedziała kolejną atrakcję festynu - występ iluzjonisty. Justyna obojętnie przyglądała się zręcznym popisom sztukmistrza, który po dwóch zaprezentowanych przez siebie sztuczkach zaprosił do

współpracy czworo dzieci. Chętnych oczywiście było więcej.

Naraz poczuła lekkie klepięcie w lewe ramię. Odwróciła głowę. Dowcipniś stał z drugiej strony.

- Cześć!

Zastygła z na wpół otwartymi ustami, z których nie wydobył się żaden dźwięk. Prędzej by się diabła spodziewała!

* * *

Roman siedział na samym końcu długiego stołu. Czuł się jak na Sądzie Ostatecznym. Rodzice ciągle milczeli, patrząc na niego z drugiego końca. On też próbował na nich zerkać, ale znacznie częściej gapił się w lśniący blat. Między nimi toczyła się rozmowa bez słów, ale więcej było w niej treści niż w niejednej powieści, choćby w opasłej „Zbrodni i karze” Dostojewskiego. Wreszcie krępującą ciszę przerwał ojciec.

- Gdybym wyrzucił cię z domu, byłby to dla nas jeszcze większy wstyd, a chciałbym zaoszczędzić tego zarówno mamie, jak i sobie - odezwał się cicho i spokojnie. - Jeśli masz w jakiś sposób „zmiksowaną tożsamość”, to jest to, niestety nasza wina, moja i mamy, a uogólniając, świata dorosłych, którzy też kiedyś byli młodzi. Bo... dzisiejsza młodzież jest okropna od zawsze, czyli w każdym pokoleniu bez wyjątku, i najczęściej o krok wyprzedza własną mądrość. Kłopot w tym, mój synu, że na razie nie znaleziono lekarstwa na całe zło. Lecz to wszystko w żaden sposób nie może być dla ciebie usprawiedliwieniem. I powiem ci jeszcze, że wasz świat, ludzi młodych, niekiedy przeraża nas, starszych. Nie chcę moralizować, ale nigdy mi się nie zdarzyło, abym próbował zgwałcić kobietę. Albo zdobywałem ją, albo nie. Zawsze dbałem o własny honor, nigdy nie splamiłem go czymś tak podłym. Jutro zgłosisz się na policję. Zdaje się, że oni nie puszczą ci tego płazem, a nie mam zamiaru wydzwaniać do Krasickiego, mimo że bardzo dobrze się znamy, bo parę wódek razem wypiliśmy. Jasno się wyraziłem?

Roman przełknął ślinę i nieznacznie skinął głową.

- I jeszcze coś bardzo ważnego, jak mi się zdaje... - ciągnął ojciec. - Straciłem dla ciebie wszelki szacunek. Mama też. Bo wbrew pozorom rodzice również mają szacunek dla własnych dzieci - spojrzał na żonę, która z zaciśniętymi ustami uparcie wpatrywała się w syna. Oczy miała szkliste, ale żadna łza nie stoczyła się po jej policzkach. - I pomyśl o swojej siostrze, która przez ciebie także w pewien sposób ucierpi, a właściwie już cierpi, bo bardzo zmieniła się w ostatnich dniach. Przeżywa to. Pewnie nawet tego nie zauważyłeś. Będę teraz

bardzo brutalny, synu... Ja mogę cię stracić, ale nie mogę stracić Justyny. - Umilkł, zerkając na żonę, która ciągle siedziała, nieporuszona, jakby nic do niej nie docierało.

Roman odchrząknął. Ojciec milczał chwilę, po czym znowu zaczął:

- Nie wiem, jak będziesz chciał odbudować swój wizerunek, ale powinieneś się bardzo mocno o to postarać. Nieźle zaczynasz swoje życie! Nawet nie zazdroszczę ci twoich lat, mimo że czasami tęsknię za młodością. Cóż, psy szczekają, karawana jedzie dalej - zakończył posępnym tonem i zaczął mierzwić palcami swoją szpakowatą bródkę.

Roman wstał i wyszedł bez słowa.

* * *

Anna, Beata i Paula zachwycały się popisami iluzjonisty bardziej niż chłopcy. Mimo że nie wierzyły w szachrajstwa, którymi zręcznie oczarowywał ludzi, to zastanawiały się, w jaki sposób on to robi, że ludzie dają się nabrać. Ale tak naprawdę myślały o czymś innym - o siedzącej na koronie amfiteatru Justynie, którą jakiś czas temu wypatrzyła Paula. Cała paczka obawiała się spotkania z nią twarzą w twarz. Chyba dawały znać o sobie wyrzuty sumienia, mimo że uparcie obstawali przy swojej tezie, iż działali w dobrej wierze.

- Naprawdę, nie wiem, co zrobić - powiedziała Anna. - Trochę się boję rozmowy z Justyną.

- Mnie też będzie jakoś dziwnie, kiedy się z nią spotkam - Beata spojrzała na Marcina.

- Ale przecież nie możemy udawać, że nic się nie stało, bo stało się bardzo wiele - stwierdziła Anna. - To my musimy pójść do niej. My, rozumiecie?!

- Po przebaczenie? - rzucił kpiąco Marcin.

- Nic podobnego, ale nie musisz sobie drwić z tego, sprawa jest zbyt poważna - obruszył się Jacek.

- Masz rację, zagalopowałem się.

- Wydaje mi się - podjęła Anna po namyśle - że byłoby to w jakimś sensie uczciwe z naszej strony. Ona zasługuje na to, żebyśmy nie zachowywali się wobec niej jak strusie i mieli odwagę spojrzeć jej w oczy. Powinna wiedzieć, że nic do niej nie mamy, że nie chcemy popsuć wzajemnych więzi, że... Cholera, już nie wiem, co jeszcze... Po prostu my pierwsi musimy zrobić ten krok i tyle! - zaakcentowała.

- Teraz? - zapytała Beata i odwróciła się, spoglądając na koronę amfiteatru. - Ej, zobaczcie, kto z nią siedzi! - zawołała naraz. Wszyscy jak jeden mąż się odwrócili.

- O rany! - jęknęła Anna. - Nie wierzę!

* * *

Czuł się gorzej niż podle. Był zdruzgotany spotkaniem z rodzicami, a zwłaszcza słowami ojca, które ciągle dźwięczały mu w uszach i zdawały się rozsadzać mózg: „Mogę stracić ciebie, ale nie mogę stracić Justyny”. To było gorsze od kary śmierci! Choć zastanawiające, że mówił w liczbie pojedynczej, a nie mnogiej. Jednak postawa milczącej i skamieniałej matki była jednoznaczna - stała murem za ojcem.

I dopiero teraz na dobre dotarło do niego, że chyba całe miasteczko gada na jego temat. Wstyd mu było jak diabli. A co powiedzą w szkole? A raczej, czego nie powiedzą? Bał się pójść na dzisiejszy festyn, żeby nie wytykali go palcami, choć wcześniej ostrzył sobie zęby na tę imprezę, bo przecież trochę kulturalnego urozmaicenia nie zaszkodzi.

Wyszedł z domu i bezwiednie skierował się w stronę drewnianych domków. Usiadł na schodach werandy domku, w którym zamieszkiwała Wiktoria. Nie wiedział, dlaczego przyszedł właśnie tutaj. Kiedyś wyczytał w jakimś kryminale, a może usłyszał w trakcie oglądania filmu, że przestępca zawsze wraca na miejsce zbrodni. I to mu się teraz przypomniało. Bo czuł się jak przestępca. A przecież wszystko mogłoby wyglądać zupełnie inaczej! Głupi przypadek z Beatą, bo nagle zachciało się jej pić! Rozpamiętywał wszystko rozżalony - gdyby mu się udało, nikt o niczym by nie wiedział, a on nie siedziałby teraz tutaj niczym cierpiętnik, tylko zadowolony z przygody z Wiktorią polowałby na Annę. Lecz wszystko legło w gruzach. Odechciało mu się seksu, a jeszcze nie miał dziewczyny nie wiedział, jak to naprawdę jest z nią w łóżku. Kompletnie nie miał pojęcia, co ze sobą począć.

Wiktoria siedziała nad ankietami, które skrupulatnie analizowała. Odsłuchiwała też z dyktafonu fragmenty zapisu spotkania w domu kultury. Co pewien czas robiła notatki. Jednak im bardziej zagłębiała się w szczegóły tym gorsze nachodziły ją wątpliwości co do celowości jej nauki i przyszłej pracy. Kiedy kilka lat temu podjęła decyzję o wyborze kierunku studiów, nie zastanawiała się tak dogłębnie nad tym, czym naprawdę jest ta dziedzina nauki. Nie wiedziała, że w gruncie rzeczy polega na obserwacji wszelkich zjawisk społecznych, a następnie na wysnuwaniu wniosków i... Właśnie to „i” zaczęło ją z lekka kłuć.

Żniwo, jakie zebrała w swoich ankietach, wydawało się porażające. Zresztą niczego nowego nie odkryła, ktoś złośliwy mógłby na upartego zarzucić jej plagiat pracy dyplomowej, którą niebawem musiała ukończyć. Więc jaki sens miały jej kilkuletnie studia?

Nieco zmęczona, oderwała się od papierów i stanęła przy zakratowanym oknie wychodzącym na dziedziniec, na którym stało porsche jej chłopaka. Klaudiusz byłby nielicho zdziwiony, gdyby się dowiedział, gdzie ona teraz przebywa. Choć pił rzadko, to pewnie na

taką wiadomość urznąłby się kilkoma kuflami ciemnego, mocnego guinnessa.

Był wspaniałym chłopakiem. Kiedy pierwszy raz zobaczył na jej ciele blizny z dzieciństwa, to najpierw był przerażony, a potem już tylko powiedział, krótko i prostolinijnie, że ciężkie dzieciństwo musi być odpowiednio wynagrodzone.

* * *

Nie odzywała się, kończyła swoją zapiekankę, która nagle przestała jej smakować, o ile w ogóle coś takiego może smakować inaczej niż doprawiona zapachami guma. Zerknęła na swojego sąsiada. Żmija, od chwili gdy bezceremonialnie się do niej przysiadł, jakby nieco skrzepowany też milczał. Wyciągnął papierosy i zapalił.

- Chciałbym pogadać o Romanie - zaczął niepewnie.

Justyna spojrzała na niego odpychająco.

- A dlaczego ze mną? Nie jestem jego mamą ani tatą.

- Wiesz, że on ćpa? No, od czasu do czasu. Nie jest jeszcze uzależniony.

- Nic mnie to nie obchodzi! Jeśli ćpa, to myślę, że w jakimś stopniu jest to i twoja zasługa.

- Otóż nie. Wyłącznie jego. Może nie wiesz, ale ja nie ćпам, nie jestem tak głupi, choć piję, owszem. Ja tylko dostarczam mu towar, bo on nie chce się bratać z innymi dealerami. Wiesz, że woli stwarzać pozory świętego - kochanego synka mamusi, dobrego brata, porządnego licealisty... Wydaje mu się, że wszystkich oszukuje, że wszyscy dają się nabrać. Ale on nie potrafi oszukać nawet samego siebie. Wiesz, co ostatnio u mnie zamówił?

- Nie chcę wiedzieć - przeżuła resztę zapiekanki, zmięła po niej papier i otarła nim usta. Rozejrzała się za koszem na śmieci. Stał zbyt daleko, by do niego trafić, więc trzymała papierową kulkę w ręku.

- Jednak ci powiem.

Justyna z trudem opanowywała podenerwowanie.

- Nie chcę wiedzieć. Nie dociera to do ciebie, Żmija?

- Wyluzuj, naprawdę! Jestem wściekły na niego po tym, co zrobił. Powiedz mu to.

- A to mi nawrócony! - parsknęła na tyle spontanicznie i głośno, że siedzący przed nimi się odwrócili. Po chwili ściszyła głos: - Sam mu to powiedz. Co to, sumienie cię ruszyło? Czujesz się współwinni?

Żmija umilkł, zacisnął zęby.

- Kiedy prosił mnie o te pigułki, nie zastanawiałem się nad tym - zaczął chropowato. -

Ale teraz... Posłuchaj, Justyna, trochę znasz mnie ze słyszenia, krążą o mnie różne opinie. Nie dbam o to, ale mimo wszystko nigdy nie zgwałciłem dziewczyny, choćby była królewną i śniła mi się po nocach. Nigdy. Nie posunąłbym się do czegoś takiego. Wierz mi albo nie.

Justyna ściągnęła usta, spojrzała uważniej na Żmiję.

- On tego nie zrobił - rzekła ledwie dosłyszalnie.

- Nie?! - zdziwił się i przygładził ręką krótkie rude włosy.

- Nie.

- To dlaczego wysmarowali mu ten napis?

Zwiesiła głowę, odruchowo lewą dłonią chwyciła za przegub prawej ręki - czegoś jej brakowało: bransoletki. Milczała. Czuła się głupio, jakby to ona była winowajczynią.

- A... kapuję... ostrzeżenie... - wymruczał Żmija, wpatrzony w jej ładny profil. - Tak czy inaczej chciał to zrobić, lecz z jakiegoś powodu mu się nie udało. Wychodzi w sumie na jedno. Wiem też, na kogo zapolował. Ty też wiesz, prawda?

- Jeszcze masz coś do mnie? - zapytała bardziej ugodowym tonem.

- Nie. Sorki, że ci tak marudzę. Ale przekaż mu to, bo ja mógłbym nie zdzierżyć i mu do tyłka porządnie nakopać, zmaltretować go. Chcę ci tego oszczędzić.

- Oszczędzić? - zdumiała się. - Mnie? A to niby czego?

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Posłuchaj... Zdaje się, że wystarczy ci przykrości z jego powodu. Po co miałabyś go zobaczyć jeszcze pobitego? Wtedy już chyba całkiem straciłby w twoich oczach, no nie? A tak może... mu jeszcze jakoś wybaczysz... Nie wiem... Zakładam, że musisz czuć do niego coś w rodzaju... obrzydzenia czy czegoś jeszcze gorszego... Przecież musiała cię ta sprawa jakoś poruszyć. Nie jesteś z kamienia.

- Ale to wyłącznie moja rzecz.

- Oczywiście. Nic mi do tego. Mimo to trzymaj się, nie daj się nikomu złamać, musisz być dzielna, Justyno. Cześć! - dodał i spokojnie odszedł.

Justyna spoglądała za nim, nie bardzo wiedząc, co myśleć o takiej postawie chłopaka, co do którego miała ugruntowaną opinię - bezwzględnie negatywną. Czarny charakter i tyle. A teraz nagle zaczęła postrzegać go inaczej. Mówił tak jakby znał trochę jej myśli i uczucia wobec Romana. Domorosły psycholog i taki wrażliwy? Coś nieprawdopodobnego! Jednak kiedy zniknął jej z oczu, zawieruszył się gdzieś na dole, w tłumie, przestała się nim zajmować. Znudziło się jej siedzenie, nie interesowała się popisami iluzjonisty, zresztą w ogóle nie miała dziś głowy do zabawy. Wstała, przeszła koroną na skraj amfiteatru i ruszyła na dół, dyskretnie zerkając na prawo, aby sprawdzić, czy ktoś jakoś szczególnie na nią nie

patrzy. Chyba nie. Niewiele jej to ulżyło, gorsza stawała się świadomość, że coś takiego może się w każdej chwili zdarzyć, a ona będzie musiała umykać wzrokiem i płonąć ze wstydu. Zauważyła jednak, że jej przyjaciele niepostrzeżenie ją obserwują. Tylko Beacie jakoś nie wychodziła ta dyskrecja. Nie nadawałaby się na szpiega. Justyna nie wiedziała, czy chciałyby się z nimi spotkać. Obawiała się pewnej niezręczności, jaka może wyniknąć z tej rozmowy, niezależnie od tego, czego by dotyczyła. Z pewnością byłaby sztuczna. Ona wiedziała, oni wiedzieli - zamknięty krąg.

Postanowiła pójść wąskim przejściem na tył muszli koncertowej, a nie iść przed frontem widowni, żeby nie rzucać się w oczy bynajmniej nie przyjaciółom, tylko pozostałym ludziom, którzy mieliby ją na oczach niczym jagnię na ruszcie. Spostrzegła, że cała paczka ruszyła, prawdopodobnie jej na spotkanie, obchodząc muszlę z drugiej strony. Na tyłach znajdował się niewielki parking, na którym stało kilka samochodów. Tutaj uwijali się dorośli i dzieci. Ci pierwsi, ubrani w ludowe stroje, byli kolejnymi aktorami festynu. Po kilkunastu krokach znowu zobaczyła swoich znajomych. Nie było sensu uciekać. Zatrzymali się o dwa kroki od siebie.

- Hej! - przywitała ich Justyna.

Odpowiedzieli niemal chóralnie. Przez chwilę badali się wzajemnie zakłopotanymi spojrzeniami.

- Cóż, stało się, co się stało - podjęła Justyna. - Trochę dziwnie się czuję, ale co zrobić...

- Nam również jest bardzo przykro - powiedziała Anna. - Nie chcemy się tłumaczyć, dlaczego zdecydowaliśmy się na taki krok, ale...

- Nie musicie - przerwała jej Justyna. - Gdybym nie była siostrą Romana, to bym się do was przyłączyła.

Zakłopotanie widoczne na twarzach całej grupy nagle uleciało, pojawiły się stare, przyjazne i szczere uśmiechy.

Poniedziałek, 21 maja

Od rana lało jak z cebra, było chłodno, na dodatek dokuczliwy wiatr wzmagął uczucie zimna. Mimo tej pogody Roman sam zgłosił się na komisariat. Zjawił się kwadrans po dziesiątej. Mokry i spięty. Z duszą na ramieniu.

Kiedy dyżurny policjant wprowadził Wiktorię Malińską do biura aspiranta Jerzego Krasickiego, Stankiewicz siedział potulnie naprzeciwko śledczego, drugie krzesło czekało na

nią. Przez parę sekund Wiktoria wpatrywała się w profil chłopaka, ten nawet nie ruszył głową, aby na nią spojrzeć, wzrok miał wbity w podłogę, a dłonie kurczowo zaciśnięte. Aspirant bez słowa wskazał jej miejsce. Usiadła.

- Reguła jest prosta - zaczął z powagą. - Przesłuchuję jedną stronę, druga w tym czasie absolutnie milczy potem na odwrót. Czy to jasne?

Skinęli głowami.

- Świetnie, to zaczniemy od ciebie - zwrócił się do Romana i wziął do ręki złożone przez niego zawiadomienie. Przez chwilę się w nie wczytywał. - Czy podtrzymujesz swoje zarzuty wobec pani Wiktorii Malińskiej?

- Tak - odparł cicho, wpatrując się w podłogę.

- Sugerowałbym, abyś nie patrzył w dół, tylko na mnie, mimo że nie jestem piękną kobietą.

Roman odchrząknął, uniosł głowę, wyglądał na stropionego.

- Znakomicie. Tak trzymać. Czy chciałbyś uzupełnić swoje zeznanie o jakąś informację?

- Nie.

- A więc wszystko jest jasne. Otóż pani Wiktoria Malińska absolutnie nie zgadza się z twoimi zarzutami. Twierdzi, że są w całości wysrane z palca i mówi, że to ty chciałeś ją zgwałcić, posługując się uprzednio tak zwaną tabletką gwałtu. Co ty na to?

- To nieprawda! Było tak jak powiedziałem.

- Rozumiem. Czy wiesz coś więcej o narkotykach, które znaleźliśmy w domku zajmowanym przez panią Malińską?

- Nie, ja tylko sugerowałem, że ona ma je u siebie. Takie wrażenie odniosłem, kiedy mnie zaprosiła. Wydaje mi się, że ona nie zabrała ich dlatego, iż chciała mnie pogrążyć... no, z zemsty za to, że... że nie dałem się jej... Pewne rzeczy zwyczajnie się wyczuwa, panie aspirancie.

- Jasne, tak jak na przykład ja teraz ciebie. Opisz mi... piersi pani Malińskiej. I brzuch - dodał zaskakująco i z założonymi rękami rozsiadł się wygodniej na krześle.

- Słucham?! - Roman wytrzeszczył oczy i znieruchomiał.

- Powiedziałeś, że pani Malińska obnażyła się przed tobą do połowy, ujęła twoją rękę i zaczęła nią pieścić swoje piersi. Prawda?

- No tak... bo tak było.

- Więc opisz mi piersi, w które się wpatrywałeś, tak bardzo mocno zawstydzony i zgorszony.

Roman zaczął się niespokojnie wiercić na krześle, ale nawet nie zerknął na Wiktorię, która spokojnie siedziała z rękoma leżącymi na blacie stołu.

- No... panie aspirancie... byłem tak zszokowany... jej bezczelnością... cóż, piersi jak piersi... bardzo ładne... z tego szoku... niewiele pamiętam... - umilkł.

- Jasne. Ale mimo wszystko piersi są piersiom nierówne. Są większe i mniejsze, bardziej jędrne lub mniej, na niektórych są wrodzone znamiona, choćby pieprzyk w jakimś miejscu, albo tatuaże, a może wreszcie na brzuchu znajdzie się jakaś brzydka blizna, na przykład pooperacyjna, po usunięciu wyrostka... I tak dalej... - aspirant zerknął na Wiktorię, w której oczach dostrzegł wesołe iskierki. - No więc, jak wyglądają piersi pani Malińskiej i brzuch? Nie krępuj się, śmiało! Jesteśmy tu wszyscy dorośli. Chcę ci przypomnieć, że masz ukończone siedemnaście lat i odpowiadasz już jako osoba dorosła. Zatem słucham, młody człowieku. Nie wstydź się, bądź prawdziwym mężczyzną! Pani Malińska z pewnością nie poczuje się zgorazona. Proszę, mów.

Roman zaczął przełykać ślinę, na jego czole pojawiły się kropelki potu. Milczał. Krasicki nie poganiał go, wpatrywał się w niego spokojnie, kątem oka dostrzegając półuśmiech na twarzy Wiktorii. Wreszcie demonstracyjnie spojrzął na naręczny zegarek.

- Ja mam czas, młodzieńcze - odezwał się nieco ironicznie. - Ale powiem ci, tak na marginesie, że kiedy pierwszy raz poszedłem do łóżka z moją żoną, to choćby nazajutrz mnie rzuciła, jeszcze dziś potrafiłbym opisać jej ciało, wcale się nie zastanawiając. I to z najdrobniejszymi szczegółami - dodał i znów zerknął na Wiktorię, która zamknęła oczy i tłumiała uśmiech.

Roman odchrząknął i umilkł. Wreszcie Krasicki otwartą dłonią uderzył w biurko.

- Dobrze, koniec tej zabawy! - rzekł stanowczo. - Po raz ostatni cię pytam, czy twoje oskarżenia zawarte...

- Skłamałem w swoim zawiadomieniu, panie aspirancie. To wszystko jest nieprawda - odezwał się cicho i po dłuższej chwili Roman. - Przepraszam panią Malińską, po prostu... nie wiem, dlaczego tak postąpiłem... zauroczenie panią Malińską... - zwiesił głowę.

Krasicki i Wiktoria wymienili długie spojrzenia.

- Wyjaśnij mi teraz kwestię podrzucenia pani Malińskiej narkotyków. Zdarzyło się to dwukrotnie, tak?

Opowiedział o tym wręcz drobiazgowo - adepci szkoły policyjnej pewnie byliby zachwyceni tak szczegółowym opisem przestępstwa popełnionego przez podejrzanego. Krasicki sięgnął po słuchawkę i poprosił oficera dyżurnego o przysłanie któregoś z funkcjonariuszy. Po kilku minutach wszedł sierżant Sołtysik.

- Pani Malińska opuszcza izbę, natychmiast zajmij się formalnościami - rzekł i podszedł do niej. Podał jej rękę. - Jest pani wolna. Przepraszam za wszelkie niedogodności.

- Bywają gorsze rzeczy.

- Zapewne. Powodzenia, pani Wiktorio.

- Dziękuję - będąc już przy drzwiach, odwróciła się i obojętnie spojrzała na budzącego litość Romana. Sama nie wiedziała, skąd nagle wezbrało w niej coś na kształt współczucia dla tego chłopaka. Była zaskoczona własną reakcją, przed konfrontacją żywiła wobec niego jak najgorsze odczucia. Było jej obojętne, czy puszcza go wolno, zastrzela czy powieszą. Coś takiego okazało się dla niej całkowicie nowym doświadczeniem. *Tylko się nie rozklejaj* - upomniała siebie w duchu.

Kiedy wyszła, aspirant Krasicki wrócił na miejsce i wpatrzył się w Romana, który ciągle siedział ze zwieszoną głową.

- Z litości nie będę pytał, co się z tobą stało na dyskotecę i jakim cudem znalazłeś się prawie nagi w parku. Zresztą i tak pewnie niczego nie pamiętasz. Nie pomyślałeś, że te piguły mogą działać w dwie strony, co? A teraz porozmawiajmy jak mężczyźni...

Roman poruszył się niespokojnie, ale głowy nie unióś. Aspirant ciągnął spokojnie, lecz stanowczo:

- Grożą ci cztery paragrafy: usiłowanie gwałtu, posiadanie narkotyków, podrzucenie narkotyków innej osobie, no i złożenie fałszywego zawiadomienia o rzekomym przestępstwie, czyli w twoim przypadku o molestowaniu seksualnym. Zatrzymuję cię na czterdzieści osiem godzin, a potem sprawę przejmie prokurator. A tak między nami, prywatnie, to nie mam ci nic więcej do powiedzenia poza tym, że moja córka chodzi z tobą do jednej klasy i jak pomyślę, że i ją mógłbyś w ten sposób próbować wykorzystać, to robi mi się niedobrze ty... Don Juanie. Gdzie ta chwalebna rycerskość, którą kobiety tak bardzo w nas cenią, że nawet za darmo i z największą przyjemnością dałyby się wciągnąć do samego piekła? - dorzucił nie bez ironii i chwycił słuchawkę telefonu.

Kilkanaście minut później, Roman - po przebrnięciu przez całą procedurę - znalazł się w izbie zatrzymań, w tej samej, którą opuściła Wiktorina. Czuł zapach, jaki po sobie pozostawiła, mimo że tu nie używała perfum, którymi tak się zachwycił w jej łóżku. Usiadł na zasłanej kocem pryczy i masochistycznie zaczął się pastwić nad ostatnimi kilkoma dniami swego życia. Na pierwszy ogień wziął jeszcze gorącą konfrontację - nie miał pojęcia, co mu odbiło, żeby mimo straconej pozycji próbować się bronić, na domiar złego bardzo infantylnie. Należało od razu się przyznać. A taki plan obrony wcześniej sobie ułożył!... I spalił na panewce.

* * *

Stała pod prysznicem. To pierwsze, co zrobiła po powrocie z komisariatu do tymczasowego lokum w domu dziecka, które dziś zamierzała opuścić, tak jak i tę miejscowość. Musiała splukać z siebie brud, jakim przesiąkła, przebywając przez ponad dwie doby w obskurnym, choć czystym, policyjnym pomieszczeniu - ten brud innego rodzaju, niematerialny, i tak też to sobie tłumaczyła. Po kąpieli zadzwoniła do Anny, aby poinformować ją o swojej sytuacji, a potem poszła do gabinetu dyrektora, który już się dowiedział, że wróciła. Na jej widok Mariusz Turbanowski wstał zza biurka. Uśmiechnął się, podali sobie ręce, usiedli.

- Chyba niezbyt mile będziesz wspominać swój pobyt tutaj, co?

- Cóż... Jedyne z powodu tego przykrego zdarzenia, a tak to nie. Wszyscy z którymi się spotykałam, byli bardzo mili.

- Tak... Kompletnie nieodpowiedzialny chłopak... Ale najważniejsze, że zebrałaś obfity materiał do swojej pracy, prawda?

Wiktoria westchnęła i złączyła dłonie.

- W areszcie miałam sporo czasu na przemyślenia w związku z tymi ankietami. Wiesz, do jakiego wniosku doszłam?

- Słucham?

- Chyba pomyliłam się z wyborem zawodu. Socjolog... Owszem, diagnozę postawi, mniej lub bardziej celną, ale lekarstwa już znaleźć nie potrafi. Po prostu o jedną gadającą głowę w telewizji więcej. Rozumiesz, o co mi chodzi? W domu jeszcze raz to przetrawię, na spokojnie. Być może uzupełnię studia o pedagogikę i psychologię i zajmę się doradztwem w rodzinnych placówkach, bo przecież teraz to wygląda bardzo lichy. Jednak mam tyle doświadczenia życiowego, że w sumie certyfikat specjalisty w tej dziedzinie nie jest mi potrzebny. Ale papier jest, niestety najważniejszy. Byle głupek potrafi nim bez trudu otworzyć najbardziej niedostępne drzwi.

Turbanowski pokiwał głową i wpatrzył się w ekran monitora, na którym widniał tekst, a u dołu migał kursor.

- Szczerść za szczerść, Wiktorio. Nie mówiłem ci tego wcześniej, ale powoli kończę pisanie poradnika dla wychowawców domów dziecka pod tytułem „Słów kilka o wychowaniu”. Otóż, między innymi po naszych rozmowach, postanowiłem dodać jeden rozdział, którego wcześniej nie planowałem.

- O czym?

- O rodzinnych domach dziecka i o rodzinach zastępczych. O tym, że pod wieloma względami jest to jednak lepsze rozwiązanie od naszych molochów.

Wyraz twarzy Wiktorii się zmienił - pojawiło się na niej coś na kształt uznania.

- Wywołasz burzę w waszym środowisku, staniesz się czarną owcą - powiedziała.

- Zapewne. Ale to przecież dzieciaki są najważniejsze, a nie my. Wiem, że to jest równie odkrywcze, jak dajmy na to wynalezienie pary wodnej. Lecz tego poloneza naprawdę wielki czas zacząć na poważnie, bo to nie zabawa.

Nagle odezwał się telefon. Turbanowski podniósł słuchawkę, a po krótkiej rozmowie odłożył ją.

- Ktoś do ciebie, czeka w holu - uśmiechnął się zagadkowo.

- Kto?

- Idź. Tylko się nie zdziw.

- Mógłbyś mi oszczędzić niespodzianek po moich ostatnich przeżyciach - zażartowała.

Potrząsnął przecząco głową:

- Po prostu idź.

Wiktoria niechętnie wstała i, zaintrygowana, wyszła. W holu nikogo nie było poza dwoma wychowankami, którzy właśnie weszli do środka. Podeszła do otwartych drzwi i wtedy go zobaczyła. Stał przy porsche, tyłem do budynku, ręce trzymał w kieszeniach dzinsów, głowę miał zwieszoną. Cofnęła się o dwa kroki w bok, aby nie stać w świetle drzwi, i zastanowiła się, czego on może od niej chcieć. Chyba teraz nie bardzo miała ochotę na rozmowę.

* * *

Wpatrywali się w wielki i pięknie udekorowany bukiet róż, który wręczyła im pulchna kwiaciarka. Wziął go Jacek, Anna tylko zapłaciła, ale całą paczką złożyli się wcześniej na ten niezbyt wielki wydatek. Tak jednogłośnie postanowili, kiedy dowiedzieli się od Anny, że Wiktoria przed południem została zwolniona, wyszła z komisariatu i po południu wyjeżdża. Umówili się, że razem pójdą do domu dziecka i pożegnają się z tą fantastyczną dziewczyną, którą serdecznie polubili i która wniosła w ich świat nieco ożywczej nadziei, pokazała, że nie można się załamywać, mimo różnych przeciwności losu, że należy walczyć o samego siebie.

Mieli trochę czasu, a deszcz już nie padał. Ponieważ wiatr ustał i zza chmur prześwitywało słońce, poszli na lody do kawiarenki na rynku, aby poczekać na resztę przyjaciół, z Justyną włącznie. Kiedy już zajadali się lodami, Anna powiedziała:

- Według Krysi, która zdążyła już podpytać tatę, Romeczek dostanie jedynie zawiasy na dwa, może trzy lata. I obowiązkowo kuratora sądowego.

- Nieźle.

- W sam raz na otrzeźwienie.

Anna zapatrzyła się w kwiaty leżące na stoliku.

- Wiesz, może to się wydawać dziwne, ale po dzisiejszym telefonie od Wiktorii przyszło mi na myśl, że on na mnie polował...

- Nie żartuj - zdumiał się Jacek.

- Ani mi to w głowie. A ponieważ tuż pod jego nosem pojawił się ktoś tak uroczy jak Wiktoria, więc nią zajął się najpierw.

- Po czym sądzisz, że na ciebie polował?

- Nie sądzę, tylko przypuszczam, ale istnieje duża doza prawdopodobieństwa. Od września był na mnie napalony. Takie rzeczy się wyczuwa. Musiałam jakoś dojrzeć przez ubiegłoroczne wakacje, co? Zresztą twoje podchody też wyczuwałam, choć mógłbyś lepiej się starać - dorzuciła żartem.

- No tak... - uśmiechnął się Jacek i zwiesił głowę. - Czyli za słabo się starałem?

Anna klejącymi się od lodów wargami cmoknęła go w policzek.

- A jak myślisz?

- Hmm...

Anna potrząsnęła rozpuszczonymi włosami.

- Nie idzie o to, czy lepiej, czy gorzej - rzekła z zastanowieniem. - I naprawdę nie wiem, na czym to polega, że za jednym wskoczyłoby się w ogień, a za innym nie. Nie ma mądrego, który określiłby to precyzyjnie i z matematyczną dokładnością. Zawsze będzie tu wychodziła liczba pi. Pewnie i dobrze. Natura w końcu najlepiej wie, co robi.

- Jesteś o tym przekonana?

- Tak, Jacku... Grzechy są słodkie, ale błędy gorzkie. Od dziś musimy o tym pamiętać.

- Dlaczego od dziś?

Anna, przybliżywszy usta do jego ucha, wyszeptwała mu coś bardzo, bardzo wolno. Jacek tylko zamknął oczy i chwycił ją za rękę. Delikatnie uściskał. Ona odpowiedziała mu tym samym.

* * *

Marian Stankiewicz wyglądał na podenerwowanego, kiedy spojrzał na podchodzącą

do niego Wiktorię. Jego zwyczajowa pewność siebie ponownie się ulotniła, teraz nawet było to widoczne wyraźniej, niż kiedy Wiktoria się wyprowadzała piątkowego ranka z gospodarstwa.

- Nie przyszedłem prosić o cokolwiek w związku z moim synem, tylko jestem z przeprosinami ode mnie i mojej żony, za niego właśnie - odezwał się cicho. - Jest nam naprawdę bardzo przykro, że doszło do tak... tak drastycznego zdarzenia pod naszym dachem. Wiem, że moje słowa nie wymażą tego incydentu z pani pamięci, ale to chyba wszystko, co mogę w tej sytuacji zrobić.

Poczuła się niezręcznie. Cała złość i cokolwiek to jeszcze było, już jej minęły, pozostał tylko niesmak. Nie bardzo wiedziała, jak zareagować na taką, niewątpliwie szczerą postawę ojca jej niedoszłego gwałciciela.

- Przeprosiny przyjęte, nie mam do państwa najmniejszego żalu - powiedziała wreszcie spokojnie. - A co do państwa syna... cóż, przemyślał swój postępek, przeprosił mnie dzisiaj, tyle że teraz przyjdzie mu za to odpokutować. To chyba wszystko, co mogę panu odpowiedzieć.

- Rozumiem, proszę pani.

- Może kiedyś się jeszcze zobaczymy ale w lepszych okolicznościach - uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę, którą ten - jakby nieśmiało - uścisnął. Powoli odszedł do stojącego na ulicy samochodu.

Przez chwilę spoglądała za nim, współczując mu, człowiekowi, któremu jedno z dzieci wymknęło się spod rodzicielskiej kontroli. W normalnej, porządnej, sielskiej anielskiej rodzinie. I pomyślała o swoim dzieciństwie i młodości...

* * *

- Czym sobie na nie zasłużyłam?

- Sobą - powiedziała Anna.

- Po prostu sobą - dodała Justyna.

- Taką, jaką cię poznaliśmy i jaką jesteś! - dorzuciła Beata.

- W naszej pamięci na zawsze pozostaniesz jedną z nas - wyszeptła wzruszona Paula. Jacek i Marcin przytaknęli jej.

Wiktoria przymknęła powieki, broniąc się przed rozklejeniem, ale w końcu nie wytrzymała. Łzy powoli zaczynały płynąć z jej oczu, gdy przyjmowała od nich piękny bukiet róż. Czasami zdarza się, że chwile pożegnań między przyjaciółmi ciągną się w

nieskończoność. Tak było i teraz.

Kiedy Wiktoria wsiadła wreszcie do porsche, nie chciał zapalić...

Spis treści

Podziękowania	2
Niedziela, 13 maja.....	3
Poniedziałek, 14 maja	19
Wtorek, 15 maja	56
Środa, 16 maja.....	67
Czwartek, 17 maja.....	86
Piątek, 18 maja	113
Sobota, 19 maja.....	143
Niedziela, 20 maja.....	156
Poniedziałek, 21 maja	189